

DODATEK

TAK II RP BUDOWAŁA
GOSPODARCZĄ SIŁĘ

DLACZEGO ZMIANA
WE WŁOSZACH
PRZERAZIŁA BERLIN

OPOZYCJA NAM
NIESTETY ZWARIOWAŁA

SIECI



SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 23 (288) 2018
4-10 czerwca

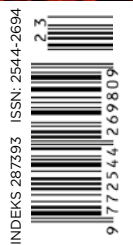
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY KULISY SKANDALU

JAK SIĘ ZAŁATWIA

POLITYKA

POSEŁ STANISŁAW PIĘTA SIĘ **SKOMPROMITOWAŁ**,
ALE SPRAWA WYGLĄDA **BARDZO DZIWNIE**. Z NASZEGO ŚLEDZTWA WYNIKA,
ŻE POLITYK PiS STAŁ SIĘ CELEM **CYNICZNEJ KOBIETY**
I PRECYZYJNIE PLANOWANEJ OPERACJI. **OFIAR MOŻE BYĆ WIĘCEJ**



TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

150 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i miesięcznik
wSIECI HISTORII za 280 zł, a książkę
„Historia USA” o wartości 99,90 zł
otrzymasz **gratis!**



Sprawdź dostępność książek
na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70

prenumerata@fratria.pl

www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

Koszty przewyższają zyski

Przypomnijmy – Arkadij Babczenko to mieszkający w Kijowie rosyjski antyputinowski dziennikarz. Ogłoszono, że zginął z rąk zabójcy wynajętego przez Moskwę, by dzień później poinformować, że „ofiara” żyje, a cała sprawa była inscenizacją. Potrzebną, by schwytać obywatela Rosji, który naprawdę chciał wynająć killera, żeby Babczenkę zamordował.

Ta wersja może być prawdziwa. Ale zarazem takie działanie SBU łatwo przedstawić jako cyniczną operację, mającą na celu wykreowanie wizji służb rosyjskich jako demonicznych, natomiast ukraińskich – jako skutecznych. Jeśli dodamy, że te ukraińskie specsłużby nawet wśród ukraińskich patriotów mają opinię nieefektywnych, to dojdziemy do wniosku, że jak kania dżdżu potrzebowały spektakularnego sukcesu.

Nawet jednak jeśli ukraińskie władze przedstawią dowód, że próba zabójstwa Babczenki była realna i stała za nią Rosja, to i tak koszty będą poważne. Trzeba zaliczyć do nich zantagonizowanie dziennikarzy (również na samej Ukrainie), którzy poczuili się potraktowani instrumentalnie. I trudno nie zgodzić się z opinią brytyjskiego „Guardiana”: „Następnym razem, kiedy krytyk Kremla zostanie zastrzelony, zatruty lub wypadnie z okna na betonowy chodnik pod swoim domem, pierwsze pytanie będzie brzmiało: czy on na pewno nie żyje?”.

Wyraźnie ktoś nie doszacował kosztów ubocznych operacji.

Piotr Skwieciński

Dać wiedzę Amerykanom

Polska Fundacja Narodowa nawiązała współpracę z waszyngtońską Victims of Communism Memorial Foundation. Jej efektem będą granty dla polskich naukowców badających dzieje komunizmu i transformacji w Polsce na podstawie amerykańskich archiwów. Wyniki badań mają zostać opublikowane w Stanach Zjednoczonych, a tym samym trafią do tamtejszego obiegu historycznego. To szczególnie ważne, ponieważ – jak wykazała sprawa pomnika katyńskiego – amerykańskie elity nie mają wiedzy nie tylko o losach Polski, lecz także o amerykańskim kontekście niektórych zdarzeń (choćby komisja Maddena badająca w 1952 r. zbrodnię katyńską).

PFN nie miała dotąd dobrej prasy. Zanim naprawdę zaczęła działać, stała się obiektem nie tylko krytyki, lecz wręcz nagonki. W pewnym stopniu to na fundacji wiele osób i środowisk odegrało frustrację po brutalnym ataku na Polskę po przyjęciu ustawy o IPN. Problem w tym, że w tej konkretnej sytuacji i dziesięć tego typu fundacji niewiele by pomogło. Nie jest też tajemnicą, że część krytyki związana była z nieczystą grą interesów, z próbą wymuszenia dotacji dla konkretnych projektów. Z drugiej strony PFN nie pomogło niejasne zdefiniowanie celów i projekty z bardzo różnych dziedzin.

Wygląda na to, że PFN najtrudniejsze ma już za sobą. Warto nie ulegać hysterii i dać jej szansę, bo tego typu instytucja jest Polsce potrzebna. Nie obronimy prawdy o naszej historii, jeśli nie będziemy sięgali po nowatorskie, nawet niekonwencjonalne metody działania.

Jacek Karnowski





36

Choroba się nasila
Konrad Kołodziejski

45-
-56

Polacy, którzy zmienili świat
Dodatek edukacyjny (odc. IV)



73

Co gryzie Fransa Timmermansa
Aleksandra Rybińska

NA POCZĄTEK

- 6** **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski
- 8** **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista
- 9** **POŻAR W TOI TOIU**
Krzysztof Feusette
- 12** **CORAZ BLIŻEJ PAŃSTWA PRAWA**
Jan Pietrzak
- 13** **MASKI SPADAJĄ**
Bronisław Wildstein
- 14** **DYM**
Andrzej Rafał Potocki
- 15** **ARCHITEKTURA MIAST**
Marta Kaczyńska
- 16** **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 17** **SZTUCZNY KOŃ**
Dominik Zdort
- 18** **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 20** **JAK SIĘ ZAŁATWIA POLITYKA**
Marek Pyza
- 25** **NIE ŁAMAĆ TEJ ZASADY**
Piotr Skwieciński

UNIA EUROPEJSKA

- 26** **Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ**
rozmawia Michał Karnowski
- 30** **TERAZ RZYM NA CELOWNIKU**
Jan Rokita

KRAJ

- 33** **KACZYŃSKI – SCHETYNA**
OSTATECZNE STARCIE
Stanisław Janecki
- 36** **CHOROBA SIĘ NASILA**
Konrad Kołodziejski
- 39** **BITWA PSYCHIATRÓW ZA**
ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI
Maja Narbutt
- 42** **GRUBY JAK MŁODY POLAK**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

- 57** **APETYT NA ŻYCIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 60** **ZATAŃCZYĆ LUTOSŁAWSKIEGO**
Adam Ciesielski
- 61** **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

62 **CZYTANIE JAKO SPORT**
EKSTREMALNY

Wojciech Stanisławski

64 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

- 66** **IRLANDIA JAK U2**
Grzegorz Górny
- 69** **DOOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska
- 70** **BEZWSTYDNE POLSKIE OCZY**
Piotr Skwieciński

ŚWIAT

- 73** **CO GRYZIE FRANSA TIMMERMANS**
Aleksandra Rybińska
- 75** **Z ISRAELEM LEVINSONEM**
rozmawia Jacek Karnowski

GOSPODARKA

- 78** **KLUCZE DO MIESZKANIA+**
Piotr Filipczyk
- 80** **GORĄCZKA RODO**
Marek Jaślan
- 84** **BUDUJEMY MOSTY NIE TYLKO**
DLA PANA STAROSTY
Janusz Szewczak

SPORT

- 86** **JEŚLI WYJDZIEMY Z GRUPY,**
POLECIMY WYSOKO
Cezary Kowalski

KUCHNIA

- 88** **MOJE SMAKI: JÓZEF PAWŁOWSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 89** **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

- 90** **NASZ BOHATER ROBINSON**
Piotr Skwieciński
- 91** **„KLĄTWA” W SEJMIE**
Aleksander Nalaskowski
- 92** **PO CICHU NADCHODZĄ**
Wojciech Reszczyński
- 93** **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
- 94** **TOŻSAMOŚĆ ŚWINI**
Robert Mazurek
- 95** **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 98** **CZYTAĆ SIECI WSPÓŁZALEŻNOŚCI**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

PIELGRZYMKA

DO OJCA PIO

POD PATRONATEM TYGODNIKA
KATOLICKIEGO „NIEDZIELA”

7-16.10.2018 r.

- Asyż - Rzym - Watykan
- Monte Cassino Neapol - Pompeje
- Pietrelcina - San Giovanni Rotondo
- Lanciano - Manoppello - Wenecja

CENA: 2300 zł + 120 euro

www.pielgrzymka.niedziela.pl

REDAKCJA TYGODNIKA KATOLICKIEGO „NIEDZIELA”

ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa

tel.: 34 369 43 25 tel. kom.: 506 744 552

TRADE & TRAVEL COMPANY SP. Z O.O. :

ul. Piotrkowska 92, 90-103 Łódź

tel./fax: 42 630 48 66, 42 630 48 68

42 630 48 69, 42 636 98 38, 42 633 06 74

biuro@konsorcjum.com.pl

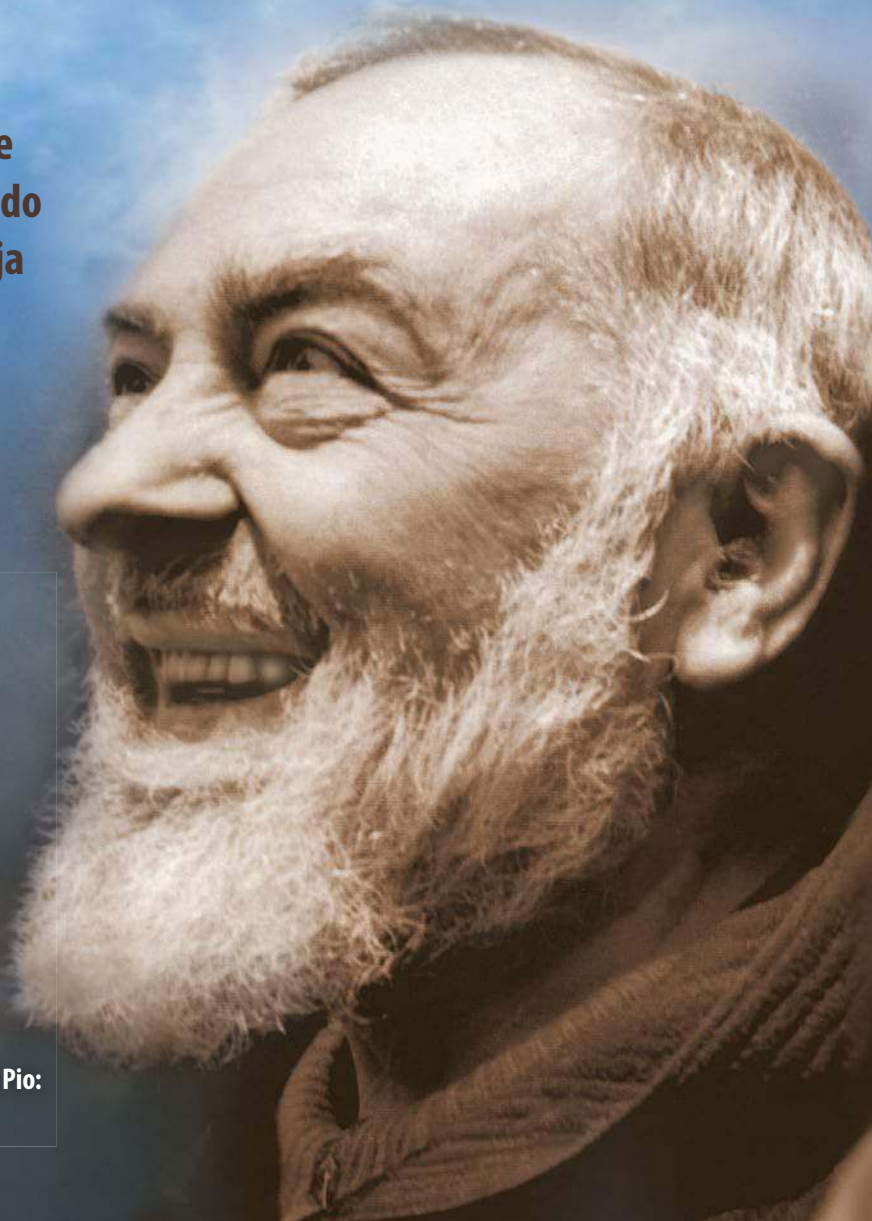
ul. Koszykowa 53, 00-659 Warszawa

tel./fax: 22 622 82 96, 22 622 46 82

biurowaw@konsorcjum.com.pl

Więcej informacji o obchodach Roku Jubileuszowego o. Pio:

www.kapucyni.pl



ORGANIZATOR:



PATRONATY HONOROWE NAD ROKIEM JUBILEUSZOWYM O. PIO:



KONFERENCJA
EPISKOPATU
POLSKI



PATRON:

Fundacja
NIEDZIELA.
Instytut Mediów

Z życia koalicji



Biedni ci nasi kopacze nożni, jak tylko opuścił ich **Prezydent Doktor**, to wpadli w szpony premiera. Mateusz Morawiecki osobiście się pofatygował do Arłamowa, żeby się ogrzać w towarzystwie Lewandowskiego i kolegów. Co ciekawe, tak oczywista pokazówka spotkała się z falą złośliwości w samym otoczeniu premiera, ale nic to nie dało. PR-owcy z kancelarii premiera uznali bowiem, że szef rządu najlepiej wypadnie w towarzystwie dzieci i piłkarzy. Dobrze, że to nie Barbórka, bo zwieźliby Nawalkę do kopalni.

My tu sobie gadu-gadu, a tymczasem Jacek Żalek, gowinowy poseł PiS, zapowiada, że na bank wygra wybory w Białymstoku. Spokojnie, on ma wszystko wyliczone, żaden sondaż mu niestraszny. Trzeba tylko niezdecydowanych przeciągnąć, a to – przynajmniej państwo – dla takiego Żalka bułka z masłem. No trochę mu ostatnio zaszkodziła sława pogromcy kalek, ale i z tym sobie poradzi. Ciekawe jak? Na początek proponujemy zmianę nazwiska i wprowadzkę.



Bardzo poważnie podchodzi do swego kandydowania **Malgorzata Wassermann**. Pani poseł oznajmiła bowiem, że skoro oficjalnie nie ogłoszono wyborów, to ona żadnej kampanii prowadzić nie będzie. I nie prowadzi, tylko prostuje. Sprostowała np., że wcale nie chce rewolucji w Krakowie. Trochę szkoda, bo oczyma wyobraźni widzieliśmy już tę komandę rozwrzeszczanych pisowców przedzierających się między pijanymi Anglikami i wycieczkami szkolnymi w szturmie na magistrat. A Wassermann jako La Pasionaria byłaby niczego sobie.

Aha, panna Wassermann powiedziała również, że wcale nie jest wredną prokuratorzycą, tylko całkiem wyluzowaną babką. Wyluzowana, mówi pani? No, jak kilo gwoździ.

Zupełnie nie wiemy za to, kim są kandydaci PiS na prezydentów w innych miastach. Ogarniamy tylko pana Wilka, który przez chwilę był prezydentem Elbląga i widać mu się spodobało, bo chciałby znów. Z kolei w Radomiu ma wystartować imć Skurkiewicz, wiceminister obrony. I zupełnie nie wiemy, jak to rozumieć – czy Radom jest tak cenny, że trzeba go przed Kielcami bronić, czy wręcz przeciwnie, chcą na tych warcholów wojsko wyprowadzić?

Rzadko oglądamy TV Paźdierz, bo po programie TVN o figlarnej nazwie „Fakty” już nas bolą brzuchy ze śmiechu. A szkoda, że nie oglądamy, bo koledzy paskowi z Paździerza też dają ostro do pieca. I tak informację

w „Wiadomościach” o proteście niepełnosprawnych opisali paskiem „Awanturnicy nie chcą dialogu i porozumienia”.

To prawda! W dodatku ten protest to była woda na młyn rewizjonistów z Bonn!



To tylko pozornie apolityczna obserwacja, ale jakoś nam się wydaje, że nie było wiosny i od razu mamy lato. Nie podejmujemy się wytłumaczenia tych anomalii, ale ze spokojem czekamy na tyrady **Dorna** lub Migalskiego w TVN. Oni na pewno dowiodą, że to wina PiS.

Aha, jeden taki Pięta miał dziewczynę i żonę jednocześnie, co wzburzyło tabloidy. My jesteśmy tak starzy, że pamiętamy, jak posłowie nie kryli się z romansami nawet ze znanymi dziennikarkami, które tańczyły im na stołach w Sejmie, więc nas to nie rusza. /



PRZEGŁĄD

Mazurka

Z życia opozycji

Jeśli ktoś ma naprawdę kiepski humor, to mamy niezawodny sposób na chandrę. Trzeba wpisać w wyszukiwarke nazwisko Paweł Zalewski oraz słowo „banany”. A potem obejrzeć filmik, który się pojawi. Na filmie tym polityk PO stoi w otoczeniu kilku starszych pań i wszyscy trzymają banany. Jedna pani mówi: „Kolor skóry nie ma znaczenia. Jest ważna akcja przeciw rasizmowi. Jemy banany!”. Obierają banany i zaczynają jeść. Jedzą, jedzą, a w końcu Zalewski mówi: „Dobre!”. To chyba nawet bardziej niedorzeczne niż autograf Michnika wysłany na Tytana.

W ogóle miniony tydzień był w wykonaniu opozycji mocno absurdalny, czego najlepszym przykładem zamach na posła **Brejzę**. Parafrazując klasyka: jaka opozycja, taki zamach.



TYGODNIA

Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Rzeczony Brejza uznał, że płonący w pobliżu jego mieszkania to był efektem zamachu na jego życie, i powiadomił o tym prokuraturę. Wywołał tym prawdziwy shit storm, głównie wśród swoich kolegów. Na przykład znany facejcionista Michał Szczerba ogłosił, że Joachim Brudziński ma 48 godzin na zatrzymanie sprawców „usiłowania zabójstwa polityka opozycji i jego rodziny. Polityka najbardziej dociekliwego w śledzeniu patologii tej władzy. Najbardziej przez nią nienawidzonego”. E, no żeby nienawidzić, to trzeba kojarzyć. A my będziemy kojarzyć Brejzę dopiero teraz, dzięki ksywie „Toi toi”, jaka – nie ma co do tego wątpliwości – do niego przylgnie.

Wyrazy solidarności z Toi toiem złożyli nie tylko partyjni koleldzy, lecz i np. Roman Giertych. Oraz Piotr Misilo z Nowoczesnej. Wszyscy deklarowali, że można na nich liczyć, jakby co. Skądinąd ciekawe, co by zrobił Misilo „jakby co”. Umył w końcu włosy?



Działań Ciamajdanu ciąg dalszy. Duża grupa średnio bystrych parlamentarzystów PO i PSL poparła w Strasburgu zapisy niekorzystne dla polskich przedsiębiorców. Wśród tłumoków znaleźli się m.in. Jerzy Buzek (to akurat żadne zaskoczenie), Jarosław Kalinowski (to on żyje?), Janusz Lewandowski (ten to pewnie specjalnie tak głosował), Julia Pitera i **Adam Szejnfeld** (w ich przypadku trzeba się cieszyć, że nie zapominają o oddychaniu). Platfusy tłumaczyły się, że głosowały tak przez pomyłkę, bo na sali panował bałagan. Bałagan bałaganem, ale mózgi też się czasem przydają. Na przykład pisowcy głosowali dobrze.

I dalej. Michał Boni najpierw gromko ogłosił na Twitterze, że popiera zwiększenie przepustowości rurociągu Nord Stream. Aż nam zaimponował, że tak z otwartą przyłbicą staje po stronie Niemiec i Rosji. Niestety zaraz potem napisał bełkotliwie, że jest przeciw Nord Stream, tylko jakoś mu się tak napisało. W szkołach dzieci niepełnosprawne mają specjalnych opiekunów, tzw. cienie. Może UE zafundowałaby takie cienie eurodeputowanym PO.

Miś Kamiński znalazł sobie fajną fuchę. Jako dawny pisowiec opowiada dziennikarzom, kto kogo nienawidzi w PiS i kto z kim toczy śmiertelne wojny. Na ten przykład Miś zagiał parol na Kazimierza Marcinkiewicza i za wszelką cenę chce go wysadzić z fotela premiera. A nie, chwileczkę – czy to nie było 13 lat temu? Ale z grubsza taka jest wiedza Misia.

W Słupsku krąży taki dowcip. Dlaczego prezydent Biedroń urządza konferencje prasowe w poniedziałek? Żeby we wtorek wyjechać z miasta.

Nieoficjalny przegląd tygodnia

Tomasz Cimoszewicz, syn Włodzimierza, zgodnie z tradycją rodzinną walczy z religią. W Boże Ciało zamieścił w internecie zdjęcie procesji i stwierdził: „A wy na maratończyków w Warszawie narzekacie. Ci się rozsiedli na środku ulicy i mszę odprawiają”. Jednak ubecja jak wejście w człowieka, to już z niego nie wyjdzie. Tacy są ci nasi polscy „demokraci”. Gdyby mogli, to znów pewnie wyrwaliby i sadzaliby na nodze od krzesła „bandytów” i „reakcję”.

W jednym z portali lisowego chowu życie intelektualne kwitnie. Ten sam dziennikarz napisał w odstępie paru dni dwa artykuły. Pierwszy nosi tytuł: „Warszawa obchodzi ramadan. W tym miesiącu bądź wyrozumiały dla obsługi popularnych kebabów”, a drugi: „Boże, znów procesja! Utrudnienia na drogach, kłótnie o ołtarze i manifestacyjna wiara”. Houellebecq w „Uległości” miał rację: za jedno, dwa pokolenia lewicowcy przyjmą islam. Ze strachu, ale i z nienawiści do chrześcijaństwa.

Rafał Trzaskowski już na dobre wszedł w buty Ryszarda Petru. Nie ma tygodnia, by nie błysnął jakąś smakowitą wypowiedzią. Np. o Centralnym Porcie Komunikacyjnym, który zdaniem kandydata PO nie jest Warszawie ani Polsce potrzebny. Dlaczego? „Ja uważam, to jest gigantomania. Przy tym, że będziemy w ciągu dwóch lat mieli lotnisko w Berlinie...” – stwierdził jasno. Doskonale podsumowanie polsko-polskiego sporu: jedni chcą silnej Polski, a inni Polski jako de facto niemieckiego landu.

Wspomniany **Ryszard Petru** zachwycił się sondażem wskazującym, że 16 proc. Polaków chce, aby powołał nową partię. „Dziękuję za zaufanie! Projekt będzie szerszy, z grupą liderów nowego pokolenia. Wszystko na jesieni tego roku!”. No cóż, powodzenia. Jeśli Petru naprawdę myśli, że 16 proc. w takim badaniu to sukces, to niczego się nie nauczył. Co dziś zostało po pierwszych, obiecujących sondażach różnych PJN? Nic. Radzimy więc dzielić przez cztery. Albo i pięć.

Opiekunowie osób niepełnosprawnych opuścili Sejm. Dlaczego? Iwona Hartwich tak wyjaśniła powody faktycznej kapitulacji: „Martwimy się o zdrowie naszych dzieci. Odcięto nas od ostatnich dziennikarzy”. Protestowanie w ciszy po tym, jak okupowane korytarze odgrodzono kotarami i dyktą w związku ze Zgromadzeniem Parlamentarnym NATO, rzeczywiście nie miało sensu. Marszałek Marek Kuchciński rozegrał partię życia. Cierpliwością i precyzją zgasił dużą operację.

Gdyby panie wiedziały, że ważne postaci w rządzie do końca namawiały premiera, by jednak ustąpił i dał trochę „żywej gotówki”, pewnie posiedziałyby jeszcze trochę. Ale nie wiedziały i rząd wygrał wojnę nerwów, a Morawiecki wykazał się dobrą intuicją. Opozycja się cieszy, że obili rząd tzw. socjałem, że to już przełom. Ale co to za przełom, gdy temat znika dzień po zgaskeniu protestu? Wszyscy, także zwykli wyborcy, odetchnęli z ulgą.

Do przełomu daleko również dlatego, że wciąż nie odebrano mikrofonów temu całemu opozycyjnemu zoo. Podczas demonstracji pożegnalnej przed Sejmem aktorka Dorota Stalińska wrzeszczała: „A jak wygramy wybory samorządowe, to potem już jeden krok tylko, żeby wygrać wybory parlamentarne i odsunąć tę dziką bandę od dewastowania dalszego Polski!”. Własną dzikość dostrzec najtrudniej.

Anna Komorowska wyjawiała, że bardzo cierpi pod dobrą zmianą. „Jest mi przykro, że pozycja Polski na świecie spada, i to drastycznie. Było mi strasznie przykro, jak znajomi powiedzieli, że jeżdżą rokrocznie na narty i że z dumą rozmawiali po polsku, a teraz się wstydzą tego”. Nie wiadomo, czego konkretnie się wstydzą. Może tego, że nie zdołali upilnować Polaków i ci wybrali nie tak, jak trzeba? Bo przecież dziś z Polski możemy być naprawdę dumni.

Posel Platformy **Krzysztof Brejza** rozpętał na cały kraj afere, że chciano go zabić, podpalając kamienicę, w której mieszka. Okazało się, że podpalono nie kamienicę, lecz plastikowy wychodek, i nie celowo, ale przez przypadek, niedopałkiem papierosa. No i nie pisowcy, tylko sąsiad. Strach jednak rozumiemy. Zabawne jest natomiast to mniemanie posła Brejzy o tym, jak to jest groźny, bo samodzielnie wytropił sprawę nagród dla ministrów w rządzie Szydło. Przecież on sam powiedział w jednym z wywiadów, że cynk w tej sprawie dostał z okolic obozu rządzącego. Po co ten cyrk?

„Czarna Pantera”, czyli „modelka”, która narobiła potężnych kłopotów posłowi Pięcie, sugeruje, że to nie koniec. Już po wybuchu afery oświadczyła, że będzie ujawniała „podwójne standardy redaktorów naczelnych, sędziów, czołowych polityków NIEZALEŻNIE (sic!) od opcji, prezesów”. Są ludzie, którzy każde słowo z tej wypowiedzi analizują bardzo uważnie. Domysłów nie brakuje, a niektóre są naprawdę ciekawe. Ale o tym innym razem.

Signalista

Dzień dobry państwu, zatrażające wiadomości napłynęły do nas z Dolnego Śląska. Płonie Wrocław. Miasto zostało najprawdopodobniej podpalone przez watahy pisowskiego elektoratu, które były widziane wczoraj wieczorem przez anonimowych informatorów portalu Łojnet.pl. Na miejsce jedzie już Katarzyna Kolnięta-Zawięta, która poinformuje nas o motywach sprawców. Kasiu, jak mnie słyszysz? Nie słyszysz. Przypomnę informację dnia: wielki pożar we Wrocławiu, za którym stoją najprawdopodobniej watahy pisowskiego elektoratu.

Nasza reporterka jest już na miejscu. Kasiu, powiedz nam, co widzisz? Jak to nic? Halo? Jak państwo słyszycie, wygląda na to, że gęsty, czarny dym przesłania już wszystko. Pokażmy może jeszcze raz to miejsce, to znaczy miasto, bo miejsca ciągle jeszcze nie widzimy. A zatem przypomnijmy sobie, jak wyglądał Wrocław przed pożarem. O, słyszę, że mamy już przy telefonie człowieka, który był na miejscu. Halo, gdzie pan był konkretnie? W zoo? Czy zwierzęta są bezpieczne? W zeszłym tygodniu pan był? Rozumiem. A jak wtedy wyglądały zwierzęta? Słucham? Zebry nie było? Jak to? A słonie? Aha, przejścia dla pieszych nie ma. Spłonęło? Nie wie pan, no tak, trudno się dziwić, skoro był pan za wcześniej. Ale jak pan myśli, jak teraz wygląda Wrocław? Chwileczkę, musimy przerwać, bo dostaję wiadomość, że udało nam się nawiązać łączność z naszą wysłanniczką, która nie zważając na tumany dymu i temperaturę, w której topią się kamery, postara się... Halo, Kasiu, jak mnie słyszysz? Jak się czujesz? Aha... Rozumiem... Tak, to rzeczywiście przykre. Tylko się nie denerwuj! Wiem, że to jest 250 km! Poczekaj chwilę...

A więc mamy dla państwa najświeższe wiadomości od naszych wysłanników, którym wspólnie z dziennikarzami lokalnego wydatku „Gazety Czerskiej” udało się ustalić, że, owszem, płonie, ale nie Wrocław, ino Inowrocław, że pozwolę sobie, tak po śląsku, pożegnać stolicę Dolnego Śląska, która jest już bezpieczna, i to na razie jedyna pozytywna wiadomość dzisiejszego poranka. Halo, Kasieńko, jak mnie słyszysz? Czy w Inowrocławiu jest już bardzo gorąco? Tak, wiem, że jesteś w drodze, ale masz przecież dla nas nowe informacje. Podsumujemy zatem: wiemy już na pewno, że podpalono co najmniej jeden dom co najmniej jednego posła Platformy Obywatelskiej. Chodzi o kamienicę posła Brejzy juniora, syna prezydenta Brejzy seniora. Straż pożarna twierdzi, że nie było żadnego zgłoszenia, ale policja informuje, iż poseł Brejza zgłosił doniesienie o możliwym zamachu na swoje życie już 30 godzin po pożarze. Oddajmy teraz głos naszemu ekspertowi, którym jest Bartłomiej Kamienikupa, specjalista od podpaleń. Panie ministrze, po czym poznać pożary wywołane przez watahy pisowskiego elektoratu? Przepraszam,

Pożar w toi toiu



KRZYSZTOF FEUSETTE

musimy przerwać, bo dostaję nowe, sensacyjne informacje.

Otóż, proszę państwa, Kasiu udało się ustalić, że podpaleniu uległa przenośna toaleta zwana toi toiem, która znajdowała się w bezpośredniej bliskości z kamienicą zamieszkaną przez posła Brejzę. Dom pozostał nienaruszony, ale lokalni eksperci zwracają uwagę, że gdyby w momencie podpalenia zerwał się huragan, a jednocześnie nie padałby deszcz, ogniem mogłoby zająć się całe województwo. Nie ulega wątpliwości, że podpalenie było celowe, a lokalizacja nieprzypadkowa. Nasi informatorzy, którzy boją się występować w telewizji po tym, co się stało z popularnością Hanny Lis, gdy wróciła przed kamery, twierdzą, że w okolicach Wrocławia, przepraszam, Inowrocławia – chociaż pamiętajmy, jak wielkie zagrożenie wisiało jeszcze dziś nad stolicą Dolnego Śląska – widziano od kilku dni watahy pisowskiego elektoratu powracające z majówki spędzonej najprawdopodobniej w okolicach Władysława. Jedli frytki i przedrzeźniali Dorotę Stalińską.

Ale oto mamy już gorące komentarze po pożarze w toi toiu sąsiadującym z kamienicą, w której mieszka poseł PO. Zbieramy je na serwisach społecznościowych. Renata Grochal z „Newsweeka”: „Chciałabym się mylić, ale zdaje się, że szczucie TVPiS przynosi efekty”. Wojciech Czuchnowski, „GW”: „TVP od miesiąca szczuje na posła Brejzę. No i są efekty. Jakiś Prawdziwy Polak albo Wnuczek Wyklęty wziął sprawy w swoje ręce. [...] Dom Brejzy próbowano spalić, podpalając toaletę i materiały budowlane przy elewacji [...]”. Bomby i materiały zapalające często podkładane są w WC”. Sławomir Neumann, przewodniczący klubu PO: „Nie ma przypadku, że dzieją się rzeczy, które mają zastraszyć jednego z posłów opozycji”. Roman Giertych, męczennik rodziny Tusków: „Policja powinna zrobić wszystko, aby złapać podpalaczy domu posła Brejzy”. Michał Stasiński, poseł PO: „I jak się miewacie moralności z PiS? Szczucie, kłamstwa, agresja i ataki na Krzysztofa Brejzę i jego rodzinę w rynsztoku zwanym kiedyś »telewizją publiczną« – takie są efekty”. „Fakt”: „Odkrył nagrody w rządzie, podpalono mu dom?”...

Przepraszam, ale otrzymuję właśnie informację, że zatrzymano sprawców podpalenia domu posła Brejzy, to znaczy toi toia, od którego okopciła się elewacja jego kamienicy. Pożar, do którego nie wezwano strażaków, miał – podobno niechcący – wywołać 50-letni sąsiad posła Brejzy, który przyznał, że, owszem, wyrzucił w toi toiu niezgaszonego peta, ale potem, zacytuje: „gaślił kibel z innymi”. Wiemy, że Kasia Kolnięta-Zawięta jedzie już do jego rodziny, by ustalić, jak i kiedy kontaktował się on z watahami pisowskiego elektoratu lub kimś, kto kontaktował się z kimś, kto kontaktował się z nimi albo dostarczył mu papierosy.

Bo ta sprawa brzydko pachnie od samego początku. 

Kultura Nakba, czyli samobójstwo na raty

Dwa tygodnie temu pisałem, że Palestyńczycy na własne życzenie przegrywają szansę za szansą. Nie tyle bezpośrednio na niepodległość – to mogłoby się stać realne dopiero po wykorzystaniu iluś tam innych, mniejszych szans – ile tych mniejszych. Na polepszenie własnego losu, za czym mogłoby przyjść wzmocnienie własnych sił. Bierze się to z czegoś, co niektórzy nazywają „kulturą Nakba”. „Nakba” – to po arabsku nieszczęście. Tak Palestyńczycy nazywają powstanie Izraela i przegraną przez państwa arabskie wojnę 1948 r., za którą poszły masowe ucieczki ludności, co dało początek problemowi uchodźców.

Mają prawo do takiej percepcji tych wydarzeń. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na coś innego. Na to, co nastąpiło potem. Pomocna do zrozumienia tego będzie postać Musy Alamiiego. Był to palestyński lider, pochodzący z bardzo bogatej rodziny, spokrewnionej z rodem al-Hussainich – najważniejszych jerozolimskich arystokratów doby rządów najpierw tureckich, a potem brytyjskich w Ziemi Świętej. Wykształcony na angielskich uczelniach Musa Alami stał się jednym z przywódców ruchu antysyjonistycznego. W latach 40. był wręcz uważany za najważniejszego arabskiego lidera. Sprzeciwiał się podziałowi Palestyny i utworzeniu Izraela. Na skutek zwycięskiej dla Żydów wojny 1948 r. stracił większość posiadłości i osiadł na – wówczas jordańskim – Zachodnim Brzegu. Wraz z masą arabskich uchodźców z terenów Izraela.

Tylko że w odróżnieniu od tej zdesperowanej masy Musa Alami był wciąż bogaty. A w odróżnieniu od innych arabskich przywódców, pozostając nadal pryncypialnym przeciwnikiem istnienia Izraela, nie potrafił spokojnie się przyglądać potwornej nędzy i beznadziejnej życiowej sytuacji uchodźców. Postanowił więc użyć swoich pieniędzy dla zmiany ich położenia. Zakupił sporo ziemi pod Jerychem. Zatrudnił uchodźców. I stworzył tam wzorcową farmę, w jakimś sensie wzorowaną na żydowskich kibucach. Kopał studnie, nawadniał, sadził winorośl, budował szkoły, na farmie znalazł się wręcz basen. Majątek Alamiiego stał się symbolem palestyńskiego sukcesu.

Do czasu. Bo w 1955 r. tłum Arabów, w większości również uchodźców, podburzonych przez innych palestyńskich liderów napadł na farmę. I zniszczył wszystko, całą infrastrukturę.

Dlaczego? Dlatego, że farma była sprzeczna z mającą się już do brze kulturą Nakba. Kulturą zakładającą, że uchodźcy mają własnie pozostawać w beznadziejnej sytuacji. Mają odrzucać wszelkie perspektywy jakiegokolwiek poprawy, bo wtedy osłabłaby ich determinacja do prowadzenia wiecznej wojny z Izraelem. Lepiej ma im być dopiero po ostatecznym zwycięstwie i zepchnięciu Żydów do morza.

Historia farmy Alamiiego ma dalszy, gorzki ciąg. Bo w pewnym zakresie zdołał on ją odbudować; śmiertelny cios zadały jej dopiero władze izraelskie po zajęciu całego Zachodniego Brzegu w 1967 r. Niemniej sensem tej historii są wydarzenia z 1955 r. Symbolizują one emocjonalną i intelektualną pułapkę, w której na własne życzenie znaleźli się Palestyńczycy. W której, dodajmy, siedzą do dziś.

Piotr Skwieciński

Nowy link z Moskwą

Izrael wzbogacił się o kolejnego miliardera. I to nie było jakiegoś, bo rosyjski oligarcha Roman Abramowicz, który tydzień temu otrzymał izraelski paszport, jest teraz – według wyliczeń izraelskich mediów – najzamożniejszym obywatelem kraju. Z majątkiem w wysokości 11,5 mld dol. dystansuje dotychczasowego krezusa, magnata w branży deweloperskiej i stoczniowej Eyal Ofer, który zebrał na koncie 9,2 mld dol.

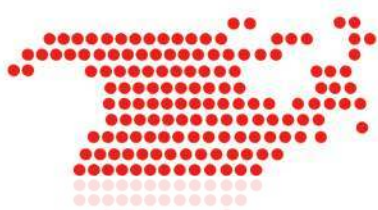
Abramowicz to nie pierwszy oligarcha z Rosji, który otrzymał obywatelstwo Izraela. Wcześniej, tuż po objęciu władzy przez Putina, izraelskim paszportem ratował się ścigany przez kremlowskie służby Władimir Gusiniński, właściciel grupy medialnej Media-Most. Jednak w przypadku Abramowicza, który unika konfliktów z władzą, chodzi o coś zupełnie innego – o jego interesy i majątek w Wielkiej Brytanii, które zostały zagrożone po tym, jak w marcu dokonano tam zamachu na Siergieja Skripała.

O zamach na byłego agenta władze brytyjskie oskarżyły Rosję, co spowodowało relacje między oboma krajami do najgorszego poziomu od zakończenia zimnej wojny. W ramach retorsji Brytyjczycy wydali 23 rosyjskich dyplomatów i wzięli pod lupę niejasne interesy oligarchów powiązanych z Kreml. Wśród nich Abramowicz, właściciela m.in. piłkarskiego klubu Chelsea. Gdy się okazało, że upływa termin ważności jego wize, odmówiono mu jej przedłużenia, co oznaczało konieczność opuszczenia przez oligarchę Wielkiej Brytanii i pozostawienia tam dużego majątku.

Ten wychowanek Borysa Bieriezowskiego zdobył fortunę za rządów Jelcyna. Podczas ustawionej prywatyzacji w latach 1996–1997 Abramowicz przejął wraz z Bieriezowskim za 100 mln dol. kompanię naftową Sibneft, a niespełna 10 lat później sprzedał ją – już za 13 mld dol. – Gazpromowi. W tym czasie pozbył się też wielu udziałów w branży surowcowej, energetyce i transporcie. Bieriezowski, który w obawie przed Putinem wyemigrował do Wielkiej Brytanii, próbował w 2011 r. odzyskać część pieniędzy przed brytyjskim sądem, ale przegrał sprawę, a dwa lata później zmarł w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach.

Tymczasem Abramowicz z powodzeniem lokował miliony w Wielkiej Brytanii. Początkowo przyjmowano tam rosyjskie pieniądze z otwartymi ramionami, jednak wraz z wiedzą na temat natury i pochodzenia rosyjskiego kapitału to przychylne nastawienie zaczęło się zmieniać. Sprawa Skripała nadała tym wątpliwościom polityczny charakter. Gdy w końcu rząd brytyjski postanowił odmówić Abramowiczowi przedłużenia wize, oligarcha wykorzystał żydowskie pochodzenie, aby uzyskać izraelski paszport. Dzięki temu ominął zakaz wjazdu do Wielkiej Brytanii i nadal może doglądać swoich interesów. Przecież nie jest już rosyjskim oligarchą, lecz poważnym inwestorem z Izraela.

Konrad Kołodziejski



Wenezuela

Kurs na konfrontację z Zachodem

20 maja odbyły się wybory prezydenckie w Wenezueli i znów zwyciężył w nich Nicolás Maduro, m.in. dzięki fałszerstwom. Znaczna część obywateli wybory zbojkotowała. Frekwencja wyniosła 46 proc.

Zachód, z UE i USA na czele, uznał głosowanie za farsę. 14 ambasadów zostało w proteście odwołanych z Caracas. A administracja Trumpa postanowiła nałożyć kolejne sankcje. Zabroniła firmom i obywatelom USA pomagania wenezuelskiemu reżimowi w sprzedaży państwowych nieruchomości, obligacji oraz dóbr inwestycyjnych. Jak twierdzi Waszyngton, Maduro i jego sitwa wyprzedają obecnie „wszystko, co nie jest przyśrubowane”, podczas gdy Wenezuelę ogarnęła hiperinflacja sięgająca 14 tys. proc. Waszyngton rozważa nałożenie embarga na wenezuelską ropę, której produkcja stanowi ok. 25 proc. PKB kraju. W odpowiedzi Maduro wydalil dwóch amerykańskich dyplomatów. Po kilku dniach namysłu jednak postanowił wysłać gest pojednawczy do władz USA i wypuścić na wolność więzionego od dwóch lat mormońskiego misjonarza Joshuę Holta.

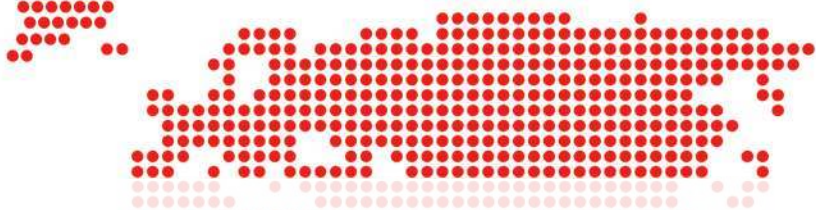
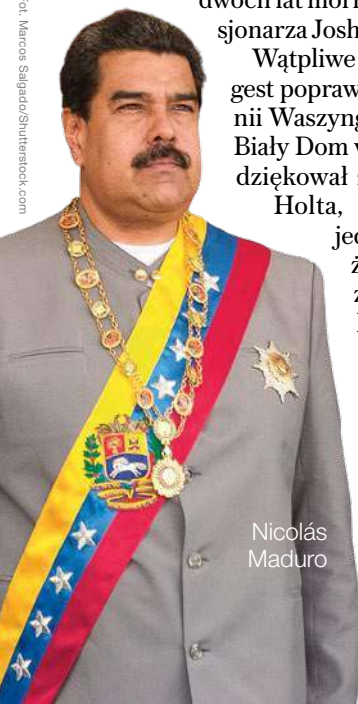
Wątpliwe jednak, by ten gest poprawił relacje na linii Waszyngton–Caracas. Białe Dom wprawdzie podziękował za uwolnienie

Holta, ale zaznaczył jednocześnie,

że „to nic nie zmieni”, a relacje wrócą do normy dopiero, gdy w Wenezueli zostanie przywrócona demokracja. **▲**

Aleksandra Rybińska

Nicolás Maduro



Węgry

Budapeszt przeciw Kijowowi

Rząd Węgier wezwał kraje NATO do rewizji polityki wobec Ukrainy. Viktor Orbán stwierdził, że mimo olbrzymiej pomocy z Zachodu „rządowi ukraińskiemu brakuje woli politycznej i zdolności do wykonania podstawowych reform reorganizujących system gospodarczy, polityczny i społeczny wymaganych przez międzynarodowych donatorów”. Jego zdaniem władze w Kijowie są niezdolne do ochrony praworządności i gwałcą prawa mniejszości.

Oczywista niewydolność państwa ukraińskiego wiąże się z podstawowym dylematem wielu tamtejszych środowisk prozachodnich: wolność czy sprawiedliwość? Nie da się bowiem wywalczyć niepodległości wbrew oligarchom. To zbyt duża siła. Trzeba więc przeciągnąć ich na swoją stronę, oczywiście za cenę koncesji. Nie da się jednak zbudować sprawiedliwego państwa razem z oligarchami, którzy psują system polityczny.

Stanowisko większości Ukraińców można zobrazować następująco: jeśli płonie twój dom, a widzisz, że złodziej wynosi z niego kosztowności, to nie rzucasz się za nim w pogoń, tylko najpierw gasisz pożar i ratujesz dom. Podobny pogląd prezentują kraje Zachodu, wspomagające Kijów. Ważniejsze jest dla nich powstrzymanie imperialnych zakusów Rosji niż reforma ukraińskiego państwa, dlatego na wiele spraw przyszykują oczy. Orbán wyłamał się z tego konsensusu, ale nie z powodu troski o Ukraińców, lecz o mniejszość węgierską, którą dotknęły skutki uchwalonej niedawno ustawy oświatowej.

Nowe prawo wprowadzono z myślą o Rosjanach, których mieszka na Ukrainie ok. 8 mln. Najwięcej było ich na Krymie (67 proc.) i w Donbasie (45 proc.). Większość mieszkańców nie mówiła tam po ukraińsku, a szkoły z tym językiem wykładowym były kroplą w morzu rosyjskojęzycznej oświaty. Dlatego Kijów postanowił działać i zezwolił na zajęcia w językach mniejszości narodowych tylko w pierwszych czterech klasach podstawówki. W szkołach średnich jedynym dopuszczalnym językiem uczynił ukraiński. Warto dodać, że podobne dylematy z mniejszością rosyjską mieli po odzyskaniu niepodległości Łotysze i Estończycy. Postąpili ostrzej niż Ukraińcy. Odmówili bowiem nadania obywatelstwa tym mieszkańcom kraju, którzy nie nauczyli się łotewskiego i estońskiego.

Nowe prawo oświatowe, uchwalone z myślą o Rosjanach, uderzyło jednak w mniejszość madziarską na Zakarpaciu, która ma tam szkoły średnie, a nawet wyższe we własnym języku. Znam węgierskich absolwentów uniwersytetów, którzy przeszli wszystkie szczeble edukacji na Ukrainie, a nie znają w ogóle ukraińskiego. Rząd w Kijowie argumentuje, że są przez to upośledzeni na ukraińskim rynku pracy. Innymi słowy: na Ukrainie kształcą się ludzie, którzy nigdy nie będą pracować w tym państwie. Dla żadnego kraju nie jest to interes. Inny jest natomiast interes Węgrów. Oni z kolei próbują wyrzucić nacisk na Kijów i odzyskać utracone prawa swej mniejszości. **▲**

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Coraz bliżej państwa prawa

Warszawska komisja reprivatyzacyjna zdecydowała, że kamienica przy Mokotowskiej 63, która została oddana fałszywym spadkobiercom z naruszeniem prawa, ma być zwrócona miastu, a oszuści muszą oddać ponad 50 mln zł. Pozostaje jeszcze ustalić, kto personalnie ze strony ratusza prawo naruszył, i skazać go, na co zasłużył.

Okazuje się, że „państwo prawa” nie jest już frazezem chroniącym przestępczych prawników, że zaczyna funkcjonować realnie. Pamiętamy, kto w knajpianej rozmowie zdefiniował państwo Tuska jako „teoretyczne”. Dzięki obecnej władzy zaczyna być praktyczne. Otwiera niezbędne komisariaty policji. Wykrywa VAT-owskich złodziei w krawatach. I bandyckie szajki w dresach. Demaskuje mafię notariuszy w Gdańsku, żerującą podobnie jak Amber Gold na ludzkiej naiwności. (Taka gdańska specjalizacja). Zamyka melioranta ze Szczecina – Gawłowskiego – umoczonego po uszy w korupcji. Łapie na gorącym uczynku gang przebierańców udających służby specjalne.



**Jan
Pietrzak**

Dzień po dniu dostrzegamy, że to państwo nie jest już głuche ani ślepe, nie trzyma parasola ochronnego nad przestępcami, że ma wolę i energię, by nas odciążyć od gangsterskiej zmory, dewastującej mentalność, finanse i gospodarkę...

Realne, nie teoretyczne, życie nieustannie nas zaskakuje atakami grup przestępczych. W ostatnich tygodniach ku zdumieniu publiczności trwa jakiś festiwal pożarów na wysypiskach śmieci. Toksyczne dymy snują się nad Niżem Polskim, trując przyrodę, zagrażając zdrowiu i życiu wielu ludzi. Za tak masowym zjawiskiem stoją zapewne łobuzy, którzy korzystając z liberalizmu poprzedniej władzy, bezkarnie truli naszą ziemię chemicznymi odpadami z Zachodu. Przypomnijmy, że specyficzny liberalizm III RP uzależniony był od wysokości łapówek, czyli żywej gotówki. Teraz kończą im się koncesje i ułatwiają sobie zadanie, w widowiskowy sposób zwijając śmierzący interes. Minister środowiska Kowalczyk nazywa ich mafią śmieciową i powiada: „Rozsądek nakazuje być bardzo podejrzliwym”. Otóż to...

Nigdzie nie ma takiej publiczności

*Z piosenkarką **Katarzyną Cerekwicką** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

W zeszłym roku wywiozła pani z Opola Karolinę. Tegoroczny festiwal (8–11 czerwca) też będzie wyjątkowy?

Katarzyna Cerekwicka: Oczywiście. Choćby z racji jubileuszowej, 55. edycji. Dla mnie to również muzyczne wyzwanie – z powodu duetu, którego nie mogę jeszcze zdradzić.

A zdradzi nam pani pierwsze wspomnienia związane z Opolem?

Jako nastolatka marzyłam, by wystąpić na tej scenie. Wydawała mi się ogromna, przytłaczająca, ale gdy w 1997 r. stanęłam na niej

podczas koncertu debiutów, okazała się bardziej przyjazna, przytulna niż w telewizji. Opole uwielbiam za festiwalową publiczność. Nie ma drugiej takiej. Deszcz, grad, chłód... zawsze dopisuje. Nie zostawia nas, artystów, samych.

Co się będzie działo w tym roku na opolskiej scenie?

Program zapowiada się niezwykle interesująco. Poza tradycyjnymi konkursami debiutów i premier oraz koncertem „Od Opola do Opola”, podsumowującym miniony rok w muzyce rozrywkowej, będzie wieczór z piosenkami na mundial

i kolejny, wypełniony piosenkami literackimi oraz kabaretowymi pt. „Ja to mam szczęście”. Niezwykle interesująco zapowiada się też jubileuszowy koncert na stulecie niepodległości „Piosenka ci nie da zapomnieć”.

Jaki utwór pani by na ten koncert wybrała?

Trudne zadanie, ale jest jedna piosenka niezwykle piękna i ponadczasowa: „Dziwny jest ten świat” Czesława Niemena. Hymn polskiej muzyki – o miłości, ale nie skupionej tylko na sobie – przekonujący, że najważniejsze to być człowiekiem.

BRONISŁAW WILDSTEIN

Maski spadają

Liberalna demokracja to taka, w której winni rządzić oni i ich towarzysze, a jak ktoś ten stan rzeczy podważa, trzeba dać mu po łapach. Przedstawiciele europejskiego establishmentu uznają, że jest to zrozumiałe samo przez się



Napisać miałem o proteście niepełnosprawnych w Sejmie, ale się skończył. Mam nadzieję, że marszałkowie i ich służby przygotowani są na kontynuację tego typu przedsięwzięć i nie pozwolą np. posłowi Szczepie sprowadzić pacjentów oraz ich rodzin, aby przerobić Sejm na szpital, albo posłowi Brejzie – jeśli dojdzie do siebie po zamachu na bliski mu toi toi – uczynić z niego hospicjum.

Żyjemy w czasach specyficznej, instrumentalizowanej przez media czułościowości, wykorzystują ją ci, którzy dysponują odpowiednimi środkami, tak jak obrońcy III RP. Od przegranych wyborów robią wszystko, aby sparaliżować pracę nowo wybranego parlamentu i wyłonić z niego rząd. Pierwszą próbę tego ćwiczyliśmy w grudniu 2016 r., bojkotki Obywateli RP ciągle próbują to robić. Przedsięwzięcie zainicjowane przez Joannę Scheuring-Wielgus, która uznała, że na walce z dyktaturą kobiet kariery już nie robi, jest wyjątkowo perfidne. Ludziom pokrzywdzonym przez los należą się specjalne względy, ale oznacza to również, iż żerowanie na ich ułomności jest szczególnie odrażające. Scheuring-Wielgus niepełnosprawnymi wcześniej się nie zajmowała, no chyba że uznać za to kampanię na rzecz ich aborcji, ale skoro okazało się, że posłuszy mogą przeciwko władzom PiS...

Ale miało być o czymś innym. W „Project Syndicate” ukazał się artykuł Sławomira Sierakowskiego „Czy odebranie funduszy Węgrom i Polsce będzie przeciwnie skuteczne?”. Lider „Krytyki

Politycznej” stwierdza wprost, że „ukaranie” Węgrów czy Polaków za wybór „populistów” byłoby uzasadnione. Warto jego zdaniem rozważyć jedynie, czy nie wzmocniłoby ich ono i czy konsekwencji nie poniósłby kto inny, np. opozycja, która według Sierakowskiego może zdobyć władzę już w najbliższych wyborach.

Internetowe pismo „Project Syndicate” głosi, że jego „celem jest publikacja i dostarczenie oryginalnych prowokujących komentarzy autorstwa znanych polityków i intelektualistów w dziedzinie ekonomii, polityki, nauki i biznesu, co stwarza możliwość prowadzenia debaty publicznej. Założeniem syndykatu jest prezentacja różnorodnych poglądów oraz ułatwienie czytelnikom zrozumienia bieżących tendencji i wydarzeń zachodzących w świecie”. Artykuły, które możemy tam znaleźć, produkowane przez autorów głównych mediów zachodnich (polskim współpracownikiem przedsięwzięcia jest „Wyborcza”) wychodzą spod jednej sztafki, proponują zideologizowaną wizję rzeczywistości, czyli utrudniają jej zrozumienie, a poważanej debaty tam nie usłyszysz.

Zawracam czytelnikom głowę Sierakowskim, gdyż rzadko jeszcze trafiamy na tak ostentacyjne postawienie sprawy: narody, które nie wybierają, jak trzeba, należy karać. To przykład, że zagrożony establishment przestał bawić się owianiem w bawelnę. Wcześniej kuratela nad zbiorowościami prowadzona była pod hasłem demokracji, ale kiedy okazało się, że potrafią być one niegrzeczne, skończyła się swawola. Z demokracji zo-

stał wyłącznie liberalizm. Politycy tacy jak Guy Verhofstadt, szef frakcji liberalistów w Parlamencie Europejskim, czy prezydent Francji Emmanuel Macron wzywają, aby UE zaprzestała finansowania „illiberalizmu”. Innymi słowy otwarcie głoszą, że organizacja ta ma być wehikułem ideologii liberalnej.

Wprawdzie nikt dotąd nigdzie tego oficjalnie nie zapisał ani nie ogłosił, ale – jak widać – przedstawiciele europejskiego establishmentu uznają, że jest to zrozumiałe samo przez się. Liberalna demokracja to taka, w której winni rządzić oni i ich towarzysze, a jak ktoś ten stan rzeczy podważa, trzeba dać mu po łapach.

Wybrali Włosi nie tak, jak trzeba, to prezydent z poprzedniego rozdania pod naciskiem elit europejskich, zwłaszcza Niemiec, nie da im stworzyć rządu. Zachowania te stają się coraz bardziej paniczne. Tak jak w wypadku muzułmańskiej imigracji, chodzi wyłącznie o to, aby odsunąć doraźne zagrożenie. A potem... może sprawa sama się rozwiąże albo zajmować się nią będzie już kto inny. Co przy okazji pokazuje nie tylko polityczny wymiar owych elit.

Wydawało się im, że wszystko ułożone jest, jak trzeba. Wszystko w rękach towarzystwa: banki i media, wydawnictwa i uniwersytety, politycy i wymiar sprawiedliwości, kultura i natura, wszystko było jak w dobrym syndykacie, mam oczywiście na myśli „Project Syndicate”, i pluralizm był właściwy, aż tu jak z podziemi wyłonili się populiści.

A jeśli nie ugną się nawet pod ekonomiczną presją?

Fot. Andrzej Wiktor

W Maszkowicach (Małopolska) znajduje się wręcz modelowe cygańskie getto. Składa się na nie ok. 50 „domów” skleconych z byle czego, czyli z kawałków blachy, desek uszczelnianych dyktą, rzadziej cegiel. W slumsie żyje 200 ludzi z plemienia Bergitka Roma, z czego pracuje... dwóch. Reszta pozostaje wierna cygańskiej tradycji i utrzymuje się z naszych podatków, dorabiając na boku handlem materiałami wtórnymi oraz drobną przestępczością. Do historii przeszedł napad na orszak weselny we wrześniu 2014 r., który został zmuszony do zatrzymania się, gdyż na jezdni położył się mały Cygan. Jego starsi koledzy zażądali od weselników haraczu. Wywiązała się bójka, kilkunastu gości zostało pobitych. Po tym wydarzeniu policja objęła ochroną Romów z Maszkowic w obawie przed napadami ze strony Polaków, choć to Polacy czują się tam sterroryzowani. Nad samą osadą często pojawiają się kłęby czarnego, toksycznego dymu. Pochodzi on z „wypalania” izolacji kabli, które z niewiadomych przyczyn znalazły się w rękach mieszkańców. Po jednym z licznych pożarów w Maszkowicach znaleziono zwęglone zwłoki trzyletniego dziecka. Teraz sparaliżowane strachem władze gminy zdobyły się wreszcie na odwagę i wydały decyzję o rozbiórce 36 konstrukcji mieszkalnych zaprojektowanych przez romskich „architektów”, traktując je jako samowolę budowlaną stwarzającą ryzyko zawalenia się. Romowie mają to gdzieś, tym bardziej że w obronę ich interesów już od dawna angażuje się wspomniany przeze mnie tydzień temu autor muralu tuż przy Dworcu Gdańskim w Warszawie z majorem KBW Baumanem – Dariusz Paczkowski. Ten wrażliwy społecznie działacz pobiera środki finansowe z wielu źródeł, m.in. funduszy europejskich, pieniędzy samorządowych, Fundacji Batorego (dotowanej przez rząd). W zamian przeprowadzał za rządów PO „antyrasistowskie” szkolenia dla urzędników,

OGNIEM NA WPROST

Dym

policjantów i prokuratorów oraz organizuje Dni Romskie w maszkowickich slumsach. Na razie nie zanoszą się na to, by Cyganie dobrowolnie opuścili swoje „apartamenty” i przenieśli się do zbudowanych specjalnie dla nich kontenerów. Sądzę, że już najwyższy czas, aby Ministerstwo Kultury potraktowało ten problem jako ciąg dalszy realizowanej z mniejszym lub większym skutkiem (raczej mniejszym) misji pojednania skłóconych środowisk i wysłało tam delegację, najlepiej pod kierownictwem samego szefa resortu. Problem bowiem jest nabrzmiały.

Ale żeby sprawiedliwości stało się zadość, dymy unoszą się nie tylko nad cygańskimi osiedlami. Generalnie płonie cała Polska. Jak kraj długi i szeroki, gnają na sygnałach zastępy straży ogniowej, motopompy i sikawki pracują pełną

moć, a to wszystko dlatego, że palą się wysypiska śmieci. Odkąd Chiny wprowadziły restrykcyjne ustawodawstwo, odpady z całego świata i okolic lądują nad Wisłą. Gnijąc w wysokiej temperaturze i ze znikomym dostępem tlenu wytwarzają łatwopalny metan, a ten z kolei ulega samozapłonowi i jazda jest na całego. Wszędzie się „pali jak cholera / a tłum stoi i łeb zadziera”. Do akcji weszły „policje tajne, jawne i dwupłciowe”, albowiem padło podejrzenie, że za tym wszystkim stoi nowa mafia, tym razem „śmieciowa”. Zapewne tak, gdyż – jak już przykład dała kamorra w Neapolu – pecunia non olet (pieniądz nie śmierdzi) i na śmieciach zarobek jest niezły, acz nie do końca legalny. Za komuny było takie hasło „Tysiąc szkół na Tysiąc-lecie” – państwa polskiego, rzecz jasna. Dziś spece od odpadów postanowili uczcić rocznicę hasłem „100 pożarów na Stulecie” – niepodległości, rzecz jasna.

Świat islamu ciągle ubogaca nas kulturowo. Ostatnio w Beludżystanie (Pakistan) chłopak chciał pogadać przez telefon z dziewczyną, do której żywił uczucie. Trudno mu się dziwić, gdyż planował z nią nawet małżeństwo. Jednak najbliższa rodzina Abdula Baqiego (tak się nazywał) była innego zdania. Oskarżyli go o pogwałcenie wartości islamskich. Tym, co najbardziej ich rozwścieczyło, był fakt, że ośmielił się rozmawiać z nią przez telefon. 13 maja bracia i ojciec Baqiego zamknęli matkę oraz siostry w pokoju i zaczęli bić go pałkami. „Jeden z moich braci wyjął mi gałkę oczną za pomocą łyżeczki do herbaty” – wspomina nieszczęśnik w wywiadzie dla „Voice of America”. „Wtedy ojciec wziął nóż i odcinał nerwy, na których zwiślała. Inny z braci nadepnął mi na głowę, aby upewnić się, że się nie ruszę, a kolejny usunął moje drugie oko”. Co się stało z wybranką serca, nie wiadomo. Nowa, „garmazeryjna” odsłona Szekspirowskiego dramatu „Romeo i Julia” w wersji po pakistańsku.

Andrzej Rafał Potocki





MARTA KACZYŃSKA

Architektura miast

W Pawilonie Polskim na 16. Międzynarodowej Wystawie Architektury – La Biennale di Venezia otwarto wystawę zatytułowaną „Amplifikacja natury” przygotowaną przez grupę Centrala i kuratorkę Annę Ptak. W ostatnich latach nasz kraj niejednokrotnie był reprezentowany na biennale z sukcesem. W 2008 r. Złotego Lwa zdobył zespół: Grzegorz Piątek, Jarosław Trybuś, Nicolas Groszpiere i Kobas Laksa. Dwa lata temu powszechne zainteresowanie wzbudziła zaproszona do wystawy głównej ekspozycja Hugona Kowalskiego i Marcina Szczeliny pt. „Fair Building”.

W opisie tegorocznej wystawy można przeczytać, że „koncentruje się wokół idei architektury jako konstrukcji, przez którą człowiek doświadcza zmysłowo skali planety. Opracowana koncepcja »pływającego imaginarium«, stanowiącego centralny punkt wystawy, odwołuje się z jednej strony do planetarnego ujęcia architektury, z drugiej – do wybitnych realizacji polskiego modernizmu drugiej połowy XX w.”. Twórcy koncepcji postawili sobie za cel badanie, w jakim zakresie architektura stanowi medium łączące człowieka z planetą, przyjmując założenie, zgodnie z którym architektura jest częścią procesów zachodzących w skali planety. Zdaniem Anny Ptak, Małgorzaty Kuciewicz i Simone’a De

Iacobisa pozostaje ona integralnie związana z grawitacją, krążeniem wody oraz cyklem dnia i nocy. Architektura jako czynnik społeczny jest wpisana w przyrodę, a przyroda wpisuje się w architekturę. Przyczynkiem do opisanych rozważań artystów były poczynione przez nich obserwacje przykładów polskiego modernizmu, bazujące na wykorzystaniu zjawisk zachodzących w przyrodzie: wpisane w skarpe wiślaną kompleksu sportowego Warszawianka (procesy geologiczne), domu Zofii i Oskara Hansenów w Szuminie (cykl dobowy) oraz niezrealizowanego projektu nawodnego pawilonu obrotowego Jacka Damińskiego (wyporność wody). Modernizm w architekturze zrównywał funkcjonalność z pięknem poprzez założenie, że wszelkie dodatkowe elementy zdobiące, jak np. ornamenty, są absolutnie zbędne. Z punktu widzenia wyznawców tego stylu najważniejszym było zapewnienie godziwych warunków przestrzeni życiowej, ekonomizacja i optymalizacja urbanistki, architektury i przemysłu. Forma architektoniczna była skrajnie racjonalna, zastosowanie miały także nowe technologie.

Współczesne problemy metropolitalne, także te dotyczące skutków chaotycznego zagospodarowania przestrzeni w Polsce po 1989 r. (doskonale uchwycone m.in. w książce Filipa Springera

pt. „Wanna z kolumnadą. Reportaże o polskiej przestrzeni”), skłaniają urbanistów i architektów do poszukiwania rozwiązań zwiększających komfort życia mieszkańców. I to poczynając od odpowiedniej lokalizacji mających powstać osiedli mieszkaniowych (doskonale pomysł Ministerstwa Infrastruktury na wykorzystanie terenów PKP położonych w centrach miast pod inwestycje w ramach programu Mieszkanie+, poprzez poziom komunikacji (elektryfikacja i upowszechnienie transportu miejskiego, propagowanie carsharingu i bikesharingu), oszczędność energii bazującą na nowoczesnych technologiach IT (szeroko pojęta idea smart city), po czystość powietrza (wprowadzenie stref czystego transportu w oparciu o przepisy ustawy o elektromobilności), zabudowę mieszkaniową i publiczną, które mają współgrać z otaczającą przyrodą i naturalnie zachodzącymi w niej procesami (odnawialne źródła energii, energooszczędne, zdalnie sterowane systemy w mieszkaniach).

Do roku 2050 liczba ludności zamieszkującej miasta na świecie ma wzrosnąć o 2,5 mld. Chcąc pomieścić wszystkich w miastach, trzeba budować z założeniem, że jedynym rozwiązaniem jest symbioza z naturą rozumiana jako troska o jej dobrostan, a także jako źródło inspiracji do kreowania funkcjonalnych rozwiązań.

Wysiadamy na Przystanku Niepodległość

To już czwarty rok, gdy na ziemi kłódzkiej spotykają się patrioci, którym leży na sercu dobro Polski. W szczególnym roku 100-lecia odzyskania niepodległości wysiądą oni 8 czerwca na Przystanku Niepodległość w Dusznikach-Zdroju, a ich główną bazą będzie Dworek Chopina. Tegoroczną edycję honorowym patronatem objął premier Mateusz Morawiecki.

Podczas trzydniowego spotkania odbędzie się cykl debat, m.in. o aktualnej sytuacji społeczno-politycznej w Polsce, o zagrożeniach i wyzwaniach stojących przed naszym krajem, o tragedii smoleńskiej, relacjach polsko-węgierskich. Po raz pierwszy Przystanek Niepodległość – Polska Energia

będzie gospodarzem plenerowego wydania Salonu Dziennikarskiego, który standardowo prowadzony jest w studiu TVP Info.

Nie zabraknie także koncertów, wystąpią m.in. węgierski zespół rockowy Hungarica, Rodzina Chopina z Wojciechem Rohatynem Popkiewiczem, Tenorzy Niepodległej, Paweł Piekarczyk, Dariusz i Bartosz Grzybkowscy oraz Orkiestra Policyjna. Będą również liczne wystawy oraz statyczny pokaz broni 22. Karpackiego Batalionu Piechoty Górskiej z Kłodzka.

Wydarzenie to nie mogłoby się odbyć bez wsparcia sponsora głównego, czyli firmy TAURON – Polska Energia SA, oraz sponsora, którym są Uzdrowiska Kłodzkie SA.

Kolorowi na rowery!

Londyn ma problem. Przynajmniej tak widzi sprawę jeden z urzędników. Okazuje się, że w tym mieście na rowerach jeździ zbyt wielu białych. „Zbyt mało kobiet i osób pochodzących z mniejszości etnicznych jeździ rowerem w Londynie. Trzeba zrobić więcej, aby promować różnorodność wśród, w dużej mierze, białej, męskiej i średniej klasy społeczności rowerowej” – stwierdził Will Norman, pełnomocnik burmistrza Londynu ds. turystyki pieszej i rowerowej, cytowany przez Telewizję Republika. Urzędnik nie tylko się martwi, lecz także zapowiada walkę z problemem. Chce podjąć kroki, by niekorzystny stan rzeczy zmienić. Czarni, Azjaci czy inne mniejszości etniczne to zaledwie 15 proc. rowerzystów w brytyjskiej stolicy. Strach się bać, jakie to mogą być kroki. Łapanki wśród Afroamerykanów i przymus jazdy na rowerze nie brzmią dobrze...



75 proc.

tytu badanych przez CBOS zapowiada udział w wyborach samorządowych.

4,3 proc.

tyle według GUS wynosił w Polsce w 2017 r. poziom skrajnego ubóstwa. To oznacza spadek o 0,6 proc. w stosunku rok do roku. Dla porównania w 2015 r. skrajnie ubogich było 6,5 proc. Polaków

300 decyzji

zwrotu nieruchomości mieli wydawać rocznie urzędnicy stołecznego ratusza. Tak przynajmniej zeznał przed komisją weryfikacyjną były podwładny Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Asymilacja na odwrót

33-letnia pasażerka pociągu we francuskim mieście Dijon została obrzucona obelgami i popchnięta przez Afgańczyków starających się o status uchodźcy, za to, że miała strój ze zbyt dużym, ich zdaniem, dekoltem” – informuje Rp.pl. Dwaj Afgańczycy, w wieku 20 i 23 lat, zostali aresztowani. Zaraz pewnie usłyszymy, że kobiety powinny się tak ubierać, żeby nie obrażać uczuć religijnych imigrantów. Asymilacja przebiega nie w przeciwnym kierunku.



Bez dymka

Osoby wolne od papierosowego nałogu, a pracujące w sektorze państwowym w węgierskim mieście Szentes, otrzymują decyzją władz lokalnych dodatkowy dzień urlopu. I to jest bardzo dobry pomysł. Niepalący po prostu więcej pracują, bo nie potrzebują ciągłych przerw na dymka. Może i u nas pomysł by się przyjął?



Pożegnanie

Irlandia przegrała walkę o życie. Ponad dwie trzecie uczestników referendum opowiedziało się za liberalizacją przepisów aborcyjnych. W ten sposób pożegnaliśmy starą, dobrą, katolicką Irlandię.



1861-2018



Mój apel do wszystkich instytucji UE: proszę uszanować wyborców. Jesteśmy tam, aby im służyć, a nie ich pouczać – napisał na Twitterze Donald Tusk, komentując w ten sposób wypowiedź komisarza Günthera Oettingera, że rynki nauczą Włochów, na kogo trzeba głosować. Włosi to mają szczęście z takim obrońcą. Szkoda, że na podobne słowa wsparcia nie mogą liczyć polscy wyborcy.



Ciemnogród po czesku

Nie tylko Polakom nie podoba się radosna twórczość Chorwata Olivera Frlijicia, twórcy „Kłatwy”. Sztuka „Nasza przemoc, wasza przemoc” pokazywana w Teatrze Husa na Provázku w Brnie została zakłócona przez protestujących. Policjanci wyprowadzili część przeciwników spektaklu, druga grupa gwiazdami starała się zakłócić zakończenie przedstawienia. W jednej ze scen Jezus schodzi z krzyża, by zgwałcić muzułmankę. O sprawie informuje m.in. Tvp.info. „Musimy się nauczyć walczyć za naszą wiarę i naszego Boga, bo jeżeli ktoś w ten sposób go obraża i pokazuje, że nasz Bóg kogoś gwałci, to jest to bluźnierstwo najwyższej miary” – powiedziała przedstawicielka grupy chrześcijańskich działaczy Iva Spytкова. Całe szczęście, że w Czechach też mają swój ciemnogród. Ciemnogradzianie wszystkich krajów, łączcie się!

Fot. Andrzej Wilkier, Shutterstock (4x), Wiener Festwochen (4x), Palatinos, mediainfo.com

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Sztuczny koń

Straszą nas ciągle sztuczną inteligencją. Stephen Hawking bał się, że mogą powstać technologie, które przechrzątną rynki finansowe, oszukają światowych przywódców i stworzą broń, której ludzie nie będą w stanie zrozumieć. A przede wszystkim miał wątpliwości, czy sztuczną inteligencję w ogóle da się kontrolować.



**Dominik
Zdort**

Elon Musk z kolei jest liderem grupy naukowców protestujących przeciw „śmiercionośnej broni autonomicznej”. „Taka broń może się stać narzędziem terroru, którego despoty i terroryści będą mogli użyć przeciwko niewinnym i która będzie mogła być zhakowana” – pisali Musk i jego towarzysze w wydanym jakiś czas temu oświadczeniu.

Chętnie bym wierzył w dobre intencje biznesmena i wynalazcy, gdyby nie to, że sam jest twórcą „śmiercionośnej broni autonomicznej”, która „będzie mogła być zhakowana”. Samochody budowane przez jego koncern to już dziś samochody autonomiczne, podłączone do sieci internetowej – a więc nie dość, że inteligentne, to podatne na inwazję wirusów krążących w sieci. Oczywiście szef firmy zapewnia, że jego „system jest zupełnie samodzielny i zapewnia pełne bezpieczeństwo”. No tak, jeśli inni wynalazcy gwarantują bezpieczeństwo, to kłamią, a jak deklaruje to Elon Musk, to mówi prawdę.

Zostawmy jednak na boku hipokryzję twórcy Tesli. Dziś raczej należy się martwić nie tym, że maszyny autonomiczne są nazbyt inteligentne, lecz że wciąż są tak mało inteligentne. Wystarczy wrzucić prosty tekst do internetowego systemu tłumaczącego, żeby zdać sobie sprawę, że mamy do czynienia z półanalfabetą. Nie zaszliśmy daleko od czasów wielkich szafowych komputerów, które tłumacząc (z angielskiego na francuski i z powrotem) zdanie: „German jest półprzewodnikiem”, uzyskały w przekładzie: „Niemiec jest połową kierownika”.

Inny aktualny (bo związany z RODO) przykład potencjalnego zagrożenia – podobno dzięki śledzeniu naszych zachowań w internecie algorytmy są w stanie wymuszać na nas konkretne zachowania. I znów – na razie mamy do czynienia nie ze sztuczną inteligencją, ale z elektronicznym debilem, który trzy miesiące po tym, gdy zamówiliśmy pralkę, nakłania nas do kupna kolejnej.

Całe to straszenie przypomina mi opowieść o pewnym naukowcu, który u schyłku XIX w. obliczył, że w 1950 r. w Paryżu będzie tyle dorożek, iż owsa z całej Francji nie wystarczy, aby wykarmić ciągnące je konie.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Dom pod sedesami

Z rozbawieniem oglądałem „wywiad”, jaki nakręcił i wrzucił do internetu jakiś facet z KOD, który usiłował rozmawiać z kandydatem na prezydenta stolicy – Rafałem Trzaskowskim. Zadał politykowi pytanie o trasę przejazdu po Warszawie, wykorzystując zwyczajowe nazwy miejsc, które warszawiak powinien znać, np. dom pod sedesami (XX-wieczny budynek przy Marszałkowskiej). Trzaskowski się wściekł, był opryskliwy i nie chciał uczestniczyć w dalszej rozmowie. Kodywiec był zdziwiony „otwartością” człowieka, który przecież niby „wychodzi do ludzi”, i to nawet z ławeczką.

Jednak mnie na myśl przyszło, że może Trzaskowski tak się zdenerwował, bo pomyślał, iż... dom pod sedesami to kamienica, w której mieszka poseł Brejza. Jak wszyscy wiemy, „zamach” na życie posła Brejzy okazał się mieć prozaiczne podłoże (tak podała policja) – jakiś sąsiad podpalił toi toi szluziem i kibelęk się spalił. Płonąca toaleta właściwie byłaby dobrym polem do różnego typu żarcików, gdyby nie to, że opozycja postanowiła wykorzystać ją do ko-



**Tomasz
Łysiak**

lejných ataków na rząd. Oto Jan Vincent-Rostowski puścił w świat na Twitterze informację po angielsku o podpaleniu domu posła Brejzy, działacza opozycji tropiącego nadużycia „nacjonalistycznego rządu”, sugerując tym samym między słowami, że podpalenie miało wymiar polityczny i mogło być inspirowane przez władzę. Tak właśnie przekracza się wszelkie możliwe granice, a wypadek podpalenia (być może groźny dla zdrowia i życia, lecz nie będący „zamachem”) jest użyty do bezpardonowej walki politycznej, w której można rzucać, jakie się chce oskarżenia, byle tylko godziły w pisowskiego przeciwnika. To zresztą na Twitterze powtarzająca się prawidłowość. Nawet gdy już wiadomo, że news jest wyssany z palca, nadal sobie wisi, jakby twórca o nim „zapomniał”, głuchy na uwagi i prośby internautów o skasowanie kłamstwa. Obrzucanie błotem działa dalej, wszystko jedno, czy ma jakiegokolwiek związek z prawdą, czy nie. W ten sposób dochodzimy do wniosku, że polityka to niestety jeden wielki dom pod sedesami. Nie ma tu reguł ni przyzwoitości. Podstawowym paliwem jest natomiast szambo. 

Okład z Rieu

Muzyka łagodzi obyczaje” – mawiał i pisał swe niedościgłe felietony pod takim właśnie tytułem Jerzy Waldorff. Dżentelmen, jakich dziś już nie ma. Po prawdzie studiował prawo, robił aplikację adwokacką, ale był też absolwentem Konserwatorium Muzycznego i zasłynął nie tylko w kraju właśnie jako wybitny krytyk muzyczny. Pan z charakterystycznym nosem, z czego lubił żartować, mówiący piękną polszczyzną, z nieodłączną łaską i jamnikiem Puzonem u boku. Przypomni mi się pan Jerzy, którego miałem przyjemność poznać przed laty podczas jednego z koncertów kameralnych na Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie, z dwóch powodów: po pierwsze, niedawno minęła rocznica jego śmierci, po drugie – właśnie gościł ze swą orkiestrą w Krakowie, Łodzi i Gdańsku słynny na całym globie hollenderski skrzypek, dyrygent i producent muzyczny, maestro André Rieu.

Kim jest Rieu? Emerytem z comiesięczną rentą 750 euro, ale obracający milionami dla realizacji muzycznych przedsięwzięć ze swą istniejącą od 30 lat Orkiestrą Johanna Straussa. Skompletował ją z solistów różnych narodowości, od m.in. naszej rodaczki wiolinistki, po Chiny czy Tanzanię. Nazywany jest „królem walca”, co jest półprawdą, bo re-

pertuar jego orkiestry jest tak zróżnicowany jak ona sama. Rieu jest perfekcjonistą. Wszystko, co wydarza się na jego koncertach, jest dogłębnie przemyślane, potrafi rozruszać i porwać w świat muzyki nawet betonową publiczność. Ja uczestniczyłem w tym w gdańskiej Ergo Arenie. Sala pękała w szwach, a o panującej tam atmosferze najlepiej świadczy chóralne odśpiewanie dyrygentowi Rieu „Sto lat...” przez przybyłych nań także z sąsiednich krajów – wspaniale, wielobarwne, nie do zapomnienia.

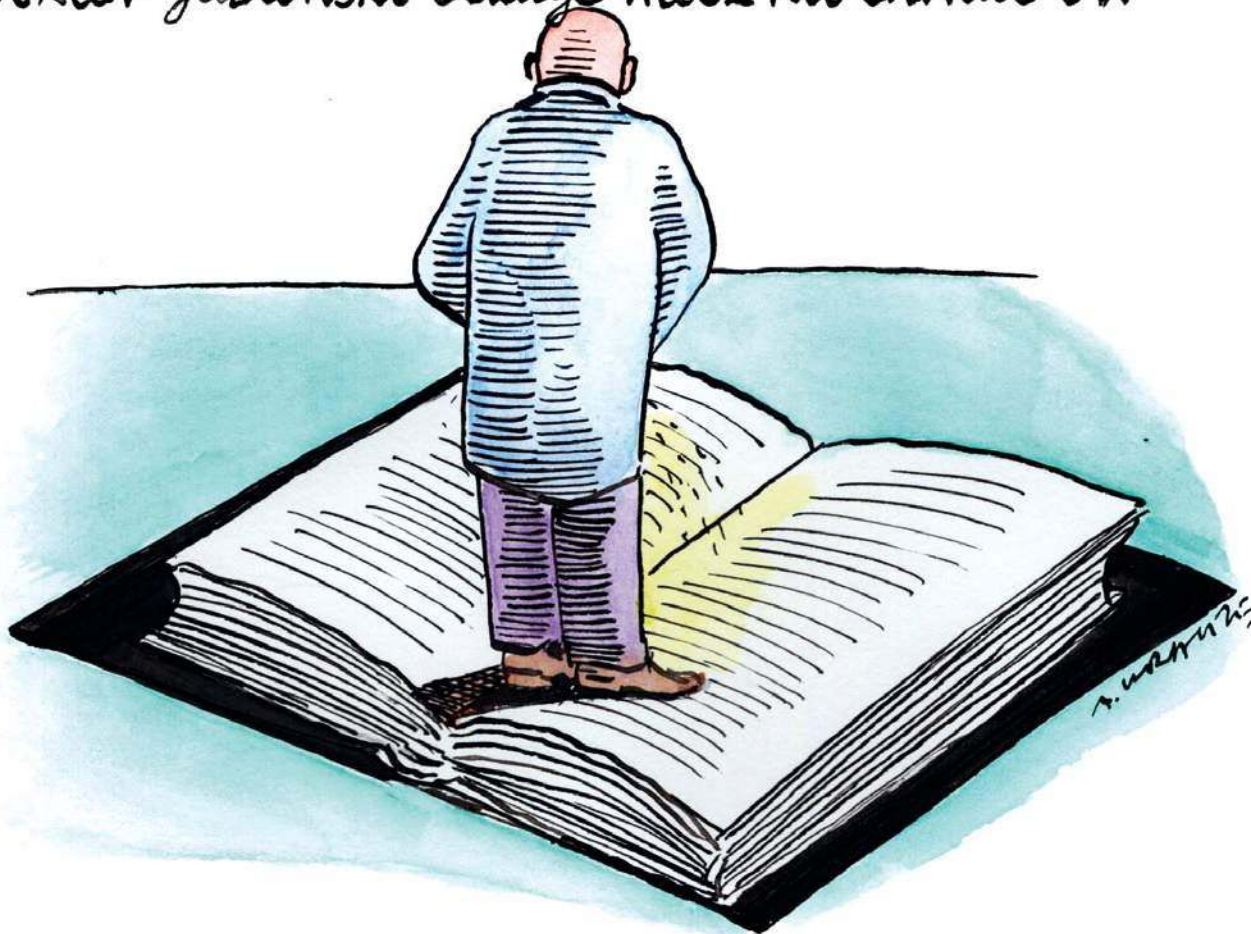
Co mają wspólnego Waldorff i Rieu? Łączy ich muzyka i poniekąd... polityka. Pamiętam, jak za komuny, gdy ministrem kultury był Lucjan Motyka, pan Jerzy pomstował, że „w Polsce kulturę uprawia się motyką...”. Waldorff klasyfikował siebie jako konserwatystę, z poszanowaniem dla tradycyjnych wartości, jak rodzina, naród, państwo, autorytet. I Rieu interesuje się polityką – jak mawia – „totalnie”. Gdyby nie muzyka, utworzyłby „partię Tempa”, czynu, bo szkoda czasu na jałowe dyskusje i pyskówki. Może dobrze byłoby wysłać zbiorowo na jeden z koncertów jego orkiestry naszych sejmików? Zaprawdę przydałby się co poniektórym taki okład z Rieu, zwłaszcza tzw. totalsom. Trawestując salonowca Waldorffa, klęę się na mego psa Teodora... 



**Piotr
Cywiński**

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

Doktor Jabłoński oddaje moczu ku chwale UW



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN),
LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIOŁEK,
WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ
GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ,
STANISŁAW JANECKI, JACEK KARŃOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI,
KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE,
DOROTA LOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI,
ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL,
MACIEJ PAWLUK, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI,
MAREK PIŻA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, PIOTR
SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWETLIK,

EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN,
IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCAK, LIDIA SŁOWKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOTEJKA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJEĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY
NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSŁYKI ORAZ RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL
LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

NAKLAD: 107 440 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
NATASZA VIEWEGER – NATASZA.VIEWEGER@FRATRIA.PL
IWONA WIEJAK – IWONA.WIEJAK@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARĄ.



FOT. NA OKŁADCE: JAN BIELECKI/ISTOCK, ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK (XS)

Jak się załatwia polityka

Co kilka lat wybuchają w Polsce afery obyczajowe. Jedne są dęte (Anastazja P.), inne poważne (Samoobrona). Wszystkie, poza wątkami pikantnymi, łączy jedno – potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. I z tej perspektywy należy patrzeć na skandal ze Stanisławem Piętą w roli głównej. Oraz zapytać: gdzie są polskie służby? Czy należycie ochraniają najważniejszych urzędników? Nie chodzi bowiem tylko o posła mającego dostęp do ścisłych państwowych tajemnic i badającego jedną z największych mafijnych afer, lecz i o prezydenta. A także o prowokację, jaką uszyła na szczytach władzy niepozorna kobieta z Gdyni. Czy samotnie?



MAREK PYZA

Jest prawdopodobne, że historia posła PiS Stanisława Pięty to dopiero przygrywka do tego, co

może nas czekać w niedalekiej przyszłości. Czy niebawem ukaże się skandalizująca książka, której celem będzie próba obnażenia fikcji ochrony pierwszego obywatela, zakłamanie pierwszoplanowych polityków, a może i wpływowych dziennikarzy?

Zbierzmy wszystko, czego jesteśmy w stanie się dowiedzieć o Izabeli Pek za pomocą tzw. białego wywiadu, czyli z ogólnodostępnych źródeł. Przed kilkoma laty Agencja Bezpieczeństwa

Wewnętrznego właśnie w ten sposób zbierała sporą część wiedzy w sprawie Amber Gold – warto zapytać, czy nie zatraciła tej umiejętności.

BRUKOWA AFERA

Według głośnego artykułu w „Fakcie” Pek została skrzywdzona przez parlamentarzystę. Miał ją uwieść, romanować przez kilka miesięcy i porzucić. Zraniona, zemściła się, suflując bru-

kowcowi opowieść o podwójnej moralności posła PiS znanego dotychczas jako mocno przywiązanego do tradycyjnych wartości. „Fakt” opisuje ich relacje w kategoriach romansu rodem z powieści Mniszkówny: „Obiecał jej ślub i dzieci, a porzucił jak śmieć”.

I dalej: „Uwiódł samotną, poszukującą miłości i pragnącą dziecka kobietę. Mamił wpływami [...]. Poczuła się doceniona. Jej, dziewczynie z prowincji, znany poseł proponuje współpracę przy dobrej zmianie. [...] Po czym bez słowa porzucił”. Kłopot w tym, że ta opowieść nie wytrzymuje konfrontacji z faktami.

Gazeta nawet nie sprawdza, kim jest kobieta, która za chwilę może zniszczyć życie posłowi. Nie stawia pytań o prawdziwe intencje. Choć chwila pracy przy komputerze pozwoliłaby mocno zniuansować tę historię i na pewno nie przedstawiać jej w takim świetle.

Kobieta pozuje na zaangażowaną w związek z Piętą, czekając na dziecko z nim. Miała rzucić dla niego wszystko, zmienić sposób ubierania się, poświęcić cały swój czas, jeździć po Polsce, bywać w parlamencie – towarzyszyć w sejmowej pracy i poza nią. Poseł (z którym tabloid rozmawiał jeszcze przed publikacją całej tej opowieści) zaprzeczał romansowi, choć dociskany przyznawał, że kobieta nocowała u niego w sejmowym hotelu. Tłumaczył się naiwnie: „Bywały sytuacje, w których prosiła mnie o pomoc, bym pozwolił jej zaczekać do rana lub znalazł tani nocleg”. Na chłodno można podejrzewać, że ma coś na sumieniu. Choć – zaznaczmy – to wciąż jego prywatna sprawa.

Publikacje „Faktu” napisane są nieco dziwnie. Nie jest w nich jasno wskazane, że bohaterów opowieści łączyła sypialnia. Gdyby poseł chciał pozwać redakcję za zarzucanie zdrady i fizycznego kontaktu z dużo młodszą kobietą, miałby pewien problem. Owszem, taki przekaz bije z każdego akapitu, ale brakuje pikanterii, której brukowiec na pewno nie omieszkaby uwzględnić, gdyby miał niepodważalne dowody. Są nimi jedynie słowa Pek, które pozostawiają wiele w sferze domysłów.

W rozmowie z nami Stanisław Pięta mówi krótko: – Zalecono mi milczenie i muszę się tego zalecenia trzymać.

Niezależnie od tego, jak w rzeczywistości wyglądała ta znajomość, powstał poważny problem. Nie tylko dla polityka, lecz również jego partii i państwa, bo można zapytać, czy nie przespało ono momentu, w którym powinno było zareagować.

IZA SIĘ ODKRYWA

Izabela Pek urodziła się 17 stycznia 1985 r. o 18.20. Ważyła 3 600 gramów i mierzyła 61 cm. „Jak była mała, miała niedowidzenie lewego oka, okulary nosiła tylko do okresu tzw. dorastania, potem przestała... Wiadomo... która młoda dziewczyna chce być okularnicą”.

Trzy lata temu były „polityczne” ostrzeżenia przed tą panią. Przekazywała je posłanka pracująca przy kampanii Dudy. Być może została zlekceważona – mówi polityk PiS

Co z niej wyrosło, możemy bardzo doładnie obejrzeć na licznych zdjęciach na jej blogu (prowadzonym do lutego 2015 r.) i na jej profilu w jednej z agencji modelek (ostatnie zdjęcie zamieszczono tam 20 maja 2018 r.). To głównie akty. Nagość jej nie krępuje. Przeciwnie – fascynuje ją, a nawet ekscytuje. Dowiadujemy się tego z jej „zawodowego” profilu na Facebooku („Czarna Pantera”), na którym wyznaje, że lubi pozować w przestronnych oknach, również gdy z budynku naprzeciwko patrzą na nią obcy mężczyźni.

Przedstawia się tam jako fotomodelka i dziennikarka. Dowiadujemy się, że daje się fotografować od 14. roku życia („na poważnie” od pięciu lat, czyli dziś już ok. 10), ale w kolejnych zdaniach informuje, że pozowanie do zdjęć jest jej potrzebne tylko do tego, by kiedyś o tym

opowiedzieć. Mamy więc mieć do czytania z „reportażem wcieleniowym” – do tego wątku za chwilę wrócimy.

Na razie pozostajemy na profilu jej matki. Bo to ona serwuje wspomniane liczby po narodzinach córki i opowieść o wadzie wzroku. Gdy jedna ze znajomych żali się, że Iza nie chciała dopuścić jej do ukrytej zawartości swego prywatnego profilu na Facebooku (przyjąc do grona znajomych), Pek tłumaczy (pisownia oryginalna): „Mój profil prywatny traktuję bardzo prywatnie i umieszczam na nim wiele wpisów dotyczących mojego życia wręcz intymnego, często przeplatane z wulgaryzmami, których na pewno w normalnym życiu realnym poza facebookiem inni by nie usłyszeli ode mnie. Chyba, że przy wódce najbliższe mi osoby. [...] Mam powody, głównie te, że piszę o moim życiu intymnym głównie na profilu, a dopóki nie wydałam o nim jeszcze książki, co mam w planie, nie chcę, żeby ktoś je dzielił ze mną, bo czuję się dość niezręcznie. Mama pisze o kotkach to wszystkich ma, ja piszę o ch...ch i moich potyczkach z Sądem i nie mam zaufania, czy ktoś tego przeciwko mnie nie wykorzysta. [...] Uczona doświadczeniem bardzo dbam o swoją prywatność i o to, żeby w sieci nikt nie powołany nie miał dostępu do mojego życia. Moich

partnerów, moich spraw, mam poniżej 200 znajomych na liście i dbam o to, by byli to tacy, których znam osobiście od kupy lat. Nie ma to nic wspólnego z moją sympatią czy antypatią do kogoś. Matkę też raz skasowałam. A teraz jak piszę, że ćpałam, to ją odhaczam haha ;) I nic o tym nie wie”.

Te słowa ze stycznia 2015 r. pokazują, że nie mamy do czynienia z delikatną, niewinną osobą, lecz kimś zimnym, wyrachowanym. Pojawia się zapowiedź książki o intymnym życiu. Niejedyna. Wcześniej, w marcu 2012 r., Izabela Pek jako „Czarna Pantera” zapowiada pisanie „reportażu wcieleniowego” ze świata modelingu. W maju 2013 r. ogłasza: „Przekroczyłam ostatnią granicę wstydu: napisałam książkę”. To potwierdza, że mamy do czynienia z postacią przebiegłą, bez trudu przywdziewającą



Fot. Twitter



Pek lubi się fotografować z politykami. Chwali się zdjęciami m.in. z Andrzejem Dudą, Patrykiem Jakim

różne maski. Czy znajomość z posłem PiS też będzie opisana w jej książce?

We wrześniu 2012 r. jako „Czarna Pantera” oznajmia, że nie wstydzi się przeglądania „nieskończonej ilości” stron pornograficznych. Gdy w lipcu 2014 r. matka zamieszcza na profilu modlitwę, córka komentuje: „[...] np. ja dzielę się stronami z darmowym porno. A mama chce modlitwami. No co zrobisz? Nic nie zrobisz”.

Marzec 2014 r. Izabela pod wpisem matki: „Nie rób mi obciachu, że mi obiad gotujesz, jak niepracujące mamy DZIECIOM. [...] Męża szukam, kobieto. Do usranej śmierci będę na twoim garnku, jak ty mi taką reklamę robisz!”.

W publicznych wymianach zdań z matką nie stroni od wulgaryzmów. Mieszkają razem. Wspólnie opiekują się chorymi, skrzywdzonymi zwierzętami. W pewnym momencie mają dwa psy i 23 koty. Często wspólnie jeżdżą do Warszawy – matka w sprawach swojej firmy zajmującej się taksometrami, Izabela na sesje zdjęciowe. Pod ręką ma do nich rekwizyty, dzięki mamy wiemy, że „ma całą szafę peruk”.

Któż nie zna dziecka lepiej niż własna matka? Pod zdjęciem obu córek pisze: „Dziewczynki różniły się i różnią od

siebie bardzo charakterami. Jakkolwiek obie mają dobre serce. M. [celowo nie publikujemy imienia – przyp. red.] to prawdziwy anioł. Zawsze skromna, pokorna i ułożona. Iza to wulkan energii, temperamentu, buntu i życiowej fantazji”.

„SELFIKI” Z PREZYDENTEM

W maju 2015 r. Izabela przechodzi metamorfozę. Publicznie pokazuje, że jest zaangażowana w politykę. Niemal zakochuje się w kandydacie na prezydenta Andrzeju Dudzie. Staje się zdecydowaną zwolenniczką dobrej zmiany. W kampanii wyborczej jeździ „Dudabusem”, bez przerwy fotografuje się z politykiem, czego efekty publikuje w mediach społecznościowych. Nie ona jedyna, ale chyba nikt nie ma z nim tylu zdjęć. Jakby zbierała potężną galerię, która w pewnym momencie może skłonić do zadawania pytań. Otwarty na kontakt z ludźmi kandydat chętnie pozuje, zgadza się na „selfiki”.

– Trzy lata temu były „polityczne” ostrzeżenia przed tą panią. Przekazywała je jedna z posłanek pracujących przy kampanii Andrzeja Dudy. Być może została zlekceważona. To był

czas, gdy nabieraliśmy wiatru w żagle, pojawiało się wiele nowych twarzy, dzięki którym udało się odkłamać tę „mroczną” twarz Prawa i Sprawiedliwości. Stało przy nas sporo młodych ludzi, ładnych dziewczyn. Ona była jedną z nich – mówi nam polityk PiS z rządu.

Okazuje się, że część parlamentarzystów kojarzy Izabelę Pek jeszcze z czasów opozycyjnych. – Przy PiS zaczęła się kręcić gdzieś w 2013–2014 r. Rozdawała ulotki, była wykorzystywana przy różnych kampanijnych eventach, uczestniczyła w lokalnych konwencjach. Ale nie ona jedna, tak zaangażowanych młodych osób było w naszym regionie kilkadziesiąt – opowiada poseł proszący o anonimowość. Wryła mu się w pamięć: – Wydawała mi się nie do końca stabilna i – powiedzmy – dość frywolna. Szukała kontaktów, zaczęła stalkować Andrzeja Dudę w kampanii, jeździć za nim niczym fanka zespołów rockowych. Wtedy przestaliśmy korzystać z jej pomocy na Pomorzu. Niedawno zobaczyłem ją w Sejmie, przywitałem się, ale nie miała ochoty rozmawiać, raczej mnie unikała.

Kolejny parlamentarzysta: – Jakiś czas temu była, zdaje się, w dużej despe-

racji. Wysyłała sygnały, że jest w trudnej sytuacji życiowej, że mają ją wyrzucić z domu. Lokal miał zająć komornik.

Potwierdzają to informacje, które znajdujemy w internecie. 11 maja 2017 r. odbyła się pierwsza licytacja komornicza gdyńskiego mieszkania należącego do matki Izabeli Pek. Tego dnia publikuje ona zdjęcie z sejmowej biblioteki, z podpisem: „»Nie czytasz, nie idę z tobą do łóżka«. Inteligencja to u mężczyzny największy afrodyzjak. Dobranoc”. W kolejnych dniach fotografuje sejmową kaplicę oraz siebie w sali kolumnowej i na galerii sali plenarnej.

„DZIENNIKARKA”

Pek sprawia wrażenie pochłoniętej polityką. W portalach społecznościowych wychwala prezydenta Dudę i broni go przed wszelkimi atakami. Robi sobie też zdjęcia z Patrykiem Jakim i Marcinem Horałą (jej kolekcja się powiększa, przed kilkoma laty kręciła się w otoczeniu An-

drzeja Leppera, z którym też ma kilka fotografii). Pojawia się na manifestacjach „Gazety Polskiej”, przed biurem Rzecznika Praw Obywatelskich domaga się odwołania Adama Bodnara. Jej kilka tekstów zamieszcza „Tygodnik Solidarność”, bywa gościem TV Republika.

Dość nachalnie próbuje się dostać na łamy „Sieci” lub wPolityce.pl – tu jest ignorowana. Jednego z naszych redaktorów nagabuje później na internetowym komunikatorze. W marcu 2016 r. pisze: „Tydzień temu składałam swoje CV i deklarowałam swoją gotowość do współpracy na wszelkich polach”. Mijają tygodnie, miesiące, Pek przypomina o sobie we wrześniu, później w styczniu: „Tekst napisałam, puści mi Pan w polityce? Aktualny na temat!”. Maj 2017: „Może byśmy się dodali na fejsie, to byłby kontakt ułatwiony? Nie gryzę”. Jej wiadomości stają się coraz bardziej nachalne. Nagle we wrześniu znów się odzywa: „A ja? Kiedy ja będę mogła pisać dla »wSieci«? Ja też chcę współpra-

cować!”. W międzyczasie wciąż pozuje. Ostatnie zdjęcie w serwisie modelingowym publikuje 20 maja 2018 r.

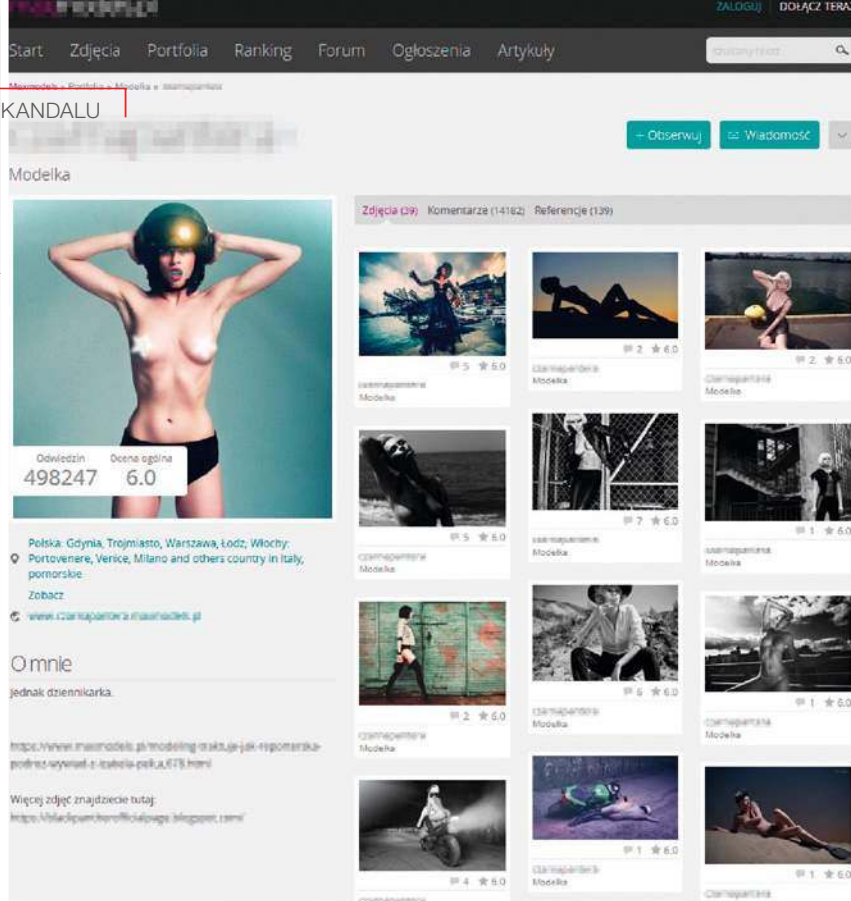
Na Twitterze nawet po artykule „Faktu” udostępnia wpisy innych użytkowników dotyczące polityki, ale nie zabiera głosu w sprawie Stanisława Pięty.

Znamienne jest to, co napisała 23 maja br.: „[...] podwójne standardy redaktorów naczelnych, sędziów, czołowych polityków NIEZALEŻNIE (sic!) od opcji, prezesów. Eliminujemy męskie szuje. Wasze godziny są policzone”.

ZNAKI ZAPYTANIA

Tę zapowiedź trzeba łączyć z aferą, która wybuchnie tydzień później. Czy również z planem opublikowania książki? Czy ma haki także na dziennikarzy? Czy zechce ujawnić, jak bezproblemowo wielokrotnie znajdowała się w najbliższym otoczeniu prezydenta? Ostatni raz 8 maja br. w Pelplinie. „Selfie” na Twitterze opatrzyła komentarzem: „Czasem

REKLAMA



Akty Izabeli Pek na profilu jednej z agencji modelek. Nagość jej nie krępuje

taka dzika tęsknota naPADA”. Tydzień później przypomina je, pisząc do prezydenta: „Drogi Panie Andrzeju [...], życzę Panu snów, z których można zaparzyć herbatę... i aniołów nad domem”. To realna – choć nie do końca normalna (u niej tego typu słowa wobec głowy państwa są na porządku dziennym) – fascynacja czy poza liczoną już w latach?

Dlaczego Izabela Pek wdaje się w relację z posłem Pięty? Dlaczego zapisuje daty i godziny wizyt w sejmowym hotelu? Twitter jest pełen domysłów. Ktoś tłumaczy jej tatuaż na przedramieniu jako biblijny cytat o uległości i łączy to ze sprawą sprzed pięciu lat – pomorskiego gangu sutenerów, który podobne treści tatuował swoim ofiarom.

Trudno zakładać, by nagle samodzielnie wpadła na pomysł medialnej zemsty na polityku, który odrzucił ją przed wieloma miesiącami (ostatni raz mieli się widzieć w lutym–marcu br.). Albo więc zrobiła to w porozumieniu z kimś, albo ku przestrodze dla kogoś. To hipoteza, która krąży po sejmowych korytarzach. – A może jest tak, że już ma kogoś innego na tapecie, liczy na większe zaangażowanie i chciała mu w taki sposób wysłać sygnał: – Staszek obiecywał, słowa nie dotrzymał i widzisz, co go spotkało. Lepiej dotrzymywać obietnic – słyszymy od posła PiS.

Pasuje to do obrazu kobiety, która desperacko, wszelkimi wręcz metodami „szuka męża”. Pamiętajmy, że nie jest to skromna dziewczyna, jak kreuje ją „Fakt”, lecz cyniczna, dojrzała kobieta, która na Facebooku pisze „o ch...ch”, „partnerach” i swych licznych historiach intymnych.

Partyjni koledzy Pięty współczują mu, ale ani myślą go bronić. Wiedzą, że dał się omotać jak dziecko i zawinił. Mają mu to za złe, bo ta historia uderza w całe ugrupowanie. Ale jednocześnie podkreślają, że sposób, w jaki przedstawił to tabloid, jest daleki od prawdy.

Pek przed kilkoma laty przynależała w plotkarskim serwisie (a później w reportażu TVN), że procesuje się o molestowanie z wpływową postacią ze świata modelingu (redaktorem na-

czelnym pisma dla mężczyzn). Zapewne ma sporą wiedzę o tej branży. Czy postanowiła metodą prowokacji i kilku tożsamości zebrać również materiał do skompromitowania kogoś z prawej strony politycznego świata?

To poważne pytanie, na które odpowiedź muszą znaleźć służby specjalne. Mówimy przecież o parlamentarzystcie zaangażowanym w wyjaśnianie jednej z największych afer ostatnich lat, który – już po związku z zagadkową kobietą – został członkiem komisji ds. specsłużb.

Nasz rozmówca zajmujący dziś ważne stanowisko w służbach podkreśla: – Nie sądzę, żeby ta sprawa miała podłoże kontrwywiadowcze. Gdyby tak było, nie ukazałaby się w „Fakcie”. Trzeciorzędny poseł łatwiej szantażować, niż kompromitować, a przecież wraz z medialną kompromitacją kończy się walor kompromatualny.

Dopytujemy, czy służby nie powinny się zainteresować relacją Stanisława Pięty z Izabelą Pek, zwłaszcza że poseł miał certyfikat dostępu do wszelkich niejawnych dokumentów. – Gdyby służby zajmowały się wszystkimi posłami, którzy mają kochanki, połowa nie miałaby dopuszczenia do tajemnic. Gdy uruchamiana jest procedura przyznania certyfikatu, zainteresowany wypełnia ankietę.

Jeśli ma kochankę, musi się do tego przyznać. Gdyby skłamał i nikt by się nie zorientował, byłaby to duża skucha służb. Myślę, że teraz będzie to wyjaśnione. Służby nie mogą zapobiegać takim sytuacjom. Nie ma możliwości monitorowania, z kim śpi 460 posłów. Zresztą nie ma do tego podstaw prawnych – słyszymy.

Jest oczywiście, że teraz uruchomiona została procedura sprawdzieniowa, co oznacza zawieszenie Stanisławowi Pięcie certyfikatu dostępu do informacji niejawnych. A to implikuje – przynajmniej do czasu wyjaśnienia sprawy – usunięcie posła zarówno z komisji śledczej, jak i speckomisji. Trudno sobie bowiem wyobrazić, by zbliżające się przesłuchania Mariana Janickiego (5 czerwca), Tomasza Arabskiego (6 czerwca) czy wrześnieowie Donalda Tuska były obarczone romansową aferą. Nie wyglądałoby też profesjonalnie, gdyby na posiedzeniach speckomisji szefów służb odpypywał poseł, nad którym wisi cień erotycznej modelki.

Jak widać, Izabela Pek już dużo osiągnęła. Choć trzeba zakładać, że to jeszcze nie wszystko, czym może nas uraczyć. Wydaje się kobietą nieobliczalną, zdeteminowaną i niecofającą się przed wyznaczonym sobie celem. Albo raczej: skłoną do wszystkiego.

Nie łamać tej zasady



PIOTR SKWIECIŃSKI

Każdy, kto ujawnia intymności z czyjegoś życia, jeśli nie przemawiają za tym szczególne okoliczności, stawia się w świetle parszywym. Naszej cywilizacji nie stworzyli Savonarole

Poseł Stanisław Pięta nie należy do moich politycznych faworytów. Jego radykalizm na granicy fanatyzmu jest postawą daleką od mojej. A rozmaite jego specyficzne zaangażowania, jak apoteozowanie burbońskiej Francji i traktowanie obecnego polskiego konfliktu politycznego jako niemal dalszego ciągu rebelii w Wandei, czy – z innej beczki – składanie interpelacji poselskiej na podstawie... internetowego mema (sprawa rzekomego ukrywania obrazu Matejki przedstawiającego „hold ruski” ze względu na domniemane lizusostwo wobec Rosji, podczas gdy obraz ów wisiał sobie spokojnie w krakowskim muzeum, czego posłowi nie chciało się sprawdzić) czynią go postacią... użyjmy słowa: malowniczą.

Mógłbym więc może nie tyle się cieszyć, ile przynajmniej nie bulwersować tym, co zrobił mu „Fakt”, ujawniając jego (zakończony) pozamałżeński romans. Ale nie mogę, bo jest to po prostu obrzydliwe.

Uważam bowiem, że każdy ma prawo do prywatności, które może być złamane jedynie, kiedy przemawia za tym ważny interes społeczny. Gdy media opublikowały zdjęcie świadczące o romansie między Ryszardem Petru a posłanką Joanną Schmidt, było to usprawiedliwione, bo ich wspólna, przyjemnościowa wyprawa na Maderę w momencie, w którym – jak głosiła opozycyjna narracja – władza łamała konstytucję i niemalże ustanawiała dyktaturę, ukazywała spektakularnie, że sami liderzy opozycji nie traktują tej politycznej diagnozy poważnie.

Ale w wypadku posła Pięty nie sposób się czegoś takiego doszukać.

W sprawie opisanej przez „Fakt” nie ma też śladów np. defraudacji publicznych pieniędzy. Nie ma szantażu ani gwałtu. Nie ma po prostu niczego, co dawałoby komukolwiek prawo do wywalania na widok publiczny ludzkiej intymności. Jest ewidentnie zemsta porzuconej kochanki. Ludzie szarpani miłosnymi emocjami zachowują się często różnie i można to zrozumieć – ale gdy takie działania wspiera osoba postronna, wygląda to paskudnie.

Wielu spojrzy na to inaczej. Odpowiedzą, że ponieważ Pięta jest zaangażowanym katolikiem, to angażując się w romans, dowiódł swojej hipokryzji, a zatem jego publiczne napiętnowanie jest słuszne. Nie zgadzam się z tym zupełnie, i to z kilku powodów.

Po pierwsze, jeśli już rozpatrywać rzecz z punktu widzenia, który powinien być bliski tym, których podobno tak razi odejście od zasad chrześcijaństwa, to przecież Pięta wyrwał się z miłosnych splotów, czyli – używając języka tych krytyków – podniósł się z upadku. Postawił ostatecznie rodzinę i dobro dziecka nad erotyczną przygodą. Uderzanie w niego w tym momencie nie jest więc piętnowaniem grzechu, tylko karaniem go za zerwanie z tym grzechem (czuję się nienaturalnie, używając języka kościelnego, ale cóż począć, taka tematyka). Co więcej, ci, którzy sprawę ujawnili, mogą doprowadzić – właśnie – do rozpadu rodziny posła. I jak się to ma do wartości rodzinnych?

Po drugie, nawet gdyby Pięta romansu nie zerwał, jego ujawnienie też nie byłoby usprawiedliwione. Bo – jeszcze raz – mamy do czynienia ze

sferą szczególnie intymną. Bo przecież każdy, kto zada sobie trud poobserwowania Pięty, po chwili dostrzeże, że – niezależnie od jego widowiskowego zelotyzmu – to nie jest żaden cynik, którego zwykłą życiową praktyką jest łamanie deklarowanych publicznie zasad, tylko po prostu człowiek, który uległ silniejszej od niego namiętności. Jak tyłu przed nim. Pięta w tym wirażu nie wzbudza obrzydzenia, tylko współczucie.

A zresztą każdy, kto ujawnia intymności z czyjegoś życia, jeśli – powtórzmy – nie przemawiają za tym aktem szczególne okoliczności, stawia się w moich oczach w świetle parszywym. Nie na tak pojętym moralnym rygorystycznym budowano naszą cywilizację. Doprawdy nie stworzyli jej Savonarole. A milczące założenie, że pewnych spraw się nie upublicznia (skądinąd naprawdę nikt nie wie, czy kiedyś nie skorzysta na istnieniu tej zasady; ostrożność w jej podważaniu jest więc postawą ze wszech miar roztropną), było jej ważną cechą. I nie jest, wydaje mi się, rzeczą przypadku, że zaczęła ona być podważana w momencie, w którym owa cywilizacja straciła rozpęd i weszła w kryzys.

Przy czym można oczywiście powiedzieć, że poseł padł ofiarą diabłów, które sam gorliwie przez dziesięciolecia rozpętywał. Bo był (jest dalej?) z tych, którzy gorliwie liczyli żony i kochanki nie lubianym przez siebie myślicielom i politykom, i energicznie potępiał moralny upadek Zachodu, objawiający się m.in. poluzowaniem zasad życia erotycznego. I to też będzie prawda. Ale niezmienniejszą ani mojego dla niego współczucia, ani mojego potępienia dla tych, którzy zrobili mu świństwo. 



Gdy w jakimś zakątku kontynentu wybory pójdą nie tak, jak sobie życzą rządzący Europą, zawsze rozlega się „gniewne zatroskanie”. Tak było po każdej wygranej Viktora Orbána na Węgrzech, tak było po przejęciu władzy przez PiS, tak samo po referendum brytyjskim czy zmianie rządu w Grecji. W każdym z tych wypadków wylewano wielkie łzy nad niewłaściwym obrotem spraw, straszono konsekwencjami, otwierano szufladę z napisem „populiści”

Fot. Andrzej Wiktór

Dlaczego Włochy tak ich przerażyły

*Michał Karnowski rozmawia z prof. **Ryszardem Legutką**, filozofem, posłem do Parlamentu Europejskiego (PE), szefem delegacji Prawa i Sprawiedliwości do PE, współprzewodniczącym grupy parlamentarnej Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy w PE*

Panie profesorze, proponuję, byśmy spojrzeli na Włochy, gdzie dzieją się rzeczy bardzo niepokojące. Oto niemieckie i brukselskie naciski w połączeniu z politycznym zaciętrzewieniem prezydenta Sergia Mattarelli skutkują próbą brutalnej korekty wyniku wyborczego. Polska tej presji doświadcza już od prawie trzech lat, ale wydawało się, że tak duże zachodnie państwo jak Włochy nie musi się takiego ataku na swoją suwerenność obawiać. Okazało się, że jest inaczej. Państwo narodowe, wynik wyborów, wola narodu, tak niewiele już w Unii Europejskiej znaczą?

Ryszard Legutko: To wszystko bardzo niepokoi, mamy do czynienia z poważną ingerencją w wewnętrzne sprawy państwa europejskiego, w sprawy fundamentalne – konstruowanie rządu, obsadę stanowisk. Od samego początku wynik włoskich wyborów był nie po myśli tych, którzy rządzą Europą. Mówię nie tylko o samej Unii Europejskiej, lecz całym kontynencie i systemie władzy politycznej oraz gospodarczej w Europie.

Bądźmy szczerzy: nie obserwujemy tego pierwszy raz. Gdy w jakimś zakątku kontynentu wybory pójdą nie tak, jak sobie życzą rządzący Europą, zawsze rozlega się „gniewne zatroskanie”. Tak było po każdej, w tym ostatniej, wygranej Viktora Orbána na Węgrzech, tak było po przejęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość w roku 2015, tak samo po referendum brytyjskim, w którym zdecydowano o Brexicie, czy zmianie rządu w Grecji. W każdym z tych wypadków wylewano wielkie łzy nad niewłaściwym obrotem spraw, straszono konsekwencjami, otwierano szufladę z napisem „populiści”.

Co to właściwie znaczy? Jak establishment unijny rozumie ten epitet, którym obdarza wszystkich inaczej myślących?

Dla nich to oznacza masowy ruch, ludzi ciemnych w sensie intelektualnym, nieoświeconych, zwodzonych przez chytrych demagogów, łasych na błyskotki i fałszywe ideologiczne. To jest oczywiście opis nieprawdziwy,

obrażający inteligencję. Można by wzruszyć ramionami na takie podejście do rzeczywistości i wyzwiać politycznych, gdyby nie to, że tak naprawdę myślą rządzący Europą. Cały ten establishment uważa się za jedyny możliwy, naturalny i oczywisty, gwarantujący trwanie Unii. Dlatego właśnie, kiedy z wyborów w którymś kraju wylania się inny lider, robią wszystko, by nie dopuścić go do władzy. Tak się stało we Włoszech. Od dawna słyszałem w Brukseli i Strasburgu, że ten nowy rząd włoski to będzie katastrofa, że tworzy się pierwszy rząd populistyczny w zachodniej Europie.

I udało się jednak nie dopuścić do jego powstania.

Na razie. Okazało się to łatwiejsze niż w innych krajach, bo zwycięskie partie prawicowe wiele dzieli, spory i przeciągające się negocjacje ułatwiły zadanie prezydentowi Mattarelli. Może gdyby to była mocna większościowa koalicja, nie byłoby tak łatwo to storpedować. Jak to było ważne dla establishmentu, niech świadczy wypowiedź komisarza ds. budżetu i zasobów ludzkich, zresztą Niemca, Günthera Oettingera.

W wywiadzie dla niemieckiej rozgłośni publicznej Deutsche Welle Oettinger miał powiedzieć: „Rynki nauczą Włochów głosować, na kogo trzeba”. Wymusknęło mu się czy chciał powiedzieć?

Chciał. Oni tak myślą, a komisarz Oettinger znany jest z tego, że lubi od czasu do czasu głośno powiedzieć to, o czym zwykle mówi się w tych sferach po cichu. Inni zwykle zastrzegają, że szanują wynik wyborów, tylko się martwią, a on lubi czasami przebić ten balon i bez całej tej politycznej poprawności nazwać rzeczy po imieniu.

A może te włoskie partie – Ruch Pięciu Gwiazd, Liga – faktycznie są formacjami, które wychodzą poza granice tego, co jest akceptowalne w Europie?

Ale w którym miejscu? Dlaczego? To są normalne europejskie partie, demokratyczne, mające po prostu inną wizję Włoch i Unii Europejskiej. Wiem

o tym, bo kiedyś, w jednej z poprzednich kadencji, współpracowaliśmy w ramach jednej grupy w Parlamencie Europejskim z Ligą Północną. Czy cała ta krytyka oznacza, że to jest już w Unii Europejskiej zakazane? Tak naprawdę nie chodzi tu o nic innego jak tylko o ochronę monopolu środowisk dziś rządzących Europą. Próbuje się wymusić na wyborcach i politykach, by poruszali się wyłącznie tymi korytarzami politycznymi, które zostały już zbudowane. Opowiada się o integracji europejskiej jako o jednokierunkowej ulicy, którą można się poruszać wyłącznie w jedną stronę. Albo jak o jeździe na rowerze – trzeba cały czas pedałowac, bo inaczej wszystko się przewróci. To nie jest do zaakceptowania, to jest też głupie, bo dobra polityka to również prawo do zmiany tych korytarzy, do postawienia postulatu nawet i zasadniczych reform. Polityka w demokracji to alternatywa. Prawdziwa różnica, prawdziwy wybór, niekiedy zasadniczy.

Jaką formę przybrały jeszcze te naciski na Włochy?

Wiemy, że te naciski były, Oettinger je potwierdził, ale oczywiście większość z nich miała charakter nieformalny. O takich sprawach opinia publiczna dowiaduje się zwykle po pewnym czasie.

Ostatecznie prezydent Włoch odmówił powołania rządu, argumentując, że nie godzi się na kandydaturę ekonomisty Paola Savony na ministra finansów, bo jest on „zbyt eurosceptyczny” oraz krytyczny wobec Niemiec. To pretekst?

Tak to oceniam. Po pierwsze, zadziwiające, że prezydent tak bezpośrednio wpływa na obsadę poszczególnych ministerstw. Do tej pory w polityce włoskiej pozostawało to w rękach polityka desygnowanego na premiera i partii koalicyjnych. Zobaczmy, jak oceniają to Włosi w prawdopodobnych przyspieszonych wyborach. Może z tego wyjść rząd prawicowy z jeszcze silniejszym mandatem. Po drugie, czynienie z prof. Paola Savony jakiegoś rogatego diabła nie jest zgodne z prawdą. To bardzo ceniony

i szanowany ekonomista, choć rzeczywiście krytycznie oceniający funkcjonowanie strefy euro, dostrzegający, że nie służy ona gospodarce włoskiej, ale i samej Unii Europejskiej. Warto w tym miejscu przypomnieć, że strefa euro była kilka lat temu w dużej zapaści, z ogromnym trudem jest ratowana i wciąż stanowi miękkie podbrzusze całego projektu. Stąd chyba tak nerwowa reakcja na kandydaturę włoskiego profesora. To sygnał, że o czym, jak o czym, ale o walucie euro rozmawiać nie będziemy.

Temat tabu?

Ależ oczywiście, lista możliwych „myślóbrodni” jest długa. Zalewa nas ten strach przed powiedzeniem słowa prawdy, użyciem niewłaściwego języka, przed złą myślą. To paraliżuje dyskusję, szukanie rozwiązań czyni Unię martwą. Ja to odbieram jako strach nie tyle przed wyjściem Włoch ze strefy euro – bo to na razie w ogóle nie leży na stole – ile przed otwarciem dyskusji o tych wszystkich mechanizmach. Uznano, że ryzyko jest zbyt duże. Widocznie w trzewiach mechanizmu jest zbyt dużo negatywnych, niepokojących zjawisk i danych, by ryzykować otwartą debatę. Zwłaszcza dla polityków niemieckich nie jest to do przyjęcia. Kanclerz Angela Merkel i wszystkie siły polityczne Niemiec tyle zainwestowały w stworzenie, a potem ratowanie wspólnej unijnej waluty, że nie godzą się na podniesienie tego tematu przez kogokolwiek. Nie może być mowy o żadnych zmianach, żadnym podważaniu obecnego stanu rzeczy. A już na pewno nie ze strony wyraźnie słabszego partnera. Berlin tylko sobie daje prawo inicjowania zmian w tym obszarze.

A może trzeba spojrzeć na to z innej strony – nie strat włoskich, ale zysków niemieckich? Może ten mechanizm tak bardzo premiuje niemiecką gospodarkę, że za nic nie zgodzą się na jego korektę?

W mojej ocenie głównym motywem blokowania przez Niemcy dyskusji

o euro jest przede wszystkim pragnienie sprawowania pełnej kontroli nad mechanizmami unijnej waluty. Oni najbardziej boją się wstrząsu, jakim byłyby rozpad strefy euro czy choćby znaczące w niej zmiany. Gdy pozwolą Włochom podnieść ten temat, zażądać dyskusji, inni mogą pójść tym tropem, zwłaszcza inne kraje Południa. Stąd twarde „nie”. Czy wszystko razem aż tak się niemieckiej gospodarce opłaca, to jest jednak dyskusyjne. W naszej

Kanclerz Angela Merkel i wszystkie siły polityczne Niemiec tyle zainwestowały w stworzenie, a potem ratowanie wspólnej unijnej waluty, że nie godzą się na podniesienie tego tematu przez kogokolwiek. Nie może być mowy o żadnych zmianach, żadnym podważaniu obecnego stanu rzeczy

grupie politycznej są niemieccy profesorowie, ekonomiści, którzy wyrażają tu wątpliwości. Ale już nikt nie przekonuje na serio, że unia monetarna jest dźwignią rozwoju, że pcha unijną gospodarkę do przodu. Nie, dziś to raczej hamulec dla wielu państw, które straciły ważne narzędzia kreowania wzrostu gospodarczego, znalazły się w pułapce.

Takich tematów tabu jest chyba w Unii więcej. Także imigracja, chrześcijańskie korzenie Europy.

O tak. I kara za złamanie tabu jest bezwzględnie wymierzana. Znam profesorów, którzy byli szanowani, cenieni, zapraszani, dopóki nie wypowiedzieli się krytycznie o funkcjonowaniu strefy euro. Wtedy błyskawicznie zapisało ich do grona „populistów”.

To działa też, o czym wiemy z krajowego podwórka, w drugą stronę: jeśli mówi się właściwie, można zostać namaszczone na profesora, nawet nie mając wyższego wykształcenia.

To prawda [śmiech].

Przy okazji warto się zastanowić, czy gdyby w Polsce prezydentem był polityk tak samo związany z unijnym i niemieckim establishmentem jak Mattarella, też by go użyto do zablokowania nominacji rządowych, np. wychodzących z Prawa i Sprawiedliwości.

Nie mam co do tego wątpliwości, tak by było. Można sobie wyobrazić, że prezydentem jest np. Bronisław Komorowski, Donald Tusk czy ktoś tego typu i zachęcany z zewnątrz robi wszystko, by storpedować funkcjonowanie rządu prawicowego w Polsce. Wtedy ten napór na Polskę, którego i tak w ogromnej skali doświadczamy od prawie trzech lat, to łamanie reguł wobec naszego kraju podniesiono by do sześcianu. Dziś nie trzeba daleko szukać, by się przekonać, że cała ta opowieść o polityce wspólnotowej, o wzajemnym poszanowaniu jest coraz bardziej fałszywa. Wiele państw przekonuje się boleśnie, że brak suwerenności staje się faktem. Na szczęście w Polsce wciąż mamy prawdziwą alternatywę, ona jest w sensie politycznym, dzięki Prawu i Sprawiedliwości oraz dzięki powstałym oddolnie ośrodkom medialnym, m.in. takim jak tygodnik „Sieci” czy portal wPolityce.pl.

Jakie są szanse na zmianę? Na razie unijne instytucje, de facto kontrolowane przez Berlin, próbują zagarniać coraz więcej kompetencji, dowolnie i zawsze rozszerzając interpretację traktatów.

To oczywiście budzi duże niezadowolenie, ale musimy pamiętać, że politycy zachodnioeuropejscy to ludzie bardzo ostrożni, niechętni z zasady wszelkim zdecydowanym działaniom. Widać to na przykładzie strefy euro: z jednej strony świadomość niedobrych skutków, niezadowolenie, z drugiej – obawa przed ruchem zdecydowanym,

np. wyjściem z waluty euro, bo nie ma przecież gwarancji, że na pewno przyniesie to poprawę. Podobnie z innymi sprawami. To wszystko staje się już tak skomplikowane, tak zależne jedno od drugiego, że wiele rządów i grup parlamentarnych ma narastające poczucie, iż tracą na to wszystko nawet iluzoryczny wpływ. W tym widzę zresztą główną przyczynę Brexitu.

Brytyjczycy uznali, że można albo się tej biurokratycznej machinie całkiem poddać, albo z niej w ogóle wyjść?

Tak. Uznali, iż już zbyt wiele rzeczy decyduje się poza ich krajem, że to jest nie do przyjęcia, tym bardziej że dążenie do tzw. harmonizacji, ujednolicenia, wcale nie słabnie. Ale też zważmy, że przewaga zwolenników wyjścia z Unii była na Wyspach niewielka. Wielu boi się zmian, wielu czerpie z tego stanu rzeczy korzyści, są zadowoleni. To zresztą jedna z przyczyn, dla których tak trudno coś zmienić w Europie – nawet gdy rządzi

gabinet nieco mniej entuzjastyczny wobec „pogłębiania” wspólnoty, ma za plecami siły europeistyczne, w tym zwykle prawie wszystkie media, które z całych sił blokują mu możliwość politycznego manewru.

Brexit pokazał zresztą, jak teoretyczne są możliwości wyjścia, rezygnacji z jakiegoś etapu pogłębiania Unii. Nie ma procedur zwrotnych.

Podobnie jak sytuacja włoska uzmysławia złudność tych w kółko powtarzanych zawołań, że jeśli się komuś nie podoba, to proszę bardzo, może sobie pójść, nikt na siłę nie trzyma. Okazuje się, że jednak trzyma. Kiedy ktoś spróbuje choćby troszkę się wyłamać, natychmiast słyszy pogroźki, spotyka się z naciskami, nawet represjami. Jest w tym strach przed wywróceniem tego unijnego roweru, o którym wspomniałem. To przerażenie, że gdy zrobi się chociaż jeden wyłom w monolicie, to wszystko runie. Oni naprawdę wierzą, że gdyby ministrem finansów Włoch został taki prof. Savona, to wszystko

by się rozsypało. Nieodmiennie i od lat dziwi mnie ten umysł europejski, pełen takich przesądów.

Na tym tle można być dumnym z Węgrów i Polaków, którzy wytrzymali presję, obronili prawo do suwerennego wyboru politycznego.

Oczywiście! Dlatego te oba kraje są tak atakowane. Nie znam dobrze Węgier, trudno mi się wymądrzać, ale Polska bardzo się wyróżnia. Istnieje u nas konserwatywna strona w pełnym jeszcze wymiarze: są silne partie polityczne, instytucje, organizacje obywatelskie, oddolnie zbudowane media. Jest silne poczucie alternatywy, które nas wyróżnia na tle większości państw europejskich, również od Włoch, Francji, Wielkiej Brytanii. Dlatego za wszelką cenę próbuje się tę naszą odrębność zlikwidować, zadusić. Musimy wytrzymać, mamy dużą rolę do odegrania. Wielu w Europie patrzy na nas z wielką sympatią, mając świadomość, że jeżeli nam się uda, inni mogą spróbować pójść w nasze ślady.

Nowy budżet unijny to też taka próba podduszenia rządu w Polsce? Kara za niepokorność?

Nie, to są bzdury. Zaproponowana struktura zmian w wydatkowaniu pieniędzy to wynik innych czynników: wyjścia Brytyjczyków, przesunięcia pieniędzy ze Wschodu na Południe, bogacenia się Polski. To, że pieniądze dla Polski będzie mniej, jest oczywiste od dawna. Tak naprawdę prace nad tym budżetem dopiero ruszają, wiele się jeszcze może zmienić.

A pracownicy delegowani? Gdy w jednym sektorze zaczynamy wygrywać walkę konkurencyjną, chodzi głównie o transport, zarządzają się zmianę regul.

Interesy francusko-niemieckie wzięły górę i nie było mowy, mimo ogromnego wysiłku wielu krajów, by to ruszyć, zmienić. Tak postanowili, tak ma być. To pokazuje, jak bardzo system władzy w Unii Europejskiej jest uległy wobec tych największych graczy, jak coraz mniej chroni interesy słabszych państw członkowskich. I to też zwiększa frustrację w wielu miejscach Europy. 



Fot. Andrzej Mikul

Teraz Rzym na celowniku

Włochy dołączają do coraz dłuższej listy państw nękanych oskarżeniami o „zamach na demokrację”, „populizm” i „wkraczanie na drogę do dyktatury”. I choć ani włoskie interesy polityczne, ani plany zwycięskiej koalicji Ruchu Pięciu Gwiazd (M5) i Ligi Północnej nie mają wiele wspólnego z polityką amerykańską, węgierską czy polską, w światowych mediach ta „czarna trójka” została właśnie w tych dniach rozszerzona o Italię*



Fot. MikeDorta/Shutterstock.com



JAN ROKITA

Polityczny sygnał do tej kampanii dał szef Parlamentu Europejskiego Antonio Tajani, oświadczając, iż „odmawia życia w takim ustroju, który oznacza początek drogi do dyktatury”. Tajani jest bliskim współpracownikiem i niegdyśszym rzecznikiem Silvia Berlusconi'ego oraz współzałożycielem jego partii – Forza Italia. Do pewnego momentu wydawało się, że Berlusconi może być ważnym uczestnikiem nowej koalicji, gdyż Zjednoczona Centroprawica, której częścią była Forza Italia, zdobyła łącznie największą liczbę głosów w marcowych wyborach. Tak się jednak nie stało, gdyż w rezultacie przewlekłego powyborczego kryzysu rządowego Zjednoczona Centroprawica się rozpadła, co otworzyło szansę dwóm no-

wym partiom – lewicowemu Ruchowi Pięciu Gwiazd (M5*) oraz prawicowej Lidze Północnej (która wcześniej była częścią centroprawicowego bloku) do utworzenia większości parlamentarnej. W ten sposób Berlusconi ze swoją partią niespodziewanie znalazł się poza kształtującą się nową większością, jadąc teraz na jednym wózku ze swymi starymi ideowymi przeciwnikami z lewicowej Partii Demokratycznej (PD), którą zwalczał przez wiele ostatnich lat. A jego partyjny towarzysz Tajani mógł rozpocząć europejską kampanię propagandową przeciwko niedawnym sojusznikom i wyborczym koalicjantom swojego politycznego patrona.

KAMPANIA OSKARŻEŃ

Co tak bardzo zaniepokoiło szefa Parlamentu Europejskiego, iż uznał za konieczne ogłoszenie początku dyktatury w swojej ojczyźnie? Jako dowód na schyłek demokracji w Rzymie Tajani podał jedno z postanowień umowy koalicyjnej zawartej przez przywódców dwóch największych obecnie sił we włoskim parlamencie: 31-letniego ne-

Luigi Di Maio, polityczny lider Ruchu Pięciu Gwiazd

apolitańczyka Luigiego di Maio (M5*) oraz 45-letniego mediolańczyka Matteo Salvini'ego (Liga). W końcowych zapisach tego 57-stronicowego dokumentu znalazło się bowiem ustalenie, iż dla rozwiązywania przyszłych ewentualnych sporów w koalicji stworzony zostanie międzypartyjny komitet pojednawczy, w którego skład wejdą: przyszły premier, szefowie obu partii, szefowie ich klubów parlamentarnych oraz minister (lub ministrowie) kompetentni w materii, której ewentualnie dotyczyłby spór. Każdy, kto choć trochę zna mechanizm rządów parlamentarnych, wie, że dobre zaprogramowanie mechanizmu rozwiązywania konfliktów jest jednym z warunków trwałości każdej rządowej koalicji, dobrze znanym także z polskiej tradycji koalicyjnej.

Dlaczego więc szef Parlamentu Europejskiego uznał, że jest to dowód na początek dyktatury w Italii? W zasadzie trudno na to pytanie znaleźć rozsądne wytłumaczenie. Sens oskarżeń

Tajaniego można zrozumieć wyłącznie wtedy, jeśli przyjąć, iż politycy nastawieni opozycyjnie wobec nowej większości postanowili za wszelką cenę zablokować jej szanse na utworzenie rządu. I w tym celu uruchomili podobną ideologiczną kampanię oskarżeń wobec własnego kraju, jak ta, którą już wcześniej uruchomiono przeciw Polsce czy Węgrom. Na razie ten mało demokratyczny plan udaje się wprowadzać w życie, a to dzięki temu, iż przeciwnicy Ligi i M5* znaleźli ważnego i zdeterminowanego sojusznika, gotowego do gry na sparaliżowanie nowej większości. Jest nim prezydent kraju Sergio Mattarella, rzeczywisty nominat byłego premiera i szefa PD Matteo Renzi.

Ale umowa koalicyjna M5* i Ligi jest krytykowana także z kilku innych powodów. Przede wszystkim z racji przeforsowanego przez gospodarczego liberała Salviniiego planu wprowadzenia liniowych lub co najmniej mocno spłaszczonych podatków dochodowych, których stopy mają wynosić 15 proc. dla włoskiego CIT oraz 15 i 20 proc. dla tamtejszego PIT. Włochy, które bardzo powoli wydobywają się z przewlekłego kryzysu gospodarczego, są jednym z najbardziej zadłużonych krajów Europy. A ich politycy, niezależnie od orientacji ideowej i partyjnej afiliacji, od lat domagają się tzw. uwspólnotwienia długów w Unii Europejskiej, co by musiało oznaczać wzięcie współodpowiedzialności za włoski dług przez najsilniejsze europejskie gospodarki, w tym zwłaszcza przez Niemcy. Berlin od lat nie godzi się na takie rozwiązanie, argumentując nie bez racji, iż uwolnienie dłużnika od ryzyka, jakie niesie zaciąganie długów, uczyni jego politykę finansową całkowicie nieodpowiedzialną. Tutaj tkwi także geneza wyraźnego, choć maskowanego dyplomatycznie sporu pomiędzy kanclerz Merkel a prezydentem Macronem, skłonny przynajmniej do pewnego stopnia bronić stanowiska włoskiego.

W Berlinie dominuje zatem obawa, iż radykalna obniżka podatków we Włoszech, nim jeszcze doprowadzi do hipotetycznego i oczekiwanego przez

koalicję Ligi i M5* wzrostu przedsiębiorczości i gospodarki, przędzej zaciśnie tylko pętlę włoskiego długu, grożąc drugą falą europejskiego kryzysu wspólnej waluty euro. Już dziś te obawy Niemców wzmacniane są rosnącym tzw. spreadem włoskich państwowych obligacji, które wyraźnie traktowane są na rynkach finansowych jako coraz bardziej ryzykowne, a przez to coraz

Sporą złość starej włoskiej i europejskiej elity politycznej wywołał m.in. zapis umowy koalicyjnej, wedle której ministrami nowego rządu nie będą mogli zostać członkowie masonerii

wyżej oprocentowane. Ów wskaźnik „spreadu” jest zresztą traktowany przez włoskie media i polityków jako najważniejsze ostrzeżenie przed grożącym kryzysem, co bierze się z tego, iż kilka lat temu to właśnie nagły wzrost owego „spreadu” stał się sygnałem początku wielkiego kryzysu i groźby faktycznej niewypłacalności państwa włoskiego.

„NIEMIECKA KLATKA”

Coprawda Di Maio i Salvini już porzucili głoszone wcześniej plany wystąpienia kraju ze strefy euro, a wysunięty przez nich kandydat na premiera 54-letni profesor prawa Giuseppe Conte zapewniał, iż stabilność finansowa kraju oraz doprowadzenie do europejskiej unii bankowej i nowych unijnych zasad lokacji imigrantów to najpilniejsze jego cele jako szefa przyszłego rządu. Conte, idąc zresztą w ślady byłego lewicowego premiera Renzi, swoją pierwszą oficjalną wizytę jako desygnowany premier złożył prezesowi włoskiego banku centralnego Ignaziemu Visco, starając się uspokoić obawy co do przyszłych finansów państwa. Podobno nawet (ta-

kie są przecieki w prasie włoskiej) miał zapewnić prezydenta Mattarellę, że „jest w stanie przemówić do rozsądku przywódców partyjnych”.

Chodzi jednak o to, że w nowej koalicji liberalna gospodarczo Liga współtworzy rząd z amorficznym ideowo, ale lewicowym w sensie socjalnym M5*, który w zamian za zgodę na niskie podatki przeforsowane przez Salviniiego zagwarantował sobie w umowie koalicyjnej podwyżkę najniższych emerytur (z ok. 507 euro obecnie do 780 euro w przyszłości). Miałoby to oznaczać symboliczne odejście od zniechawionej przez Włochów tzw. reformy Fornero, wprowadzonej w 2011 r. w szczycie kryzysu finansowego, pod ogromną presją Unii Europejskiej. Do legendy włoskiej polityki przeszła scena, kiedy ówczesna minister pracy Elsa Fornero, ogłaszając pod przymusem cięcia emerytalne, spontanicznie się rozplakała przed kamerami telewizyjnymi. Plan jednoczesnego obniżania podatków i podwyżek emerytur

jest oczywiście finansowo ryzykowny, zwłaszcza dla kraju tak zadłużonego jak Włochy. A przyczyną ryzyka jest wspólna waluta europejska, na której dewaluację Włosi nie mają żadnego wpływu, gdyż zrzekli się przed laty swej suwerenności monetarnej.

Dlatego właśnie do rangi symbolu urosła kwestia nominacji Paolo Savony, 82-letniego profesora ekonomii, niegdyśszego ministra i dyrektora potężnego związku przemysłowców Confindustria, na przyszłego ministra finansów. Turyńska „La Stampa” dotarła do mających wkrótce ukazać pamiętników starego i znanego we Włoszech ekonomisty i opublikowała te ich fragmenty, które mogłyby mieć polityczne znaczenie dla powstania nowego rządu. Sensację wzbudziło zwłaszcza jedno zdanie wypowiedziane przez Savonę na temat wspólnej waluty europejskiej, iż jest ona „niemiecką klatką” („L'euro e una gabbia tedesca”), a Włochy powinny wobec niej mieć na wszelki wypadek plan B. Savona dodaje jeszcze do tego swoją syntetyczną wizję najnowszych dziejów Italii, która „trzykrotnie weszła w związek z Niemcami:

w Trójpzymierzu 1882 r., pakcie stalowym 1939 r. i Unii Europejskiej 1992 r., zawsze wychodząc na tym tak samo”. I pyta, dlaczego zatem Włosi nie uczą się na swoich błędach?

Savona ma oczywiście rację w tym sensie, iż jeśli Włochy chciałyby istotnie podjąć eksperyment jednoczesnej obniżki podatków i rosnącego socjału, to przy wspólnej walucie może to być recepta na kolejny kryzys. I choć zarówno Conte, jak i obaj przywódcy koalicji dystansowali się od planu porzucenia euro, to sam zamiar nominacji dla Savony stał się powodem ogólnoeuropejskiej awantury.

SZYDERSTWA I ZŁOŚLIWOŚCI

Co ciekawe, w atakach na Włochy wątek ryzyka finansowego przeplata się z ideologiczną wrogością włoskiej i europejskiej elity politycznej do M5* oraz Ligi, które nie kryją, iż ich intencją jest odsunięcie dawnych elit od wła-

dzy i wpływów. Sporą złość wywołał m.in. zapis umowy koalicyjnej, wedle którego ministrami nowego rządu nie będą mogli zostać członkowie masonerii. A także idąca z duchem modnych prawicowych przesądów zapowiedź złagodzenia ustawy o przymusowych szczepieniach, którą dopiero co wprowadził rząd PD, mimo silnego oporu, zwłaszcza na południu kraju. Salviniego i Di Maio oskarża się więc o „wsteczność” i „wyznawanie teorii spiskowych”.

Zawzięcie atakowany był także desygnowany premier Conte, który nie ma doświadczenia politycznego, a jest tylko rzymskim adwokatem i profesorem prawa we Florencji. Conte dał zresztą jeszcze jeden pretekst prezydentowi Mattarelli, gdyż kilka lat temu ubiegając się o publiczny urząd w tzw. Radzie Sądownictwa Administracyjnego (to specyficznie włoska instytucja), podkoloryzował swój naukowy życiorys, przedstawiając prywatne pobyty naukowe w Nowym Jorku, Cambridge i Wiedniu jako oficjalne studia na tamtejszych uniwersytetach. Natychmiast po odkryciu owego życiorysu posypały się na całym świecie – od Ameryki po Wiedeń – śledztwa dziennikarzy wielu nacji, mające dowieść kłamstw Contego. Mattarella próbował już wtedy wykorzystać to, by uniemożliwić

większości parlamentarnej stworzenie rządu. Fakt ten wyraźnie wskazuje na to, że sama nominacja Contego była niczym innym jak grą Mattarelli, który od początku planował zablokowanie uformowania gabinetu przez desygnowanego przez siebie premiera.

W niemieckiej prasie, która jak ognia boi się skutków ewentualnego włoskiego kryzysu finansowego, Włochy określane są mianem „rabusia” („Der Spiegel”) albo ciężko chorego pacjenta, który wpadł w łapy Doktora Dżumy (Di Maio) i Doktora Cholery (Salvini) – to z kolei tytułowa strona w „Süddeutsche Zeitung”. Brytyjski „Economist” na okładce przedstawia Contego jako pocieszonego arlekina, który jest na służbie u panów Salviniiego i Di Maio, kpiąc w ten sposób z braku politycznego doświadczenia desygnowanego premiera. Propagandowe ostrzeliwanie Rzymu miesza się w Europie z niezliczoną ilością szyderstw i złośliwości pod adresem nowej koalicji.

Tymczasowy sekretarz odsuniętej od władzy i pogrążonej w wewnętrzny kryzys PD Maurizio Martina boleje nad „koszmarem, na który Włosi nie zasłużyli” i zapowiada „mobilizację w obronie demokracji”. Co szczególnie groteskowe, owe wezwania szefa PD do „obrony demokracji” po raz pierwszy zdarzyły się w ubiegłą niedzielę, zaraz po tym, jak pochodzący z jego partii prezydent właśnie uniemożliwił stworzenie rządu przez demokratyczną większość.

Pomimo tego ostrzału, albo raczej pod jego wpływem, aż 62 proc. Włochów deklarowała w ubiegłotygodniowych badaniach radość z perspektywy Contego na czele „rządu zmiany” (to główny slogan obu partii koalicyjnych), choć zapewne większość z nich usłyszała po raz pierwszy jego nazwisko dopiero w ostatnich dniach. Na razie jednak w starciu „nowych” ze „starymi” w Italii przewagę utrzymują „starzy”, i to mimo że wyraźnie przegrali marcowe wybory. Zagraniczny „ostrzał Rzymu” i gra prezydenta Mattarelli na uniemożliwienie powstania rządu zrobiły swoje. Tyle tylko, że jeśli przewlekły kryzys doprowadzi Italię do szybkiej powtórki wyborów, to Di Maio i Salvini, wściekli z racji pozbawienia ich prawa do rządzenia, wygrają z jeszcze większą przewagą niżli w marcu.

Matteo Salvini,
przywódca Ligi
Północnej



Fot. Federico Vinti/Shutterstock.com

Kaczyński – Schetyna ostateczne starcie

Naszą polityką rządzi fundamentalny podział na Polskę solidarną i Polskę liberalną. I to on będzie miał zasadniczy wpływ na wyniki trzech najbliższych pojedynków wyborczych



Fot. Andrzej Witko



STANISŁAW JANICKI

W 2018 r. politycznie Jarosław Kaczyński jest sobą i Lechem Kaczyńskim zarazem, Grzegorz Schetyna zaś sobą i Donaldem Tuskiem sprzed ponad dekady. Liderzy Prawa i Sprawiedliwości oraz Platformy Obywatelskiej w najważniejszych kwestiach ustrojowych stoją tam, gdzie w 2005 r. stali Lech Kaczyński i Donald Tusk, wtedy kandydaci na prezydenta. I podobnie jak wówczas Donald Tusk, dziś Grzegorz Schetyna nie potrafi jasno zdefiniować (i o tym publicznie opowiedzieć), jaką partią jest PO. Co jednak nie wpływa na ideologię, wizerunek oraz sposób funkcjonowania Platformy.

Schetyna odrobił lekcję i powrócił do tej polityki, od której Donald Tusk coraz bardziej odchodził, szczególnie podczas drugiej kadencji u władzy. Można nawet powiedzieć, że obecny przewodniczący PO jest tym samym Schetyną, jakim był w 2005 r. jako sekretarz generalny tego ugrupowania. Jego sukces w odbudowaniu pozycji partii mocno osłabionej w latach 2014–2017 wynika przede wszystkim z cofnięcia zmian, do jakich Tusk doprowadził w latach 2009–2014, głównie

w sferze programowej i ideologicznej. Zmiany Tuska polegały na przekształceniu PO w bezideową partię władzy, mniej więcej na wzór meksykańskiej Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej, która rządziła ponad 70 lat, czy japońskiej Partii Liberalno-Demokratycznej – u władzy przez ponad 40 lat.

Sukces Schetyny wynika też z równie bezwzględnej jak w przypadku Tuska (tego z lat 2003–2009) zwalczania wewnętrznej opozycji. Skądinąd w tamtych latach Schetyna był wykonawcą wyroków Tuska. A teraz jest i sędzią, i egzekutorem.

KOMUNITARIANIE KONTRA LIBERTARIANIE

Obecnie miejsce i rangę PiS oraz PO wyznacza podział na Polskę solidarną i Polskę liberalną. Ten podział, ujawniony w kampaniach parlamentarnej i prezydenckiej w 2005 r., nigdy nie zniknął. W 2009 r., na konferencji programowej PiS „Rozwój Polski – Regiony i Metropolie”, prezes Jarosław Kaczyński mówił, że zasadniczy spór toczy się o to, czy Polska ma być solidarna, czy liberalna. Polskę solidarną definiował jako państwo rozwijające się w oparciu o „związek lojalnościowy między jednostkami, grupami społecznymi, regionami, miastami i wsiami”. A samą solidarność jako „dążenie do pewnego rodzaju równości” – równości szans. Tak, by „jednostka we wszystkim tym, co będzie czyniła w życiu, nie była całkowicie zdeter-

minowana przez miejsce urodzenia, przez grupę społeczną, w której się urodziła, ale by była wyposażona przez wspólnotę narodową i państwo, które ją reprezentuje”. Przede wszystkim, żeby była wyposażona w wolność. W państwie mogą być „wszelkie swobody, ale ktoś, kto się urodzi w sferze nędzy czy w regionie, gdzie dochód na głowę jest wielokrotnie niższy niż w metropolii, taka realna wolność jednostki jest nieporównanie mniejsza, a często jest w ogóle zniesiona” – mówił wtedy Jarosław Kaczyński. Obecnie podobne tezy wygłasza premier Mateusz Morawiecki. Poglądów nie zmienił oczywiście także Jarosław Kaczyński.

Podział na Polskę solidarną i liberalną po 2010 r. nie był mocno eksponowany w politycznych wystąpieniach liderów, lecz trwał. I był przedmiotem analiz politologów oraz socjologów.

Większość godziła się z wnioskami prof. Mikołaja Cześnika oraz dr. Michała Kotnarowskiego sformułowanymi w 2011 r. w artykule „Nowy wymiar politycznego współzawodnictwa: Polska Solidarna vs. Polska Liberalna”. Te wnioski sprowadzają się do tego, że „od wyborów parlamentarnych w 2005 r. [...] na dalszy plan zeszła organizująca do tej pory rywalizację polityczną i wyborczą opozycja lewica – prawica, a znaczenia nabrała opozycja między Polską solidarną i Polską liberalną”. Po 2005 r. ten podział się utrwalił i „ustawił” również inne ugrupowania. W 2018 r. mało kto kwestionuje tezę, że ten podział zastąpił stary

na lewicę i prawicę. Cześnik i Kotna-rowski nazwali to „prawdziwym roz-lamem socjopolitycznym”. I Grzegorz Schetyna stosuje się do tego podziału, a wręcz bardzo na nim korzysta, choć nie potrafi tego opowiedzieć w spójnej narracji. Z kolei Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki odnoszą się do tego równie wyraźnie i w podobnych kategoriach pojęciowych jak liderzy PiS w 2005 r., czyli jeszcze wzmacniają „solidarystyczną” narrację.

Niektórzy politolodzy i socjolodzy odnoszą podział na Polskę solidarną oraz liberalną do kategorii opisanych przez jednego z ojców amerykańskiej Partii Libertariańskiej – Davida Nolana (z 1971 r.). Zgodnie z jego koncepcją „solidarne” PiS jest partią komunitarystyczną, „liberalna” PO zaś – partią libertariańską (libertariańska miała być też Nowoczesna w wersji Ryszarda Petru). Zasadnicza linia podziału między komunitarystami a libertarianami biegnie między wspólnotowością i solidarnością a wolnością i rolą jednostki. Podział na Polskę solidarną i liberalną czy na komunitarystów i libertarian sprawia, że słabną wszystkie polityczne siły, które się w nim nie mieszczą. Może z wyjątkiem ruchu Kukiz ’15, którego członkowie i sympatycy są w rozkroku między jednym a drugim stanowiskiem.

Trwałość tego podziału zmusiła PSL do ewoluowania w stronę „solidarną” (komunitaryzmu), choć słabo to ludowcom wychodzi. I trwałość tego podziału marginalizuje zarówno nową lewicę (Polska Razem, Inicjatywa Polska), jak i „paleolewicę”, czyli SLD. Ostatnie sukcesy sondażowe partii Włodzimierza Czarzastego można tłumaczyć przebieganiem się SLD w szaty komunitarian, choć podważają to kwestie obyczajowe (komunitarianie są konserwatywni obyczajowo). Teraz to działa, ale w wyborach parlamentarnych w 2019 r., gdy liczył się będzie podział na prawdziwych libertarian i komunitarian, przebiegańcy zapewne stracą. Na tym zasadniczym podziale traci też „paleoprawica”, czyli przede wszystkim partia Wolność Janusza Korwin-Mikkego, który wciąż tkwi w antyetatystycznej retoryce myślicieli z kręgu Austriackiej Szkoły Ekonomii (państwo jako nocny stróż).

ZWYCIĘSKI SCHETYNIA

Podział na Polskę solidarną i Polskę liberalną ewidentnie sprzyja ewolucji naszej sceny politycznej w system dwupartyjny. Bo bardzo angażuje emocjo-



Fot. Andrzej Skowroński

nalnie, co działa na korzyść głównych graczy, nawet jeśli polska debata publiczna staje się często nie do zniesienia właśnie wskutek temperatury i amplitudy emocji. Tyle że na letniości nie można zbudować politycznego sukcesu, o czym najdobitniej przekonuje los Nowoczesnej. Dostrzegł to wszystko Grzegorz Schetyna, dlatego od objęcia funkcji szefa PO 26 stycznia 2016 r. konsekwentnie dążył do odbudowania fundamentalnego podziału, choć zupełnie nie potrafił o tym mówić na poziomie metapolitycznym. Ale to, czego nie ma w narracji Schetyny, wpuszczają do publicznego obiegu media sprzyjające PO oraz popierający tę partię naukowcy i ludzie kultury.

W efekcie coraz wyraźniej krzepnie polityczny duopol sprzyjający Platformie, a doprowadzenie do jego okrzepnięcia jest ogromnym atutem obecnego przewodniczącego tego ugrupowania

w wewnątrzpartyjnych walkach i konfliktach. Nawet niedawni przeciwnicy Schetyny (Ewa Kopacz, Borys Budka, Cezary Grabarczyk, Waldy Dzikowski) czy tzw. młode wilki (Agnieszka Pomaska, Kinga Gajewska, Michał Szczerba, Sławomir Nitras, Arkadiusz Myrcha) widzą, że PO zyskuje na przywróceniu zasadniczego podziału, co sprawia, iż akceptują przywództwo obecnego lidera.

Po wyrzuceniu z partii Stefana Niesiołowskiego, Michała Kamińskiego, Jacka Protasiewicza i Stanisława Huskowskiego wśród opozycyjnych wobec Grzegorza Schetyny polityków PO panuje przekonanie, że może on bez negatywnych konsekwencji dla siebie, partii i klubu parlamentarnego pozbyć się każdego buntownika. A jeśli tego nie robi do końca, jak w przypadku wykluczonych z partii, lecz nie z klubu – Marka Biernackiego, Joanny Fabisiak i Jacka Tomczaka, to dlatego, że może sobie na taką łaskawość pozwolić. Z powodu poczucia siły i niekwestionowanej pozycji w partii.

Wszyscy ci, którzy kwestionują zdolności przywódcze Grzegorza Schetyny, powinni się głęboko zastanowić, czy nieudacznik i człowiek bez właściwości doprowadziłby do odbudowania pozycji ugrupowania, pozbycia się wrogów, osiągnięcia największej w historii PO spójności programowej i politycznej (choć jest to zbudowane na niemal biologicznej nienawiści do PiS), przywrócenia miejsca głównego gracza w fundamentalnym podziale oraz pozycji beneficjenta „rozłamu socjopolitycznego”. To wszystko daje PO wyłącznie korzyści, a z Grzegorzem Schetyną czyni lidera nieusuwalnego w wyobraźalnej perspektywie.

MŁODE DINOZAURY

Liczne wypowiedzi płynące do polityków PiS, by „zliberalizowali” kurs, bo przykłaśnie temu polityczne centrum (z klasą średnią na czele), ignorują zasadniczy podział polityczny, jaki dokonał się w Polsce ok. 2005 r. I to ten podział decyduje obecnie o sukcesie w polityce. Za naiwne można więc uznać te wszystkie wolnorynkowe zakłęcia i obrzucanie rządu Mateusza Morawieckiego

oraz jego samego epitetami o „eta-tyzmie”, „socjalizmie” czy wręcz „komunizmie”. Te epitety odsyłają do starego, od dawna nieaktualnego podziału na prawicę i lewicę. I nie świadczą dobrze o rozumieniu polityki. „Paleoprawica” Janusza Korwin-Mikkego jest od tego wszystkiego wolna, ale jakoś sukcesów nie odnosi. Podobnie jak kolejne polityczne twory nastawione na centrum właśnie, np. PJN czy Nowoczesna.

Jarosław Kaczyński trafnie odczytał ewolucję polskiej sceny politycznej i od zasadniczego podziału na Polskę solidarną oraz Polskę liberalną nigdy nie odszedł. A teraz wpisał się w to także premier Mateusz Morawiecki. Wiele wskazuje na to, że wybory parlamentarne w 2019 r. będą powtórzeniem kampanii z 2005 r., w których Jarosław Kaczyński był współliderem (obok Lecha Kaczyńskiego), Grzegorz Schetyna zaś był zbrojnym ramieniem Donalda Tuska.

Kreujące polską politykę zderzenie Jarosława Kaczyńskiego z Grzegorzem Schetyną dowodzi, że od kilkunastu lat nie pojawił się na tej scenie żaden nowy partyjny lider, który przetrwałby więcej niż jeden sezon. A to sprawia, że polityczne dinozaury są wciąż młode

Konfrontacja Kaczyńskiego ze Schetyną dowodzi, że od kilkunastu lat nie pojawił się w polskiej polityce partyjnej żaden nowy lider, który przetrwałby więcej niż jeden polityczny sezon. A to sprawia, że polityczne dinozaury

są wciąż młode. Nie pojawiła się także żadna nowa diagnoza rzeczywistości, co czyni podział solidarno-liberalny jeszcze bardziej trwałym i aktualnym. Pewnie nieprzypadkowo polską polityką w 2018 r. kierują ludzie z co najmniej 20-letnim doświadczeniem na szczytach. Konfrontacja Kaczyńskiego ze Schetyną dowodzi też, że procesy zapoczątkowane po roku 2000 jeszcze się nie zakończyły i będą miały zasadnicze znaczenie dla wyniku wyborów odbywających się w latach 2018–2020. A od wyniku tych wyborów zależy, czy wreszcie elity rządzące Polską stworzą silne, skuteczne państwo, nie do zastąpienia przez państwo nocnego stróża. Tę konieczność dostrzegli nawet politycy PO, którzy mówili w 2014 i 2015 r. o „państwie teoretycznym”, „państwie z tektury” czy „kamieni kupie”. Tyle tylko, że nic nie potrafili z tym zrobić. I równie beznadziejnie wydaje się obecnie Grzegorz Schetyna.

REKLAMA



FUNDACJA WSPIERANIA
UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

Samorządy terytorialne coraz śміielej patrzą w kierunku towarzystw ubezpieczeń wzajemnych. Dlaczego? Przede wszystkim z powodu niższych kosztów polis czy znacznie większego zakresu ochrony w porównaniu z ofertami komercyjnych towarzystw ubezpieczeniowych. Po drugie, tak działa przykład innych samorządów, które już skorzystały z propozycji T UW-u i otwarcie chwalą wybór tej opcji. O zaletach T UW-ów samorządowcy mogli się dowiedzieć podczas specjalnie zorganizowanego panelu w czasie Europejskiego Kongresu Samorządów.

Pod koniec kwietnia przy okazji IV Europejskiego Kongresu Samorządów został zorganizowany panel „Ochrona mienia publicznego przed skutkami klęsk żywiołowych z wykorzystaniem mechanizmu wzajemności w ubezpieczeniach”. Już samo podjęcie tego tematu podczas tak ważnej konferencji wskazuje na to, że obecne podejście do ubezpieczeń samorządów terytorialnych wymaga przewartościowania.

T UW-y na Europejskim Kongresie Samorządów

– Zmiany klimatyczne będące przyczynami coraz silniejszych zjawisk pogodowych, szkody wyrządzone przez kataklizmy, a z drugiej strony coraz droższe warunki ubezpieczeń zmuszają gminy, powiaty do szukania nowych rozwiązań – przyznaje Jarosław Bierecki, prezes Fundacji Wspierania Ubezpieczeń Wzajemnych. – Okazuje się, że T UW-y to w tej chwili najlepsza opcja. Potwierdzają to sami przedstawiciele samorządów obecni na ostatnim kongresie samorządowców, którzy otwarcie mówili o korzyściach ubezpieczeń wzajemnych. Na przykład burmistrz Tucholi chwalił T UW za szybką likwidację szkód i przywrócenie energii elektrycznej na terenie dotkniętym przez ubiegłoroczną nawałnicę. Zastępca wójta Raciechowic, gminy często nawiedzanej przez powodzie, przyznał, że oferta T UW spełnia warunki ubezpieczenia i ochrony pod tym kątem oraz proponuje korzystną składkę. Poza tym z oferty T UW-ów korzystają nie tylko nieduże gminy i powiaty, lecz także duże ośrodki miejskie, np. Łódź czy Słupsk, który obecnie negocjuje umowę. Właśnie takie przykłady są najlepszą rekomendacją ubezpieczeń wzajemnych – przyznaje Jarosław Bierecki.

Przedstawiciele samorządów podkreślają również, że T UW-y dostarczają ofertę odpowiednią

do oczekiwań władz samorządów, a na dodatek atrakcyjną pod względem wysokości składek.

– Nie zapominajmy jednak, że zalety oferty T UW-ów wynikają wprost z charakteru ich działalności. Na przykład długi czas ochrony wynika z tego, że ustawa o zamówieniach publicznych nie odnosi się do T UW-ów – nie ma trzyletniego ograniczenia umowy. A im ta współpraca jest dłuższa, tym cena ubezpieczenia korzystniejsza. T UW-y nie są także zagrożone wyłudzeniami. Trudno sobie wyobrazić sytuację, że ktoś będzie niszczył swoją własność, by wyłudzić świadczenie. Myślę, że już w takim aspekcie samorządy doceniają T UW-y – dodaje Jarosław Bierecki.



Jarosław Bierecki,
prezes FWUW



Choroba się nasila

Powtarzane przez opozycję hasła o upadku demokracji, faszyzmie i państwie policyjnym zostały już wyprane z realnej treści i całkowicie zużyte. Ich miejsce zaczynają zajmować emocjonalne wrzaski i wyzwiska. Czy tak będzie teraz wyglądała publiczna debata w Polsce?



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Niespełna dwa tygodnie temu Wojciech Jabłoński, kiedyś udzielający się w mediach politolog i były wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, zaproponował na Twitterze wspólną akcję oddawania moczu na pomnik ofiar katastrofy smoleńskiej przy warszawskim placu Piłsudskiego. „Mocz oddajemy na chodnik, nie bezpośrednio na granitowego kłosa” – napisał. „Grozi nam jedynie grzywna za oddawanie moczu w miejscu publicz-

nym” – uspokajał wahających się, zapewniając jednocześnie, że tę sprawę „skonsultował z papugami”.

Można oczywiście machnąć ręką na Jabłońskiego, skwitować, że może jest chory, ale przecież nie on jeden sięga po taki repertuar, nie jest w tym pierwszy ani ostatni. Oddawanie moczu nieodmiennie kojarzy się z akcjami palikociarzy na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie kilka miesięcy po katastrofie smoleńskiej. Obsesja? Fobie? Urojenia? Nawet jeśli, to cynicznie wykorzystane. Palikot nie był wariatem, on całkiem świadomie grał na antypisowskich psychozach i pierwszy wprowadził je do głównego nurtu. Teraz nie ma już bez nich dnia. Obóz antypisowski nie tylko daje na to przyzwolenie, lecz i sam coraz częściej zaczyna ulegać wykreowanym przez siebie urojeniom.

RUCH OPORU

Zanim dr Jabłoński zaproponował „oddanie się” na pomnik smoleński, organizowano – na razie bezskutecznie – akcje zabazgrania pomnika napisami i graffiti, rzucono też hasło wspinaczki na szczyt monumentu. W internecie pojawiły się nawet zdjęcia przedstawiające młodzieńca stojącego na szczycie pomnika, ale szybko okazały się fotomontażem. Nie przeszkodziło to jednak w publikacji ich na portalu Radia Tok FM pod tytułem „Mężczyzna wdrapał się na pomnik PiS-u”. I choć dodano obok, że policja temu zaprzecza, to całość mogła zostać odebrana jako promocja akcji oraz zachęta do jej rzeczywistego przeprowadzenia.

Inicjatorem wspinaczki na szczyt pomnika – nazywanego w antypisow-

skich mediach pogardliwie „schodami Kaczyńskiego” – jest pisarz Ziemowit Szczerek, który zamieścił na Facebooku swój „manifest”. Píše on m.in.: „Prawdziwym zbydłenciem jest chamskie ładowanie się w przestrzeń publiczną z symbolami, które są prostacką interpretacją wiary, które są stawiane bez konsultacji z innymi i często z naruszeniem prawa i dobrych obyczajów. Jezus Świebodziński – wzniesiony katolicki penis, totem sterczący z błota, widoczny z dziesiątków kilometrów – stawiany jako rzeźba ogrodowa”.

I dalej – o partii rządzącej i współobywatelach: „Bo rządzi krajem toksyczna emocjonalna ropa, która zebrała się przy najbardziej małoświatowych hasłach, roszczeniowo-odreagowujących. Założyła partię i zwyciężyła w wyborach, i ktoś w końcu musi powiedzieć to głośno, i wypowiedzieć tej małości szacunek i posłuszeństwo, co też niniejszym czynię”.

Autor powyższych słów nie jest człowiekiem z rymsztoka. Szczerek publikuje artykuły na łamach m.in. „Polityki” oraz „Tygodnika Powszechnego”. Czy ktokolwiek z tych redakcji odciął się od jego akcji?

Nic dziwnego, że Paweł Kasprzak, lider Obywateli RP, którzy atakowali miesięcznice smoleńskie i w otwarty sposób nawoływali do łamania prawa, został niedawno wyróżniony w plebiscycie czytelników „Gazety Wyborczej” na Człowieka Roku 2017, a inna laureatka tego plebiscytu, działaczka feministyczna Marta Lempart, publicznie nazywa polityków obozu rządowego „pisowskimi kanałami”. Nic też dziwnego, że Renata Kim z „Newsweeka” robi sobie „obrazoburcze” zdjęcia pod pomnikiem smoleńskim z tęczową flagą w ręku, a aktorka Magdalena Cielecka stroi pod nim głupie miny.

STRACH O ŻYCIE

Aktorzy i celebryci stali się zresztą – nie wiadomo, czy wskutek nadwrażliwości na bodźce, czy z innych powodów – najbardziej histeryczną i jednocześnie pocieszną grupą wśród osobistych wrogów Kaczyńskiego. Wspomniana

przed chwilą Cielecka czuje się w Polsce zagrożona fizycznie. „Jadę tramwajem i się zastanawiam, kto jest po tej, a kto po tamtej stronie. Ten patrzy na mnie krzywo, ten mnie rozpoznał, co będzie, jak za mną wysiadzie. I zaczynam się bać” – zwierzała się „Newsweekowi”. Po czym bez żenady przyrównała się do żydowskiego dziecka próbującego przetrwać okupację. W obronie takich jak ona stanął Krzysztof Łoziński, mało znany szef zapomnianego już KOD, który dostrzegł niewidoczne, ale – jego zdaniem – oczywiste podobieństwa między Pol Potem i Kaczyńskim: „Czerwoni Khmerzy mordowali ludzi w okularach. A w Polsce obserwujemy szcucie na literatów, lekarzy, dziennikarzy,

„Mocz oddajemy na chodnik, nie bezpośrednio na granitowego kłosa” – instruował politolog dr Wojciech Jabłoński, który zaproponował na Twitterze akcję obsikiwania pomnika ofiar katastrofy smoleńskiej

aktorów” – zaalarmował. Po czymś takim łatwiej zrozumieć niedawne obawy posła Krzysztofa Brejzy (PO) o życie, gdy pod jego domem spłonęła od rzuconego niedopałka przenośna ubikacja.

Daniel Olbrychski na portalu Wyborcza.pl obwieścił, że „Urban czasów stanu wojennego był wybitnym demokratą w stosunku do tego, co się teraz dzieje”. A aktorka Maja Ostaszewska nie ma już wątpliwości, że przyszło jej żyć w państwie autorytarnym.

Są to jednak łagodne dyrdymały w porównaniu z rewolucyjnym występiem Doroty Stalińskiej, która po zakończeniu protestu niepełnosprawnych w Sejmie złapała za mikrofon i wygarnęła politykom PiS, że są „łajdakami”, a następnie

– jakby parafrazując Cyrankiewicza i jego passus o dłoni odrabanej przez władzę ludową – zakrzyknęła w imieniu swoim i Pana Boga, że „za tę dłoń podniesioną nad protestującymi matkami was wszystkich, służalczych pacholków, i pan Bóg w niebie, i my tu, matki Polki, stokrotnie przeklinamy!”. Po czym wraz z grupką zebranych słuchaczy zaczęła skandować: „Prze-kli-na-my!”.

Wrzask Doroty Stalińskiej mógł być uzasadniony. Agnieszka Holland uważa, że „problemem nie jest to, iż ludzie obojętnieją, ale że od początku nie chcieli słuchać ostrzeżeń. A jeśli ludzie zatkają uszy, musisz krzyczeć coraz głośniejsze”. No więc pani Dorota krzyczała tak długo, aż całkiem ochrypla.

REPRESJE

Wydaje się, że antypisowskie media celowo prowokują celebrytów do zwierzeń, na które nikt – kto ma świadomość własnych słabości i ograniczeń – nigdy by sobie nie pozwolił w obawie przed ryzykiem kompromitacji. Marcin Kydryński, sławny syn sławnych rodziców, w rozmowie z portalem Onet, określonym przez niego mianem parnasu („gdzie indziej strach w ogóle zajrzeć”), ujawnił swoje polityczne wizje: „Czasem fantazjuję sobie o Barbarze Nowackiej i Elizie Michalik. Marzy mi się, że żyję w kraju, w którym pierwsza z nich jest moją panią prezydent, a druga panią premier. Względnie odwrotnie. Co za wizja, intelekt, klasa, kultura, czar i siła”.

Sięgnijmy więc do tego ubóstwianego przez Kydryńskiego intelektu Elizy Michalik, niegdyś gwiazdy „Gazety Polskiej”, a dziś wręcz przeciwnie. Oto mała próbka z marca tego roku: „Kościół zabija ludzi. Kościół zabija i gwałci... Od dwóch tygodni nie ma dnia, żebym nie otworzyła gazety i nie przeczytała, że ksiądz kogoś zgwałcił. Księża zabijają ludzi. Gwałcą dzieci i zabijają ludzi, zabijają dzieci”. Aha, dodajmy, że pani Eliza pisywała również do „Gościa Niedzielnego”.

Inny weteran pravicowych mediów, a dziś neofita dawnego porządku, to Wojciech Czuchnowski z „Gazety

Wyborczej”, którego niezmiennie przyciąga do siebie Antoni Macierewicz. W 2016 r. Czuchnowski nawoływał żołnierzy do nieposłuszeństwa wobec ówczesnego ministra obrony, rok później zasłynął bohaterką blokadą kolumny samochodów z MON („z obywatelskich pobudek”). Nieestety okazało się, że w żadnym z aut nie siedzi Macierewicz, i ostatecznie skończyło się pyskówką z oficerem żandarmerii, który zażądał od Czuchnowskiego ustąpienia pierwszeństwa na drodze. Czuchnowski ulżył sobie dopiero w kwietniu podczas konferencji Macierewicza, na którą przyszedł tylko po to, aby powiedzieć mu, że jest „klamcą i przestępcą”. Ostatnio dopingował też protestujących w Sejmie niepełnosprawnych i podzielił się uwagą na temat dziennikarzy TVP nazywanej przez niego poetycko „kurwizją”. „To już nie są dziennikarze, to ubecja z legitymacjami dziennikarskimi” – zauważył przenikliwie.

Z policją (a może i ubecją) miał też ostatnio do czynienia jego kolega z łamów Wojciech Maziarzski. W felietonie opublikowanym w „Wyborczej” ujawnił, że został zatrzymany do kontroli przez drogówkę. „Takich incydentów z drogówką nie miałem od czasów PRL” – skonstatował zaniepokojony.

„Znajdujemy się na progu przekształcenia naszego kraju w państwo policyjne. Jest zupełnie jak w »Procesie« Kafki: każdy może zostać oskarżony, skazany i ukarany. Bez poszanowania praw człowieka”. Kierujący „Gazetą Wyborczą” Jarosław Kurski, który jest autorem powyższych słów, nie ma wątpliwości, że powróciła PRL. „Rano przyszli po Władka. Wyprowadzili w kajdankach... To się dzieje tu i teraz, w Polsce do niedawna jeszcze demokratycznej” – alarmował po przesłuchaniu Władysława Frasyniuka, który konsekwentnie odmawiał stawiennictwa przed „pisowską” prokuraturą.

Kurski jest pogrążony w depresyjnym nastroju. Przeżywa swoje najgorsze dni i lata. „Mija rok 2017. Najgorszy rok polskiej demokracji od przełomu



Wojciech Jabłoński
@JablonskiDoktor

Obserwuj

Zasady akcji

#OdlejSięNaSmoleńskąKlatkęSchodową:

1. Mocz oddajemy na chodnik, nie bezpośrednio na granitowego kłoca. Na tej SAMOWOLCE BUDOWLANEJ - obecna, bolszewicka władza umieściła ORŁA, który jest święty, a którego ona zbrukała.
2. Ochrona prawna i medialna. Kamery i prawnicy



Wojciech Jabłoński @JablonskiDoktor
Odlejemy się we wtorek, 29.05., po 21:00 (wtedy jest mniej patroli).
Zapraszam.
Będzie akurat w miejscu, blisko mieszkan.
Zbieram ekipę warszawską na akcję

15:17 - 25 maj 2018



Wojciech Jabłoński
@JablonskiDoktor

Obserwuj

#OdlejSięNaSmoleńskąKlatkęSchodową

PS Akcja skonsultowana z moimi papugami.

Grozi nam jedynie grzywna za oddawanie moczu w miejscu publicznym (max 1500 zł, zwykle to zaledwie 200-400 zł).

A pomnik?

"POMNIK" JEST - PRAWNIE - SAMOWOLĄ BUDOWLANĄ.

Dla sądu - będzie to tylko kłoc



WolverinePL @wolverinePL
Pierwszą śmietnikową zdobywają najwyższy szczyt Centrum
Brawo! 🙌🙌

14:40 - 25 maj 2018

1989. [...] Stoimy pośród ruin demokracji” – pisał w komentarzu na koniec zeszłego roku. Dwa tygodnie wcześniej przeżył z kolei „najgorszy dzień od 1989 roku”, gdy Komisja Europejska uruchomiła – tak wyczekiwana w jego środowisku – procedurę prowadzącą do nałożenia sankcji unijnych na Polskę.

DWIE POLSKI

Czarne myśli towarzyszą również antypisowskim intelektualistom. Mgr Jerzy Stępień, sędzia TK w stanie spoczynku, przyznał w programie internetowym Tomasza Lisa, że „mamy sytuację stanu wyjątkowego. Władza zawiesiła prawa obywatelskie”. Stępień spodziewa się, że wybory zostaną odwołane. „W stanie wyjątkowym zawieszają lub przesuwa się wybory” – wyjaśnił rzeczowo. Aleksander Smolar z Fundacji Batorego przekonany jest za to, że Polska „intelektualnie i mentalnie przestaje być częścią Zachodu”. Nic dziwnego, skoro – zdaniem Marcina

Króla – Kaczyński i większa część jego otoczenia to ludzie, „którzy nie piją wina w Toskanii, nie jedzą ostryg w Bretanii, nie znają Europy z jej atrakcjami i kulturą”.

Smak ostryg zna za to na pewno koneser Radosław Sikorski, który nie owijając w bawełnę jak Król, stwierdził po prostu, że „prezes Kaczyński jest wrednym dziadym”, a Beata Szydło to „wstrętny babsztyl”. Prof. Ludwik Turko – w rozmowie z „Wyborczą” – ma podobne mniemanie o wyborcach PiS, którzy – jak sądzi – pluja na ulicę i sikają w bramach.

Jedyną deską ratunku, która może odseparować miłośników ostryg od sikającej w bramach tłuszczy, wydaje się już tylko podział państwa, co podpowiedziała we śnie pisarce Marii Nurowskiej nieżyjąca Oriana Fallaci. „Wy bierzcie tereny od Warszawy na północ, do morza, a elektorat Małego Człowieczka na południe po góry” – relacjonowała swoją „rozmowę” z włoską reporterką Nurowską. Tym tropem poszli potem dziennikarka Zuzanna Ziomecka i jej ojciec Mariusz, także dziennikarz, który chciałby jednak podzielić Polskę

Fot. Twitter.com

wzdłuż, a nie w poprzek: „Zachodnia i Wschodnia Polska? Dwa kraje, które różni prawie wszystko: historia, religia, język, obyczaje, wartości, postawa wobec sąsiadów, środowiska naturalnego, klimatu”. Dostrzegł jednak również i złe strony tej koncepcji. „Dla mnie osobiście najbardziej przykra w tym wszystkim jest myśl o utracie Mazur. Pocieszam się, że z czasem Polacy Wschodni będą dawali wizy (opłacane twardą walutą euro) na nostalgiczne odwiedziny – jak kiedyś Niemcom” – napisał.

Pytanie: czy śmiać się z tego wszystkiego, czy płakać? Obserwujemy dziś w Polsce niebezpieczny mechanizm, w którym najpierw odgórnie podkręca się emocje, a potem ulega się płynącej z dołu reakcji. Uruchomiona psychoza wymyka się spod kontroli. To może dotyczyć każdego, bez względu na poglądy, jednak histeria w obozie antypisowskim jest już dziś tak wielka, że urojone represje są odczuwane jako realne. Czy jest na to jakieś lekarstwo?

Przed warszawskim sądem rozpoczął się proces Kajetana P., bibliotekarza, który postanowił udowodnić, że życie ludzkie nie jest więcej warte niż życie komara. Szczególną rolę w tej sprawie odegrają psychiatrzy – na sali sądowej będą się spierać, w jakim stopniu oskarżony jest odpowiedzialny za swoje czyny

Bitwa psychiatrów za zamkniętymi drzwiami

Fot. Materiały policyjne



MAJA NARBUTT

Nadzwyczajne środki ostrożności, jakie towarzyszą toczącemu się za zamkniętymi drzwiami procesowi, to, że odbywa się w specjalnie strzeżonej sali przeznaczonej na rozprawy najgroźniejszych mafijnych przestępców, budzą ekscytację mediów.

Naprawdę ważne jest jednak zupełnie coś innego. Proces Kajetana P. pokazuje, jak działa polski wymiar sprawiedliwości i jak olbrzymią rolę odgrywają w nim biegli sądowi.

Istotne jest także to, że już na samym początku prokuratura popełniła błędy, które mogą zaważyć na wyroku. – Kajetan P. mógłby wyjść na wolność po odsiedzeniu dwóch lat i ośmiu miesięcy. Tak wynika z Kodeksu karnego, który przewiduje możliwość nadzwyczajnego złagodzenia kary, gdy sprawca miał ograniczoną poczytalność. Sąd może wówczas wymierzyć karę mniejszą niż jedna trzecia najniższej kary przewidzianej za zabójstwo – przysądza prokurator Łukasz Łapczyński, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Trudno się dziwić, że nawet czysto teoretyczna możliwość, iż już wkrótce Kajetana P. będzie można spotkać na ulicy, budzi niepokój. W lutym 2016 r. 26-letni bibliotekarz i filolog klasyczny dokonał niezwyklej zbrodni. Swoją ofiarę wybrał przypadkowo, przeglądając ogłoszenia o korepetycjach języków obcych. Trafił na anons Katarzyny J., lektorki języka włoskiego. Umówił się na lekcję w jej mieszkaniu na warszawskiej Woli. Kiedy młoda kobieta odwróciła się od niego w przedpokoju, zaatakował. Potem zapakował do plecaka i torby rozczłonkowane toporkiem ciało. Zamówił taksówkę, po przejechaniu pewnego dystansu przesiadł się do innej i pojechał do wynajmowanego mieszkania. Taksówkarz zauważył, że z torby sączy się krew, ale Kajetan P. spokojnie wyjaśnił, że jest w niej tusza dzika.

Jak opowiadał później śledczym, jego plan się posypał, a on zaczął odczuwać niepokój, gdy na klatce schodowej zauważyła go wychylająca się z drzwi wścibska sąsiadka. Zrozumiał, że musi uciekać.

Podczas dochodzenia dużo mówił o swoich motywach – podkreślał, że zbrodnia była dla niego elementem planu samodoskonalenia. Chciał się wyzbyć emocji i udowodnić, że życie człowieka nie jest więcej warte niż świni czy komara. Nie ukrywał też mrocznych fascynacji kanibalizmem. Nie mógłby zresztą ich ukryć – bardzo szybko zaczęły wypływać teksty, które już opublikował lub zamierzał opublikować. Napisany po łacinie wiersz o uczcie Hannibala Lectera, mordercy i kanibala, bohatera thrillerów, a także konspekty artykułów, które proponował tygodnikowi „Polityka”, obsesyjnie obracających się właśnie wokół tej tematyki.

Od początku było więc oczywiste, że w przypadku tej zbrodni kluczowe znaczenie będzie miało stwierdzenie, czy w momencie jej popełnienia Kajetan P. był poczytalny. I bardzo szybko okazało się, że wokół sprawy dzieje się dziwne rzeczy. Płynęły miesiące, prokuratura miała ujawnić wynik ekspertyzy dotyczącej poczytalności Kajetana P., a ekspertyzy ciągle nie było. Podawano kolejne terminy, ale ich nie dotrzymywano. W końcu okazało się, że biegli uznali, iż Kajetan P. poczytalny nie jest i cierpi na ciężką chorobę psychiczną. Jednak drugi zespół biegłych, także po wielu miesiącach, doszedł do innych wniosków – że Kajetan P. nie jest chory psychicznie, a tylko ma pewne zaburzenia. Uznano też, że w chwili popełnienia zbrodni wiedział, co robi, choć jego poczytalność była znacznie ograniczona.

– Fatalne zaniedbania prokuratury doprowadziły do tego, że proces będzie trudny. Znaleźliśmy się na grząskim gruncie domniemań, spekulacji i wykluczających się opinii. Obrona z pewnością wykorzysta te sprzeczności. Dlatego już na samym początku należało powołać biegłych o najwyższych kompetencjach, których opinii nikt nie mógłby podważyć. Dlaczego tak się nie stało? To ciekawe pytanie – twierdzi jeden z moich rozmówców.

To tajemnica poliszynele, że pierwsza diagnoza była niechlujna, pełna luk i mało profesjonalna. Prokuratura nie ukrywała zresztą swego niezadowolenia, twierdząc, że nie otrzymała w niej odpowiedzi na wiele ważnych pytań. Ale nie chwaliła się, że zamówiła ekspertyzę u dość przypadkowych biegłych – z moich informacji wynika, że chorobę psychiczną u Kajetana P. stwierdziła początkująca lekarka, świeżo zatrudniona w areszcie na Rakowieckiej.

Drugi zespół biegłych był już znacznie bardziej profesjonalny i kompetentny. Miał jednak utrudnione zadanie – podejrzanego nie można poddać obserwacji, która trwa dłużej niż osiem tygodni. Możliwość obserwacji została bowiem wyczerpana już przez pierwszy zespół.

To wszystko jest dość niezwykle, biorąc pod uwagę bulwersujący charakter tej sprawy. A także dość szczególnie kontekst związany z rodzinnymi konsekwencjami Kajetana P.

– Nie ma żadnego znaczenia, kto jest matką Kajetana P. Każdy ma jakichś rodziców i to absolutnie nie wpływa na sprawę – mówi mi prokurator Łukasz Łapczyński.

Może tak jest rzeczywiście, ale trudno zapomnieć, że matką Kajetana P. jest prokurator z Prokuratury Apelacyjnej w Poznaniu, przez pewien czas oddelegowana do Prokuratury Generalnej. To z pewnością jeden z powodów, by sprawa była prowadzona wyjątkowo starannie i transparentnie.

POLSKA EPIDEMIA PSYCHOZY

– Patrząc z boku, trudno uwierzyć w niepoczytalność Kajetana P. Za dużo było w jego działaniach planowania i dbałości o szczegóły. Można spekulować, że nawet wybór kobiety jako ofiary był przemyślany. Przecież gdyby Kajetan P. zaatakował mężczyznę, musiałby się liczyć z tym, że tamten podejmie walkę, okaże się silniejszy i sytuacja się odwróci. Wiedział też doskonale, że musi uciekać, by nie ponieść konsekwencji swej zbrodni, i zaplanował to lepiej niż większość przestępców – podkreśla dr Paweł Moczydłowski, kryminolog i były szef więziennictwa.

Trasa ucieczki polskich przestępców kryjących się przed wymiarem spra-

wiedliwości bywa często banalnie oczywista: najmniej pomysłowi uciekają do Wielkiej Brytanii, a ci, którzy mają więcej możliwości lub więcej do stracenia, kryją się w Ameryce Południowej.

Kajetan P. miał lepszy pomysł: chciał ukryć się w Afryce Północnej, na terenach, gdzie panuje chaos, być może nawet kontrolowanych w tamtym czasie przez Państwo Islamskie. Złapano go w ostatniej chwili, wyspecjalizowana w poszukiwaniu zbiegłych przestępców policyjna grupa „łowców cieni” odnalazła go na Malcie. Całkowicie zaskoczony nie stawiał oporu. Ale kiedy wsadzano go do samolotu, nagle zaatakował policjantów i usiłował ich gryźć.

– Z wyszczerzonymi zębami rzucić się na funkcjonariuszy to efekt wręcz teatralny. Tak jakby wcielał się w rolę osoby nie poczytalnej, która zupełnie się nie kontroluje. Podobnie zrobił później w polskim areszcie – kawałkiem szkła sterroryzował psycholog, która go badała, i zranił strażnika. Ale zwróćmy uwagę na jedną rzecz: trzeba się bardzo postarać, by w areszcie zdobyć szkło. To wymaga naprawdę przemyślanych działań – mówi dr Paweł Moczydłowski.

Nie ulega wątpliwości, że w czasie procesu prokuratura będzie zwracać uwagę na te elementy, które wskazują, iż Kajetan P. działał w sposób wskazujący na to, że potrafił myśleć racjonalnie, a swe działania planował.

A jednak kluczowe znaczenie będzie miała na sali sądowej opinia psychiatrów.

– Znany profesor prawa stwierdził, że w rzeczywistości to biegli sądowi rozstrzygają o winie, a sędzia tylko wymierza karę. Tak właśnie jest w Polsce i tylko u nas. Opinia psychiatrów traktowana jest nabożnie jak Ewangelia, przesądza o wszystkim. Jeśli psychiatrzy stwierdzą, że oskarżony jest chory psychicznie, to automatycznie unika odpowiedzialności karnej – podkreśla dr Jerzy Pobocho, znany psychiatra sądowy.

Jak mówi, takie podejście do problemu winy i odpowiedzialności to polska specyfika. W wielu krajach psychiatrzy skrupulatnie starają się ustalić, ile

w oskarżonym jest z przestępcy, a ile z osoby chorej psychicznie. Oznacza to, że może mieć np. schizofrenię paranoidalną, ale wcale nie znaczy, że nie będzie odpowiadać za zbrodnie. W Polsce wystarczy, że psychiatra wypowie magiczną formułę „choroba psychiczna”, i oczywiście jest, że nie może zapaść wyrok kary więzienia.

Sytuacja staje się jeszcze bardziej niepokojąca, kiedy weźmie się pod uwagę, że psychiatrzy się mylą. I wcale nie jest to zjawisko rzadkie.

Takich jak Kajetan P. określa się mianem narcystycznych zabójców. Lubią być w centrum uwagi, nie mają oporów, by opowiadać o swej zbrodni, i sprawiają wrażenie, że się nią wręcz szczycą

– W Polsce panuje prawdziwa epidemia psychozy. Oczywiście chodzi o chorobę, która pojawia się na papierze, w diagnozach. Bardzo łatwo wyrokuje się, że podejrzany na nią cierpi. Wynika to często z braku wiedzy psychiatry, nagminnego mylenia czyichś wierzeń z urojeniami. A poza tym prawdziwą zmurą jest powszechne opiekuńcze, paternalistyczne podejście do poddanego obserwacji oskarżonego. Psychiatrzy traktują go przede wszystkim jak pacjenta, którego trzeba chronić, co też odbija się w diagnozie – mówi dr Jerzy Pobocho.

EGO NARCYSTYCZNEGO ZABÓJCZY

Za zamkniętymi drzwiami sali sądowej, w której toczy się proces Kajetana P., dojdzie do konfrontacji dwóch zespołów biegłych. Muszą odpowiedzieć na szczegółowe pytania sędziego – dlaczego uważają, że pewne działania oskarżonego świadczą o jego chorobie

psychicznej bądź też dlaczego wcale o niej nie świadczą.

Nie jest wykluczone, że sędzia powoła kolejnych ekspertów, by przecieli kontrowersje i ostatecznie rozstrzygnęli sprawę poczytalności oskarżonego.

– Najgorszy scenariusz, jaki można sobie wyobrazić, oznaczałby praktyczne uniknięcie odpowiedzialności przez Kajetana P. Założmy, że zostanie skazany, ale na dość łagodną karę z uwagi na ograniczoną poczytalność. Bardzo szybko mógłby przyjąć taktikę, która gwarantuje mu sukces. Nie tak szybko wyjdzie na wolność – na pewno nie za obecnego ministra sprawiedliwości ani nawet za następnego. Ale z czasem zainteresowanie tą sprawą opadnie. A Kajetan P. w swej celi wyciągnie kartkę w kratkę i zacznie pisać. Do Komitetu Helsińskiego i do Strasburga – mówi, zastrzegając anonimowość, znany profesor psychiatrii.

W myśl tej koncepcji w swoich pismach Kajetan P. pisałby, że jest zresocjalizowany i przestrzymując go nadal za kratami, łamie się jego prawa. To mogłoby odnieść skutek, bo tak właśnie działa system.

Jednak jest to na razie czysto hipotetyczna możliwość. Sędzia wcale nie musi skorzystać z nadzwyczajnego złagodzenia kary. Kajetan P. działał przecież z pobudek zasługujących na szczególne potępienie, kierowało nim przekonanie, które ujawniał podczas przesłuchań, że jako jednostkę wyjątkową nie obowiązują go prawa moralne, których przestrzegają zwykli śmiertelnicy.

– Zawsze demonstrował świadomość własnej nieprzeciętności, dawał do zrozumienia, że stoi na wyższym stopniu rozwoju niż inni. Miał niezwykle duże ego – opowiadał mi jeden z jego znajomych, który studiował z Kajetanem P. na Uniwersytecie Warszawskim.

Takich jak Kajetan P. określa się mianem narcystycznych zabójców. Lubią być w centrum uwagi, nie mają oporów, by opowiadać o swej zbrodni, i sprawiają wrażenie, że się nią wręcz szczycą. Podobnie zachowywał się podczas przesłuchań Kajetan P. Miał też oświadczyć, że gdyby był na wolności, mógłby dokonać kolejnego zabójstwa.

Gruby jak młody Polak

Bez skutecznej profilaktyki młode pokolenie Europejczyków będzie żyło krócej od swoich rodziców, a do 2030 r. otyłość dotknie połowę mieszkańców Starego Kontynentu. Polskie dzieci zaliczane są od kilku lat do najszybciej tyjących w Europie. Eksperci przekonują jednak, że otyłości można uniknąć

Fot. Shutterstock

Nie do wiary, ale aż piąte miejsce na świecie zajmuje Polska pod względem występowania nadwagi i otyłości w populacji osób dorosłych. Tak wynika ze Światowego Indeksu Bezpieczeństwa Żywnościowego z 2016 r. Szacuje się, że już 64 proc. mężczyzn w naszym kraju ma nadmierną masę ciała (wskaźnik BMI powyżej 25). W przypadku kobiet odsetek ten sięga już 49 proc. Jeśli jednak spojrzymy na otyłość wśród dzieci i młodzieży, dane są równie zatrważające. Odsetek chłopców oraz dziewcząt z nadwagą i otyłością wynosi odpowiednio 21,9 proc. i 17,8 proc. („Lancet”, 2014). Choć z otyłością ko-



DOROTA ŁOSIEWICZ

jarzą nam się głównie młodzi Amerykanie, z lubością wpychający w siebie potworne ilości hamburgerów, to jednak polskie dzieci zaliczane są od kilku lat do najszybciej tyjących w Europie. Dane mówią same za siebie. Jeszcze w latach 70. XX w. nadmierną masę ciała notowano w Polsce u mniej niż 10 proc. uczniów, podczas gdy obecnie już co piąte dziecko w wieku szkolnym (ponad 22 proc.)

boryka się z nadwagą lub otyłością.

Międzynarodowa Federacja Diabetologiczna informuje, że Polska jest obecnie na czwartym miejscu wśród 10 krajów z największym na świecie występowaniem stanu przed-

cukrzycowego. Przewiduje się, że do 2035 r. Polska obejmie niechlubne prowadzenie w tej kategorii, wyprzedzając Kuwejt, Katar, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Malezję czy Hongkong. „W USA co 30 sekund pada nowa diagnoza cukrzycy, co oznacza blisko 2 mln osób diagnozowanych rocznie. Według szacunków Centers for Disease Control and Prevention do 2040 r. cukrzyca i jej powikłania będą główną przyczyną zgonów kobiet, a liczba kobiet zmagających się z cukrzycą wzrośnie o 40 proc. Według danych tej samej instytucji stan przedcukrzycowy dotyczy dziś w świecie 1/3 dorosłej, aktywnej zawodowo populacji. W Polsce liczba ta sięga prawdopodobnie aż 5 mln osób” – alarmuje Instytut Żywności i Żywienia.

– Polska zdecydowanie przesuwając się do ścisłej czołówki, już w zasadzie trzymamy w dłoni czarną koszulkę lidera otyłości w Europie – tłumaczy prof. dr hab. Mirosław Jarosz, dyrektor Instytutu Żywności i Żywienia. – Żyjemy w krytycznie ważnym okresie dla zdrowia polskiego społeczeństwa, a decyzje, które podejmiemy dziś, zaważą na długości życia oraz stanie zdrowia naszych dzieci i wnuków. Nie ma odwrotu od ostrej konfrontacji ze stylem życia, który nieodpowiednim żywieniem i brakiem aktywności fizycznej przyczynił się do tak dramatycznej otyłości polskich dzieci. I nie ma wytłumaczenia dla zaniedbań w tym obszarze. Instytut Żywności i Żywienia przypomina: czas dyskusji dawno już się skończył, czas przejść do totalnej ofensywy, bo inaczej dojdzie do zahamowania rozwoju cywilizacyjnego – dodaje Jarosz.

– Podtuczamy się w dużej mierze na własne życzenie, tak jak na własne życzenie szkodzimy sobie nadmiernym cukrem, solą i tłuszczem. Kupujemy i jemy z oczami szeroko zamkniętymi – mówi Marta Pawłowska, coach zdrowia rodziny.

Niestety wciąż zbyt rzadko patrzymy na to, co jemy. Polacy rzadko przestrzegają zasad żywienia. Jedzą zbyt dużo tłuszczów pochodzenia zwierzęcego (m.in. żywność typu fast food), cukrów prostych i soli, a zbyt mało warzyw i owoców oraz pełnoziarnistych produktów zbożowych. „Jednocześnie jako społeczeństwo Polacy zdecydowanie zbyt mało uprawiają aktywności fizycznej, co w istotnym stopniu przyczynia się do rozwoju nadmiernej masy ciała. Szacuje się, że zaledwie 30 proc. dzieci i młodzieży oraz 10 proc. dorosłych uprawia formy ruchu, których rodzaj i intensywność obciąża wysiłkowych zaspokajają potrzeby fizjologiczne organizmu. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy jest stale niska świadomość w zakresie potrzeb aktywności fizycznej” – alarmuje IŻŻ.

TU CHODZI O ZDROWIE

Jakby tego było mało, dyskonty kuszą wielkimi torbami batonów. Chyba jeszcze nigdy nie można było kupić słodczy tak tanio, w ilościach niemal hurtowych.

– Producenci oferują nam paczki chipsów wielkości dwuletniego dziecka, słodkie napoje gazowane rozmiarów biurowej gaśnicy, coraz większe porcje frytek w fast foodach. Stopniowo powiększają rozmiar tabliczek czekolady. Standardowe

100-gramowe odchodzą do lamusa, dzieci nie jedzą już czekolad na kostki, ale na paski. Czyli stopniowo kupujemy coraz większe opakowania – rodzinne, więcej za mniej, trzy w cenie dwóch – nie zdając sobie sprawy, że co prawda przelicznik ilości wydaje się ekonomicznie korzystny, lecz, po pierwsze, jemy więcej, a po drugie – przestajemy decydować o tym, co lubimy, bo kupujemy to, co się opłaca. W efekcie zdecydowana większość z nas je zbyt dużo, zbyt słono, zbyt słodko i zbyt tłusto. To droga do tycia i do chorób dietozależnych – konia trojańskiego naszej cywilizacji – tłumaczy Marta Pawłowska.

Jakie to choroby? Cukrzyca typu 2, choroby układu krążenia (udar mózgu, nadciśnienie tętnicze), nowotwory złośliwe (rak jelita grubego, sutka, gruczołu krokowego) czy kamica żółciowa. „Dalsza epidemia otyłości wśród polskich dzieci oznacza zatem dla tej populacji krótsze życie, liczne i poważne konsekwencje chorobowe, zmniejszenie potencjału edukacyjnego i emocjonalnego (problemy behawioralne, w tym depresja, zachowania agresywne, zaburzenia koncentracji uwagi), a także stygmatyzację społeczną. Dla państwa oznacza to kolejne wielomiliardowe i rosnące nakłady na leczenie oraz stopniowe zmniejszanie zdolności produkcyjnych społeczeństwa” – ostrzega IŻŻ.

– Po dynamicznym wzroście konsumpcji przekąsek w Polsce w ostatnich latach (głównie produktów słonych, słodkich i zawierających dużo tłuszczu) obecnie spożywa je już aż 99 proc. dzieci w wieku przedszkolnym! Tymczasem z badań niebicie wynika, że osoby spożywające kilka przekąsek w ciągu dnia mogą wraz z nimi zjeść ok. 1 000 kcal więcej niż osoby żywiące się w sposób tradycyjny. A to oznacza ponad ćwierć miliona zbędnych kcal na osobę rocznie. Jest to więc bardzo istotny czynnik ryzyka rozwoju nadwagi i otyłości. Dowiedzono też, że zmniejszenie liczby spożywanych posiłków do jednego – dwóch dziennie zwiększa wskaźnik masy ciała (BMI) u młodzieży do wartości 21,5. Spożywający pięć posiłków dziennie są znacznie szczuplejsi. Ich średni BMI wynosi 19 – wyjaśnia prof. Mirosław Jarosz.

– Jedząc posiłek czy przekąskę, powinniśmy się kierować porcjami, czyli określoną ilością produktu, właściwą dla osoby w danym wieku, o danej wadze czy ograniczeniach, odpowiednią w danej porze dnia. Jeśli nie wiemy, jakie porcje i czego powinniśmy jeść, warto się zaprzyjaźnić ze stroną internetową Narodowego Centrum Edukacji Żywieniowej. Tam znajdziemy wszystko, czego potrzebujemy, wraz z możliwością bezpłatnej porady on-line. Można tam zobaczyć, jak duże porcje powinny jeść ja czy powinny spożywać moje dzieci. Niestety dziś prawie zanikło pojęcie porcji, bo kupujemy i jemy na opakowania lub kilogramy – tłumaczy Pawłowska.

Eksperti podkreślają, że najbardziej wrażliwe na perspektywiczny rozwój otyłości, ale jednocześnie na skuteczność jej zahamowania, są osoby w wieku 7–13 lat. – U dzieci z nadwagą i otyłością, które schudły w wieku 7–13 lat, nie rośnie w dorosłości ryzyko cukrzycy typu 2, podczas gdy u osób, które były otyłe i schudły dopiero w wieku 13–18 lat, ryzyko cukrzycy jest ponadtrzykrotnie wyższe, a dodatkowo konsekwencje powikłań występują częściej i są znacznie poważniejsze. Dlatego Instytut Żywności i Żywienia poświęcił wiele starań w ostatnich latach na przeciwdziałanie rozwojowi oraz skutkom

otyłości właśnie w tej grupie dzieci i młodzieży. W realizowanym przez nas szwajcarsko-polskim projekcie edukacyjnym pod nazwą „Zachowaj równowagę” w ciągu zaledwie dwóch lat nie tylko zatrzymaliśmy trend wzrostowy epidemii otyłości w szkołach podstawowych i gimnazjalnych, lecz zainicjowaliśmy jego tendencję spadkową. To bardzo dużo! I możemy robić to nadal, bo mamy sprawdzone narzędzia, kadre i doświadczenie – tłumaczy prof. Mirosław Jarosz, dyrektor IŻŻ i kierownik projektu „Zachowaj równowagę”.

Najbardziej wrażliwe na perspektywiczny rozwój otyłości, ale jednocześnie na skuteczność jej zahamowania, są osoby w wieku 7–13 lat

CO JEŚĆ, BY NIE TYĆ?

Bardzo ciekawe i bardzo szczegółowe wytyczne dotyczące żywienia dzieci można znaleźć także na stronie Fitmisja.pl. Za portalem tym podam tu tylko kilka podstawowych zasad.

- Dzieci i młodzież powinny spożywać cztery–pięć posiłków dziennie (trzy podstawowe i jeden–dwa uzupełniające), a dieta powinna być przede wszystkim urozmaicona – tylko wtedy dziecko otrzyma wszystkie niezbędne składniki odżywcze.
- Do picia dziecko powinno dostawać wodę – nie powinno pić napojów słodzonych i gazowanych oraz zbyt dużej ilości soków owocowych (maksymalnie pół szklanki dziennie).
- Należy eliminować lub drastycznie ograniczać tzw. cukry dodane (czyli cukry stosowane w produkcji żywności i przygotowywaniu potraw), zaleca się natomiast podawać produkty, które są źródłem węglowodanów złożonych – pełnoziarniste pieczywo, niskoprzetworzone kasze, makaron i produkty z mąki z pełnego przemiału, produkty skrobiowe.
- Wędliny podajemy tylko najwyższej jakości, możliwie bez dodatków (azotyny, azotany) – idealnie byłoby zastąpić je całkowicie mięsem pieczonym w domu i krojonym na zimno w cienkie plastry.
- Pamiętajmy o warzywach i owocach, które dostarczają składników mineralnych i witamin oraz flawonoidów. Są głównym źródłem witamin antyoksydacyjnych (witamin C, E, karotenów), które mają działanie przeciwniażdżycowe i przeciwnowotworowe. Są też źródłem błonnika, który reguluje czynności przewodu pokarmowego.
- Do smażenia wybieramy oleje rafinowane, a jako dodatek do potraw – nierafinowane, tłoczone na zimno.

„W racjonalnym żywieniu dzieci z każdej grupy wiekowej ogromną rolę odgrywa picie dużej ilości płynów – dzieci i młodzież powinny wypijać ich codziennie ok. 2 l, a w przypadku dni z intensywniejszym wysiłkiem fizycznym (zajęcia WF-u czy inne zajęcia sportowe) – nawet więcej. Można pić wodę, niesłodzone herbatki owocowe, soki warzywne i owocowo-warzywne. Soki owocowe warto ograniczyć, nawet te świeżo wyciskane – zawierają dużo cukru. W porównaniu z całymi owocami są również ubogie w błonnik; soki kupne produkowane są z wysokoprzetworzonych surowców (koncentratów), często sztucznie barwione i aromatyzowane, przeważnie dosładzane” – przypomina Fitmisja.pl.

Na koniec jeszcze garść rad dla rodziców od ekspertów z Instytutu Żywności i Żywienia:

- Jesteś wzorcem dla swojego dziecka – nie tylko mów, co jest dobre dla jego zdrowia, lecz sam dawaj dobry przykład i stosuj zasady zdrowego żywienia, bądź aktywny fizycznie.
- Zadbaj o różnorodność spożywanych produktów.
- Zachęcaj dziecko do poznawania nowych smaków – monotonia nie sprzyja prawidłowemu żywieniu.
- Nie zniechęcaj się łatwo odmową jedzenia niektórych produktów przez dziecko. Bądź cierpliwy – niektóre dzieci, zanim przyzwyczają się do nowego smaku i go polubią, muszą mieć z nim kontakt nawet kilkanaście razy.
- Zorganizuj wspólne zakupy – warto jak najwięcej czasu spędzić w dziale ze świeżymi warzywami i pozwolić dziecku wybrać jego ulubione.
- W czasie zakupów możesz zaangażować dziecko w poszukiwanie produktów z oznaczeniami „o obniżonej zawartości soli” lub „bez dodatku soli” i wytłumaczyć mu, dlaczego jest to tak ważne.
- Gotuj razem z dzieckiem, zachęcaj je do wspólnego przygotowywania posiłków.
- Sól zamień na zioła. Zabierz solniczkę ze stołu i nie dosalaj przy dziecku swoich potraw.
- Razem z dzieckiem dobierajcie ulubione zioła i przyprawy. Każdy może doprawić swoje danie według własnego gustu i uznania – dziecku da to wiele satysfakcji i zachęci do poszukiwania nowych smaków.
- Dzieci także jedzą oczami – dbaj o estetykę podawanych posiłków.
- Nie nagradzaj dziecka słodyczami.
- Nie kupuj dużej ilości słodczy, słonych przekąsek, słodkich napojów – dostępność tych produktów w domu sprzyja ich spożywaniu.
- Do przegryzania zamiast słodczy, słonych przekąsek przygotuj dla siebie i dziecka kolorowy talerz warzyw i owoców – obranych, pokrojonych, gotowych od razu do spożycia.
- Zachęcaj dziecko do wspólnej aktywności fizycznej – nie siedź w fotelu, tylko idź z dzieckiem na spacer, wybierzcie się na wycieczkę rowerową.
- Rozmawiaj z dzieckiem o problemach wynikających z nieprawidłowego odżywiania i braku aktywności fizycznej – otaczający świat nie zawsze propaguje zdrowy styl życia.

Na podstawie: „Szkoła i przedszkole przyjazne żywieniu i aktywności fizycznej. Poradnik dla nauczycieli”, red. nauk. J. Charzewska, K. Wolnicka, IŻŻ, Warszawa, 2013

SIECI

Polacy, którzy zmienili świat

DODATEK EDUKACYJNY POŚWIĘCONY POLAKOM
- ODKRYWCOM, INNOWATOROM, WYNAŁAZCOM, Z KTÓRYCH MOŻEMY BYĆ DUMNI

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

odc. 4

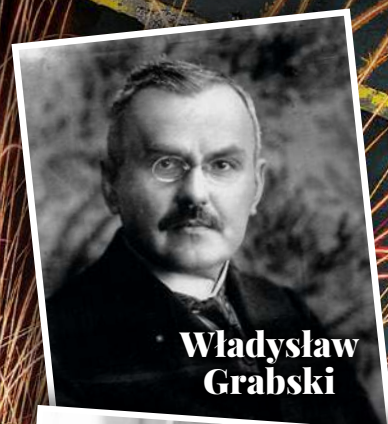
Gospodarcze gwiazdy II RP

fol. Shutterstock

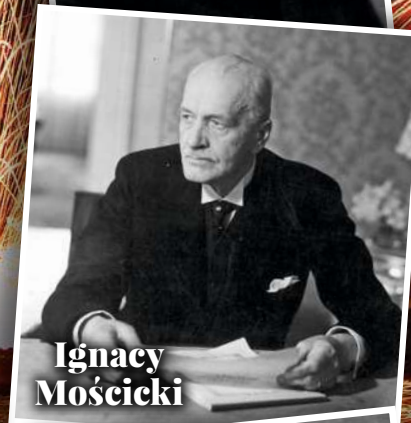
PARTNER DODATKU



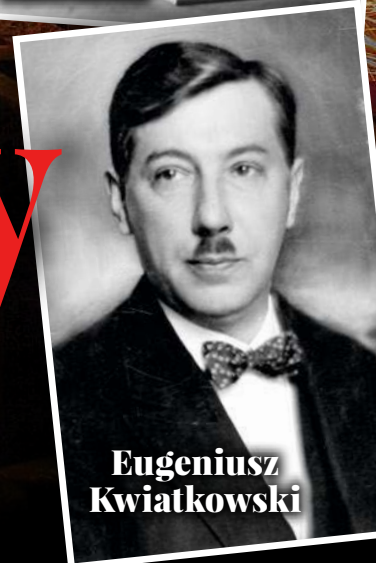
ORLEN



Władysław
Grabski



Ignacy
Mościcki



Eugeniusz
Kwiatkowski

Sklejanie Polski

11 listopada 1918 r. przyszły premier Jędrzej Moraczewski zanotował: „Niepodobna oddać tego upojenia, tego szalu radości, jaki ludność polską w tym momencie ogarnął.

Po 120 latach prysły kordony. Nie ma »ich«. Wolność! Niepodległość! Zjednoczenie! Własne państwo!

Na zawsze! Chaos? To nic. Będzie dobrze. Wszystko będzie, bo jesteśmy wolni od pijawek, złodziei, rabusiów, od czapki z bączkiem, będziemy sami sobą rządzić!”

Trudno się dziwić entuzjazmowi Moraczewskiego, ale równie trudno nie zauważyć, że nawet do tak euforycznej notatki wkraśniała się odrobina niepokoju. Wzmianka o chaosie nie jest tu w żadnym razie przypadkowa. 11 listopada 1918 r. Polska okazała się co prawda wolna, ale o zjednoczeniu trudno było mówić nawet w perspektywie kilku najbliższych lat. Nie było jednej Polski. Były trzy terytoria różniące się od siebie niemal wszystkim. W każdym z nich przez dziesięciolecie obowiązywały różne prawa, różnice obyczajowe kształtowały odmienną mentalność, a wykształcenie pobierane przez jednych w Berlinie, przez innych w Petersburgu tylko te podziały pogłębiało. Nie wspominając nawet o pozornie tak drobnych różnicach jak język, w którym w jednych częściach kraju roiło się od rusycyzmów, w innych od germanizmów. Bywało, że dwaj Polacy z różnych stron mogli się nie zrozumieć na poziomie idiomów czy poczucia humoru.

W żadnej chyba jednak dziedzinie życia różnice nie były tak wyraźne jak w gospodarce. Rzadko się także pamięta, że w czasie I wojny światowej Polska była jedną z linii frontu. Szacuje się, że na 90 proc. terytorium toczyły się działania wojenne, na 25 proc. trwały długotrwałe walki pozycyjne. Rosjanie praktykowali wywożenie w głąb swojego terytorium całych fabryk wraz z załogami, a wszystkie armie planowo niszczyły infrastrukturę transportową – w 1918 r. było jej 70 proc. mniej niż przed wojną. Nie do wyliczenia są straty w uprawach i zwierzętach hodowlanych.

Wszystko zostało zjedzone przez walczące armie. Nawet żubry zostały zastrzelone przez wycofujących się z Puszczy Białowieskiej Niemców.

W momencie wyzwolenia ziemie polskie były ruiną, co gorsza – ruiną wciąż na swój sposób uzależnioną od państw zaborczych. Kopalnie Śląska miały przetarte szlaki handlowe do Niemiec, fabryki włókiennicze Królestwa do Rosji i dalej do Azji, a galicyjskie rafinerie – w głąb monarchii austro-węgierskiej. Rolnikowi spod Płocka bliżej było do odległego 500 km Berlina niż do leżącej coś koło setki na wschód Warszawy. I nikt nie umiał sobie wyobrazić, że można inaczej. Dopiero po wyzwoleniu trzeba było stworzyć rynki wewnętrzne i nauczyć się wykorzystywać własne zasoby na potrzeby kraju.

Moraczewski był mądrym człowiekiem i zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę. Także z tego, że w odróżnieniu od większości równie zdewastowanych przez wojnę państw Polska wojny wcale nie skończyła – niejasna kwestia grani-

cy zachodniej, walki z bolszewikami na wschodzie... Naszej gospodarki nie dało się od razu przestawić na tory pokojowe. Kryzys globalny w polskiej mikroskali zapowiadał się na kataklizm. To, że ostatecznie nim się nie stał, a międzywojenna Polska, choć biedna i głodna jak mysz kościelna, potrafiła osiągać na polu gospodarczym sukcesy wręcz spektakularne, było zasługą jednostek wybitnych. Takich jak Władysław Grabski, Eugeniusz Kwiatkowski czy Ignacy Mościcki. Zimnokrwisty pragmatyk, targany obsesjami wizjoner i całkowicie odrealniony geniusz elektrofizyki potrafił jakoś posklejać Polskę na nowo.



Wojciech Lada

Sprostowanie

W poprzednim odcinku cyklu „Polacy, którzy zmienili świat” pojawiła się błędna nazwa lwowskiej kawiarni, w której Stefan Banach, Stanisław Ulam i kilku innych geniuszy, obficie racząc się koniakiem i wypalając setki papierosów, rozwiązywało największe zagadki matematyki. Kawiarnia ta nazywała się oczywiście Szkocka, nie zaś Szwajcarska. Jedynym wy tłumaczeniem tej pomyłki jest niedawna lektura „Złego” Leopolda Tyrmanda, gdzie – w kawiarni Szwajcarskiej właśnie

– klienci robili mniej więcej to samo, choć przeważnie stronili od matematyki i niekoniecznie pili koniak.

Za nieuwagę serdecznie przepraszam.

Wojciech Lada



Ignacy
Mościcki

Chemiczny prezydent

Aby walczyć z caratem, konstruował bomby, aby przeżyć – usiłował produkować kefir, a jako wynalazca wymyślił m.in. kondensatory wysokiego napięcia. Ignacy Mościcki miał bogaty życiorys, ale zapamiętany został przede wszystkim jako prezydent II RP, a także współtwórca polskiego przemysłu chemicznego

WOJCIECH LADA

22

lutego 1892 r. Ignacy Mościcki wziął ślub, a zaraz potem postanowił się zabić.

Nie z powodu ślubu co prawda, ale istotnie podjął decyzję, że wysadzi się w powietrze za pomocą nitrogliceryny. Młoda małżonka nie tylko w pełni akceptowała decyzję męża, lecz konsekwentnie pomagała mu w jej realizacji. Kiedy w ramach miesiąca miodowego młoda para udała się do Rygi – gdzie Ignacy studiował chemię – aby w tamtejszej pracowni wyprodukować materiał wybuchowy, żona pomagała mu w pracy laboratoryjnej i osobiście transportowała składniki. „Po wytworzeniu dostatecznej ilości i zabezpieczeniu od możliwości przypadkowego wybuchu, złożyłem cały fabrykat do ręcznego koszyczka małżonki, w którym miała go zanieść do mieszkania mojego kolegi. Zaraz jednak po wyjściu z domu zauważyła, że jest śledzona przez jakiegoś osobnika. Wstąpiła do sklepu i wyszła dopiero po dłuższym czasie, mając możliwość już bez przeszkody zanieść cenną zawartość koszyczka do miejsca przeznaczenia” – wspominał po latach.

Dlaczego jednak 25-letni, młody małżonek postanowił zginąć? Otóż zgodnie z popularnymi na przełomie XIX i XX w. w kręgach antycarskiej konspiracji metodami chciał dokonać zamachu bombowego na rosyjskiego gubernatora Józefa Hurkę. „Postanowiliśmy wtargnąć w mundurach oficerskich do soboru, gdzie gromadziły się najwyższe sfery naszych siepaczy, i salwą bomb ich powitać, ginąc razem z nimi. Po wydaniu w ten sposób na samych siebie wyroku, nie interesowaliśmy się już niczym innym poza pracą przygotowawczą do zamachu, wszystkie rozmowy koncentrowały się na tym przedmiocie” – tłumaczył.

Do zamachu ostatecznie nie doszło. Państwo Mościccy, ostrzeżeni przed nalożeniem rozpracowującej ich policji, niemal bez grosza przy duszy uciekli do Londynu, spędzić tam kilka najchudszych lat w swoim życiu. Ich kolega, niejaki Zieliński, istotnie zjawił się w soborze przy ul. Długiej w Warszawie, z bombą pod płaszczem. Bomba jednak nie wybuchła, a niedoszły zamachowiec, osaczony przez

Wizyta prezydenta RP Ignacego Mościckiego na terenie budowy zapory wodnej w Rożnowie



policję, przegryzł ampułkę z cyjankiem. Sprawa zrobiła się głośna, a śledztwo ujawniło powiązania z Mościckim. Tak więc granice Polski były dla przyszłego jej prezydenta na razie zamknięte.

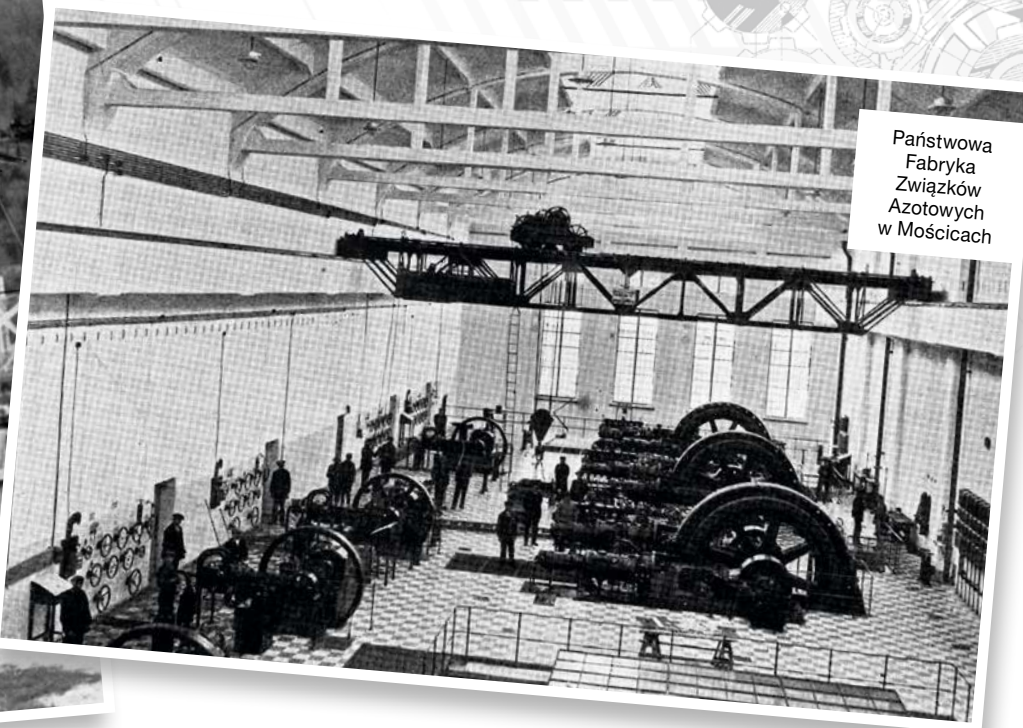
OD UŁA DO CHEMII

Mościcki urodził się w 1867 r. w Mierzanowie, niedaleko Płocka, ale zanim skończył 10 lat, jego rodzina zmieniała miejsce zamieszkania parokrotnie. Jak każdy z jego pokolenia bardzo wcześnie zetknął się z kwestią niepodległości – ojciec walczył w powstaniu, a gdy po kilkuletniej emigracji wrócił do kraju, był nieustannie pod lupą rosyjskiej policji. Najprawdopodobniej chciał, by Ignacy poszedł w jego ślady. W jego wychowaniu wyraźnie stawiano na cechy męskie, szlacheckie, wojskowe. „Wyjątkowej rozwadze mojej zawdzięczałem zapewne, że pomimo moich dziewięciu lat wieku, nie zabraniali mi rodzice uganiać się samemu po polach z dubeltówką” – wspominał. Ale ta samodzielność miała dwa ostrza. Na drugim końcu jego osobowości zawsze było duże poczucie niezależności, które sprawiało m.in. że miewał spore problemy w późniejszej edukacji – choć nie z powodu kłopotów z nauką, lecz z posłuszeństwem wobec nauczycieli, zwłaszcza rosyjskich. Gimnazjum w Za-

mościu nie skończył – bo sam podjął taką decyzję. Udało mu się natomiast przejść przez sześć lat warszawskiej średniej szkoły realnej, pomimo że uczył się wybiórco i świadomie unikał nauki przedmiotów humanistycznych. „Wytworzyło to pewne braki w moim późniejszym życiu; miałem duże trudności w szukaniu formy wyrażania swych myśli w słowie i piśmie” – przyznawał. Ale owe braki rekompensował talent do nauk ścisłych.

Im bardziej Mościcki dorastał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że tak naprawdę tym, co chciałby w życiu robić, jest pszczelarstwo. Miał z nim kontakt od dziecka, znał się na nim i lubił je. Wizja, by osiąść w jakimś wiejskim majątku i hodować pszczoły, a przy okazji nieść kaganek oświaty wiejskiej ludności – jak nakazywał ówczesny kanon (Mościcki był oczywiście pozytywistą) – wydawała mu się niezwykle kusząca. I kto wie, czy tak właśnie nie zakończyłyby się życiowe przygody przyszłego prezydenta, gdyby nie przypadek.

Jego biograf Halina Lichocka opowiadała o tym następująco: „Ta sielska wizja spodobała mu się bardzo i byłby ją pewnie próbował realizować, gdyby nie drobny przypadek, który do jego planów wprowadził korektę. Tym przypadkiem była broszurka, jaka pewnego dnia wpadła mu w ręce. Zawierała ona opis przeróbki drewna metodą suchej destylacji. Lasów w dobrach Skierbieszowskich było



Państwowa
Fabryka
Związków
Azotowych
w Mościcach

dość. W jednej chwili zaczął snuć plany całkiem odmienne, znacznie bardziej oryginalne. Oczami wyobraźni widział, jak buduje zakład produkujący węgiel i ocet drzewny, dziegieć, smołę i inne materiały, wykorzystywane następnie jako surowce chemiczne w dalszych procesach. Jakich? Tego właśnie warto było się dowiedzieć i podobnymi zagadnieniami zająć w przyszłości, dla pożytku większego niż tradycyjne rolnictwo". I tak Ignacy Mościcki postanowił zostać chemikiem, w którym to celu podjął stosowne studia na Politechnice Ryskiej. Ten właśnie krok doprowadzi go wkrótce do stworzenia bomby i podjęcia próby zamachu na Josifa Hurkę, w przyszłości jednak przyniesie wszystkim więcej pożytku.

FRYZJER, STOLARZ, MLECZARZ

Po nieudanym zamachu państwo Mościccy osiedli w Londynie, gdzie zasadniczo wegetowali w okropnej biedzie. Ignacy wykazywał się co prawda niepospolitą energią w poszukiwaniu pracy, ale nieznaną języka okazywała się zazwyczaj przeszkodą nie do pokonania. Podobnie jak zupełny brak zdolności manualnych. Tak więc próbował swoich sił, zatrudniając się w zakładzie produkującym ozdoby drewniane. „Talenty moje w tej dziedzinie nie były zadowalające, albowiem wykonywałem pracę zbyt powolnie i nie było nadziei, żeby w tym kierunku nastąpiła poprawa na lepsze” – przyznawał. Następną profesją, w któ-

rej próbował sił, było fryzjerstwo. „Po upływie pewnego czasu w mojej praktyce fryzjerskiej nastąpiło i tym razem rozczarowanie. Z tych samych powodów co w rzeźbiarstwie, fach fryzjerski był dla mnie niedostępny” – dodawał. W tym jednak przypadku miał sporo szczęścia. Właściciel zakładu tak bardzo zżył się z młodą parą Mościckich, że kiedy postanowił wyemigrować do USA, sprzedał Ignacemu zakład za symboliczną kwotę 40 funtów, którą niedoszły zamachowiec otrzymał listownie od mamy.

Zysk z zakładu dawał podstawę utrzymania, ale nic więcej. Mościcki szukał więc dalej. Wpadł mianowicie na pomysł produkcji kefiru, na który – choć podob-

no całkiem niezły – nie znajdował nabywców. „Na podstawie skromnych ogłoszeń otrzymywałem zamówienia, ale tylko od ludności żydowskiej. Starsi Żydzi, kupujący u mnie kefir, znali go przeważnie jeszcze z Rosji. Natomiast Anglicy preparatu nie kupowali. Mie-li zakorzenione uprzedzenie do mleka, które uległo już fermentacji, a skromna moja reklama nie budziła zaufania co do wartości fabrykatu. Społeczeństwo angielskie mierzyło wartość towaru kosztownością jego reklamy” – w ten sposób odkrył Mościcki do dziś obowiązujące prawa rynku. Później był jeszcze zecerem i stolarzem. Ten ostatni fach nawet mu pasował, bo – jak wspominał – siła fizyczna wyrównywała brak wprawy fachowej.

Ważniejsza dla jego dalszych losów okazała się jednak zecerka. Mościcki pracował w drukarni „Przedświtu” – socjalistycznego periodyku związanego z działalnością Polskiej Partii Socjalistycznej, skupiającego środowisko jej działaczy. I to właśnie dzięki temu poznał tu Józefa Piłsudskiego. „Od pierwszego spotkania z Piłsudskim utrzymywaliśmy między sobą dość żywy i częsty kontakt” – pisał i raczej nie przesadzał, skoro skądinąd wiadomo, że ten ostatni na poważnie rozważał zatrudnienie Mościckiego w drukarni swojego konspiracyjnego organu „Robotnik”. Bez tej znajomości jego dalsze życie wyglądałoby zapewne zupełnie inaczej – z pewnością nie zostałyby w każdym razie prezydentem. Bo chemikiem, i to chemikiem wybitnym, zostałyby tak czy inaczej. Dwa lata po wyjeździe Piłsudskiego z Londynu Mościcki dostał dwie propozycje pracy w wyuczonym zawodzie. Pierwsza – asystentura na katedrze chemii fizycznej na uniwersytecie w belgijskim Liège, druga zaś – na analogicznym stanowisku, na katedrze fizyki w szwajcarskim Fryburgu. Obie propozycje były załatwione po znajomości przez dawnych kolegów. Ale wszystko było lepsze niż Londyn. Wybrał Fryburg.

Z WŁAŚCIWĄ MOTYKĄ NA SŁOŃCE

Po pięciu rzemieślniczo-robotniczych latach w Londynie Mościcki był głodny wiedzy. Oprócz rentownej asystentury natychmiast podjął studia na wydziale matematyczno-fizycznym i realizował je z karłowatym zapalem. „Szesnastogodzinny

„

„Postanowiliśmy wtargnąć w mundurach oficerskich do soboru, gdzie gromadziły się najwyższe sfery naszych siepaczy, i salwą bomb ich powitać, ginąc razem z nimi. Po wydaniu w ten sposób na samych siebie wyroku, nie interesowaliśmy się już niczym innym poza pracą przygotowawczą do zamachu, wszystkie rozmowy koncentrowały się na tym przedmiocie” – tłumaczył Ignacy Mościcki we wspomnieniach

dzień pracy nie był rzadkością” – wspominał. Ukończył je więc bez poważniejszych problemów – doskonale radził sobie także jako asystent prof. Wierusz-Kowalskiego, którego wykłady ilustrował efektownymi eksperymentami. Ale pochłaniało go też coś innego. Po serii eksperymentów udało mu się opracować nową i tanią metodę otrzymywania bardzo cennego w przemyśle zbrojeniowym, ale i w farmaceutyce oraz przemyśle chemicznym, surowca – kwasu azotowego. Kiedy przedstawił wyniki swoich badań, grupa naukowców z uniwersytetu, z prof. Wierusz-Kowalskim na czele, natychmiast założyła spółkę Towarzystwo Kwasu Azotowego we Fryburgu. Miała finansować dalsze badania Mościckiego, który otrzymał posadę dyrektora technicznego, a w przyszłości miał się zająć rynkową dystrybucją produktu.

„Pracowałem bez wytchnienia. Całe dnie eksperymentowałem, a po nocach przygotowywałem teoretyczne podstawy do dalszych badań. Przy każdej trudności czy też niepowodzeniu męczyła mnie troska, czy czasem nie porwałem się z motyką na słońce” – wspominał po latach. Wkrótce okazało się, że istotnie – porwał się. W tym jednak momencie ujawnił się jego elektrotechniczny geniusz – potrafił w każdej chwili dostosować ową motykę do swoich potrzeb. Do

Będąc już finansowo bezpieczny, niewiele myślał o pieniądzach. Kiedy dostał propozycję przyjazdu do Lwowa i otwarcia na tamtejszej politechnice katedry elektrochemii oraz chemii fizycznej, zgodził się natychmiast, za czterokrotnie niższe wynagrodzenie

wytworzenia kwasu azotowego, jak się okazało, potrzebne były odpowiednie kondensatory, których jednak nikt dotąd nie wymyślił. Zrobił to więc Mościcki, a patent na nie okazał się wart milion franków. Obrotni naukowcy wkrótce zwielokrotnili tę kwotę, otwierając we Fryburgu... fabrykę kondensatorów. Pierwszą w Europie i istniejącą do dziś. Warto dodać, że Mościcki wymyślił przy okazji tzw. baterie kondensatorów szklanych, które natychmiast znalazły zastosowanie w łączności radiowej i zostały wykorzystane przez armię szwajcarską, a zainstalowane w radiostacji na wieży Eiffla służyły tam przed wojną światową i w jej trakcie.

Co ciekawe, wszystkie te sukcesy Mościcki osiągał niejako na marginesie tworzenia kwasu azotowego.

Kiedy wszystkie problemy techniczne zostały rozwiązane, a w miejscowości Chippis stanęła fabryka – w 1910 r. Mościcki wyprodukował pierwszą cysternę własnego kwasu. Był już w tym momencie człowiekiem sławnym i zamożnym, ale chyba nie myślał o sobie w kategoriach sukcesu. Jedyne, co za taki uważał, to pogłębianie wiedzy.

„Bilans mój pobytu w Szwajcarii uważam za bardzo dodatni. Przez pierwsze lata asystentury rozszerzyłem bardzo swój wachlarz naukowy. Oprócz nabytej już uprzednio wiedzy chemicznej przybyło mi wykształcenie fizyczne i elektrotechniczne, a wiadomości z elektrofizyki szczególnie pogłębiłem. Był to dla mnie nie tylko najwięcej ulubiony dział nauki, ale też w ciągu swojej piętnastoletniej pracy najwięcej miałem z nim do czynienia. Wykonanie największych prac twórczych, o których wspominałem, a także innych mniejszej doniosłości, z przechodzeniem wszystkich faz, aż do ich realizacji, rozszerzyło znacznie moje doświadczenie technologiczne” – pisał, podsumowując ten okres swojego życia. Będąc już finansowo bezpieczny, niewiele myślał o pieniądzach. Kiedy dostał propozycję przyjazdu do Lwowa i otwarcia na tamtejszej politechnice katedry elektrochemii i chemii fizycznej – zgodził się natychmiast, za czterokrotnie mniejsze wynagrodzenie.

PREZYDENT Z WOLI ŻONY

31 maja 1926 r. Józef Piłsudski został wybrany na prezydenta Polski. Ale nominacji nie przyjął, nie była mu do niczego potrzebna. Ponieważ Polska prezydenta musiała jednak mieć, a z pewnością nie mógł zostać nim nikt, kto stałby do Piłsudskiego w opozycji – wybór padł na Ignacego Mościckiego. Wieczorem odebrał telefon od swojego przyjaciela ze Lwowa, wybitnego matematyka, ale w tym akurat momencie premiera RP – prof. Kazimierza Bartla. Jak wspominał: „Nocy tej oczu nie zmrzyłem, zestawiając swój bilans życiowy. Podobny rachunek sumienia robi się chyba tylko przed śmiercią. Czułem, że zakreślona konstytucją marcową rola prezydenta nie zdoła mi dać żadnego zadowolenia. Uważałem się przy tym



Wizyta prezydenta RP Ignacego Mościckiego w Centralnym Okręgu Przemysłowym

Otwarcie
Państwowej
Fabryki Związków
Azotowych
w Mościcach



Mościcki zaś prezydentem po prostu był.

W tym czasie jednak jego osiągnięcia żyły swoim życiem i wciąż miały wpływ na Polskę. Jeszcze jako profesor Politechniki Lwowskiej zabiegał o rozbudowę polskiego przemysłu chemicznego, a przede wszystkim oparcia go na polskich surowcach – w tym właśnie kierunku szła polityka gospodarcza przedwojennej Polski. Do bardziej namacalnych efektów jego działań należy stworzenie Państwowych Zakładów Związków Azotowych w Tarnowie – potężnej fabryki z ponad 50 budynkami (miej-

sce to później nazwano na jego cześć Mościcami). Wcześniej z jego inicjatywy powstał Chemiczny Instytut Badawczy – instytucja, w której dorobku znajduje się ponad 2 tys. patentów – zarówno krajowych, jak i zagranicznych. Jeśli chodzi o to ostatnie, sam Ignacy Mościcki pozostawił po sobie 40 oryginalnych patentów, które przekazał bezpłatnie Polsce.

Zmarł 2 października 1946 r. w Versoix k. Genewy.

za najmniej powołanego do zajmowania stanowiska związanego głównie z reprezentacją. Ja, którego życie całe było pełne wydarzeń i niezwykle czynne, który od blisko 30 lat z wielką energią i dużym powodzeniem oddawałem się pracy naukowo-twórczej, miałem nagle z tym wszystkim zerwać. Nazajutrz rano po koszmarnej nocy, opanowałem się zupełnie; byłem przygotowany na wszystko, a przyjęcie wyboru w tych warunkach uważałem za obowiązek wobec narodu. Wiedziałem, że nie tylko nie będę przeszkadzał w pracy Piłsudskiemu, ale przeciwnie, będę mu pomocny”.

Tak zapisał Mościcki w swojej oficjalnej autobiografii i najważniejsze fakty się zgadzają. Istotnie, następnego dnia po telefonie Mościcki zgodził się zostać prezydentem, faktycznie też – jego rola sprowadzała się głównie do obowiązków reprezentacyjnych. Gdzieś pomiędzy telefonem od Bartla a następnym porankiem wydarzyło się coś jeszcze, co znacząco

wpłynęło na decyzję Mościckiego. Otóż, jak wspominał Bartel, a cytował go Felicjan Sławoj-Składkowski, Mościcki początkowo odmówił przyjęcia funkcji głowy państwa, a uległ dopiero po rozmowie telefonicznej z żoną, Michaliną Mościcką, do której – z prośbą o interwencję – Bartel również zadzwonił.

Pewności, że było tak istotnie, nie mamy, ale nie jest to nieprawdopodobne. Podczas gdy Ignacy pochłonięty był wynalazkami i rozkręcaniem produkcji azotu oraz kondensatorów, Michalina bardzo intensywnie zajmowała się działalnością społeczną. Była na tym polu niezwykle aktywna. Skupiała się na walce o prawa kobiet, ale też prowadziła dom, wokół którego krążyli nieustannie najwybitniejsi działacze niepodległościowi. Z tej strony z pewnością znał ją również Józef Piłsudski i dlatego warta rozważenia jest sugestia historyka Kamila Janickiego, że w gruncie rzeczy Marszałek wybrał nie tyle prezydenta, ile pierwszą damę. O ile Mościcki, jak sam przyznawał, nie miał do tej roli żadnego przygotowania – był geniuszem elektro-chemicznym, ale nie mężem stanu – o tyle Michalina przeciwnie, reprezentowała ideał prezydenckiej małżonki. I jeśli tak było, Piłsudski się nie pomylił. To właśnie Michalina do końca życia ogniskowała wokół siebie ogólnopolską działalność dobroczynną, prospołeczną i prokobietą – pod każdym zresztą względem, również przysposobienia wojskowego kobiet.

”

Mościcki początkowo odmówił przyjęcia funkcji głowy państwa, a uległ dopiero po rozmowie telefonicznej z żoną, Michaliną Mościcką, do której – z prośbą o interwencję – premier Kazimierz Bartel również zadzwonił. Pewności, że było tak istotnie, nie mamy, ale nie jest to nieprawdopodobne

Zakłady Azotowe
w Mościcach



Złoty premier

Gdyby nie Władysław Grabski, jakieś trzy lata po odzyskaniu niepodległości Polska znów stałaby się podległa. Tyle że gospodarczo. W najtrudniejszym momencie ustabilizował walutę i wprowadził reformy, które zahamowały ekonomiczny krach młodego państwa

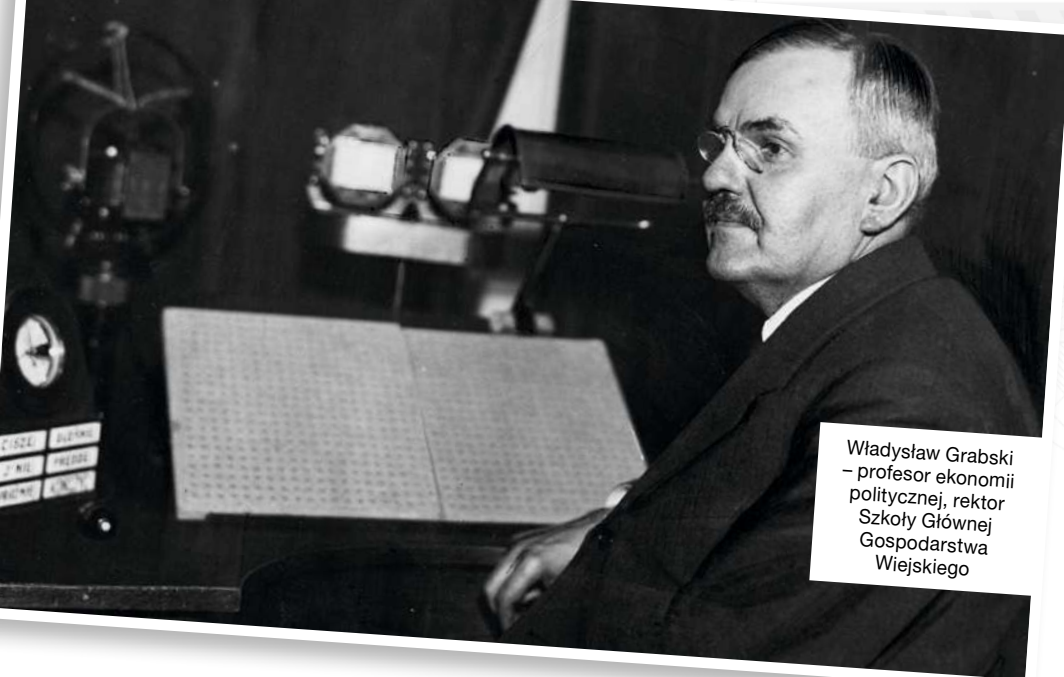
WOJCIECH LADA

Był prawdopodobnie najwybitniejszym polskim umysłem ekonomicznym okresu międzywojennego, ale też niespotykane zdolnym graczem politycznym. W połączeniu z brakiem empatii i czystej krwi pragmatyzmem dało to razem osobowość, która nie tylko potrafiła znaleźć sposób na postawienie na nogi takiej ruiny, jaką była polska gospodarka okresu międzywojennego, lecz również dokonać cudu i wcielić go w życie.

EWOLUCJA CHŁOPSKA

Cechy charakteru przejął zapewne wraz z genami, ale do ekonomii miał solidne przygotowanie. Studiował w École des Sciences Politiques w Paryżu, jednocześnie uzupełniał wiedzę na Sorbonie, gdzie uczył się dodatkowo historii gospodarczej. Już wówczas w centrum jego zainteresowania była kwestia wsi. Wychodząc z pozornie oczywistego założenia, że 70 proc. ludności Polski mieszka na wsi, stwierdzał, że to właśnie od poprawy warunków życia tej grupy będzie zależała kondycja całego kraju, i to pod względem zarówno ekonomicznym, jak i społecznym. Nawiasem mówiąc, to samo spostrzeżenie

Władysław Grabski



Władysław Grabski
– profesor ekonomii
politycznej, rektor
Szkoły Głównej
Gospodarstwa
Wiejskiego

sprawiło, że zniechęcił się do socjalizmu, który był mu bliski, jak niemal wszystkim w jego pokoleniu, w latach studenckich. Zamiast rewolucji robotniczej zdecydowanie preferował ewolucję chłopską. Jeszcze pod koniec XIX w. publikował na ten temat obszerne eseje naukowe, ale też wcielał ich tezy w życie – przede wszystkim gospodarując w swoim majątku, ale też zakładając np. eksperymentalne fabryki spółdzielcze, a ponadto finansując nielegalne wówczas szkoły włościańskie.

Pragmatyzm zbliżył go do Ligi Narodowej, choć nigdy nie był jej aktywnym działaczem jak brat – Stanisław. Tak jak nie był socjalistą, tak nie był też narodowcem, jednak w zbliżeniu z Rosją, w autonomicznym funkcjonowaniu w ramach imperium, widział najrozsądniejszą drogę do wzbogacenia się ziem polskich, a następnie do kulturowej emancypacji. Tymi sprawami zajmował się także głównie podczas trzech kadencji, jakie spędził jako poseł do Dumy z ramienia Ligi Narodowej – również jako jej reprezentant znalazł się w 1914 r. w prorosyjskim Komitecie Narodowym Polskim, a po wybuchu rewolucji lutowej – w Komisji Likwidacyjnej do spraw Królestwa Polskiego. Był też członkiem polskiej delegacji na kończącą I wojnę światową konferencję pokojową w Paryżu. Najważniejszych rzeczy dokonał już jednak w wolnej Polsce.

STWORZENIE ZŁOTEGO

13 stycznia 1923 r. został ministrem skarbu w rządzie Władysława Sikorskiego. Rzecz ciekawa, że jego wyboru dokonano podczas spotkania wszystkich wcześniejszych ministrów skarbu, którzy właśnie Grabskiego wskazali jako osobę

najodpowiedniejszą do przeprowadzenia gruntownej reformy finansów państwa. Nowy minister miał gotowy plan. Obejmował on przede wszystkim skuteczne i bezwzględne ściąganie podatków – w czasach galopującej inflacji opłacało się zwlekać z ich płaceniem. Oprócz tego drastycznie ograniczył wydatki administracji, a przede wszystkim przestał pokrywać dziury budżetowe przedsiębiorstw państwowych, dążąc do ich samowystarczalności. Zważszcza to ostatnie okazało się błyskawicznym sukcesem. Na przykład koleje w ciągu jednego roku nie tylko same załatały swoje dziury budżetowe, lecz także znaczną nadwyżkę finansową przekazały do skarbu państwa.

Po upadku rządu Sikorskiego Grabski zachował wprawdzie tę funkcję ministra, ale współpraca z nowym premierem Wincentym Witosem nie układała się dobrze. Dopiero kiedy pod koniec 1923 r. prezydent Wojciechowski powołał Grabskiego na premiera, sprawy reformy ruszyły w należyty tempie. Należyty, czyli zawrotny. Już w drugim kwartale 1924 r. osiągnięto równowagę budżetową, a przeprowadzona w ciągu kilku następnych miesięcy reforma walutowa ustabilizowała pozycję nowej waluty – złotego – na poziomie

5,18 w stosunku do dolara, podczas gdy we wcześniejszych polskich markach za jednego dolara płacono ich 9 300 tysięcy. Co jeszcze ważniejsze – wbrew normalnym regułom rynkowym reforma ta nie wywołała ani bezrobocia, ani drożyzny. Przeciwnie: i ceny, i zatrudnienie ustabilizowały się wraz z nową walutą. Przynajmniej na pewien czas.

POWRÓT NA WIEŚ

Rząd Grabskiego był rządem ratunkowym – pozaparlamentarnym ciałem fachowców zebranych w konkretnym celu. Po przeprowadzeniu reform stawał się coraz bardziej niewygodny, a rozgrywki polityczne coraz wyraźniej ograniczały jego rolę. Nie bez znaczenia była tu kwestia pieniędzy administracji państwowej, których oszczędności Grabski pilnował, co owej administracji niekoniecznie się podobało.

Po zamachu majowym, w 1926 r., premier złożył rezygnację z funkcji i choć chciano mu zaproponować ponownie tę funkcję ministra finansów, nie przyjął jej. Od tego momentu do końca życia poświęcał się pracy naukowej – zarówno w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, z którą był mocno związany (na tamtejszym wydziale leśnym stworzył katedrę polityki ekonomicznej), jak i poza nią, publikując setki rozpraw, głównie dotyczących ekonomii wsi. Zmarł w 1938 r.

Źródło: NAC (3)



Przemówienie
ministra skarbu
Władysława
Grabskiego

Jak Polska wróciła nad morze

Ignacy Mościcki nie miał może drygu do polityki, ale miał intuicję do ludzi. To dzięki niemu w przestrzeni gospodarczej Polski międzywojennej błysnął m.in. Eugeniusz Kwiatkowski – człowiek, który stworzył Gdynię i miał decydujący wpływ na powstanie Centralnego Okręgu Przemysłowego

WOJCIECH LADA

Krytyczny i dynamiczny – te dwa słowa oddają niemal całą osobowość Kwiatkowskiego. Niemal, bo gdzieś między nimi zawierał się też olbrzymi talent ekonomiczny parokrotnego ministra skarbu II RP.

Urodził się w 1888 r. i od wczesnych lat szkolnych wykazywał szczególne zdolności do nauk ścisłych, przy jednoczesnej, nieskrywanej niechęci do przedmiotów humanistycznych. Od dziecka miał charakter – nie też dziwnego, że nauka gimnazjalna szła mu przeciętnie i skrzydła rozwinął dopiero na wydziale chemicznym Politechniki Lwowskiej. Był studentem wyróżniającym się, ale to nie zmieniło jego charakteru – od pierwszego roku angażował się w konspiracyjne orga-

**Powrót ministra
przemysłu
i handlu
Eugeniusza
Kwiatkowskiego
z oficjalnej wizyty
z Belgii**





Marszałek Józef Piłsudski
m.in. z ministrem
Eugeniuszem Kwiatkowskim
na placu Wolności

nizacje niepodległościowe, co sprawiło, że bywał krok od zsyłki na Sybir. Krewki temperament syna powściągnęła matka, która wysłała go na kolejne studia do Monachium – jak najdalej od ogniska spisków. Sukces matki był jednak połowiczny. W Niemczech Kwiatkowski wyraźnie się podszkolił i nie tylko lepiej poznał chemię, lecz również meandry ekonomii i funkcjonowania nowoczesnej gospodarki. Kiedy w 1913 r. powrócił do Lwowa, nic już nie powstrzymało go przed działalnością polityczną.

Przeszedł klasyczną drogę piłsudczyka – był członkiem Polskich Drużyn Strzeleckich, Polskiej Organizacji Wojskowej, a potem walczył w Legionach. Także w wojnie polsko-bolszewickiej, ale tu już zgodnie z wykształceniem, w sekcji chemicznej Głównego Urzędu Zaopatrzenia Armii.

PRZEMYSŁ W WALCE Z BIEDĄ

Po wojnie por. Kwiatkowski opuścił armię i został dyrektorem technicznym w Państwowej Fabryce Związków Azotowych w Chorzowie – tej samej, której twórcą i dyrektorem był wówczas Ignacy Mościcki. Tu pierwszy raz błysnął jako menedżer – nie tylko rozwinął produkcję i udoskonalili technologię, lecz również okazał się nadzwyczaj sprawnym organizatorem. Nic też dziwnego, że po przewrocie majowym, kiedy prezydentem został Mościcki, a premierem Kazimierz Bartel,

Kwiatkowski został przez nich wciągnięty w świat dużej polityki. Był bezkompromisowy w ocenie dotychczasowego rozwoju oraz pogrążonej w kryzysie i wciąż nie do końca ujednoliconej po zaborach Polski. Ostro mówił o biedzie na wsi i dzieleniu zapalki na czworo – co dziś jest przysłowiem, wówczas zaś było faktem. Wytykał katastrofalny stan transportu – złośliwie komentował stan rozwoju polskiej motoryzacji, mówiąc o powrocie do pokonywania znacznych odległości pieszo, a w najlepszym razie konno. Kwiatkowski nie poprzestawał jednak na ostrej krytyce, ale starał się tym problemem zaradzić. Przy czym rozwój Polski widział przede wszystkim w transporcie morskim.

Po kilkuletniej przerwie w działalności politycznej, w czasie której rozwijał jednak przemysł chemiczny, jako dyrektor największych fabryk Związków Azotowych, w Chorzowie i Mościcach, powrócił do tematu morza. I to nadzwyczaj skutecznie. To z jego inicjatywy zaczęto budowę portu morskiego w Gdyni, który już w 1934 r. stał się największym i najnowocześniejszym na Bałtyku, a liczba ludności miasta, z 12 tys. w 1926 r., w ciągu dekady wzrosła dziesięciokrotnie.

Podczas jego drugiej kadencji w funkcji ministra skarbu, w latach 1935–1939, zaczęto również budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego. Dla Kwiatkowskiego był to jednak nie tylko sposób na szybką i efektywną industrializację Polski, lecz przede wszystkim na walkę z biedą. Zakłady COP zostały rozlokowane głównie na terenach południowo-wschodniej Polski – obszarach biednych i wiejskich. Po 1936 r. znalazło w nich zatrudnienie ponad 100 tys. ludzi, głównie zagrożonych nędzą. Rzecz jasna, powstanie zakładów przemysłowych wpłynęło też na rozwój infrastruktury, w której znaleźli zatrudnienie kolejni mieszkańcy tych rejonów.

ZAKAZ OGLĄDANIA MORZA

Po wojnie Kwiatkowski wrócił do Polski i usiłował, unikając polityki, angażować się w rozwój Gdyni. Do czasu ucieczki Stanisława Mikołajczyka liczył zapewne na demokratyczne ustępstwa komunistycznych władz. Boleśnie zdurzył się z rzeczywistością w 1948 r., kiedy pozbawiono go wszelkich funkcji i zakazano osiedlenia w Warszawie oraz na Wybrzeżu. Zamieszkał w Krakowie i do końca życia (zmarł w 1974 r.) zajmował się głównie chemią. Ale Gdynia żyła swoim życiem.



Eugeniusz Kwiatkowski
IX Międzynarodowe Targi
Wschodnie we Lwowie

Kierunek
ORLEN



Złap Waszą piłkę!

**Tankuj, kupuj i odbierz
w atrakcyjnej cenie!***

Zbierz 15 naklejek i złap piłkę już za 10 złotych
lub 4900 punktów VITAY.

Kierunek jest jeden...



ORLEN

*Sprzedaż promocyjna do 05.08.2018 r. lub do wyczerpania zapasów. Szczegóły promocji w regulaminie na: dlakierowcow.orken.pl.
eprasa.pl 75a64a44c6

K

WYWIAD



Apetyt na życie

*Gwiazdy pokolenia 60 plus nie dają się usunąć w cień.
Przekonują o tym **Jane Fonda** i **Diane Keaton**, a w Polsce **Helena Norowicz***

Fot. Shutterstock



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Miałby się z pyszna każdy, kto powiedziałby o nich „starsze panie”. Na ekranie, scenie, modowym wybiegu pokazują, że nadal biorą z życia, co chcą. I nie rezygnują z planów na przyszłość.

Można z metryką 60, 70, a nawet 80 plus działać, dyskutować, mieć marzenia. Można być sexy, a fizyczną formą zagonić w kozi róg niejednego nastolatka. Można zrobić szpagat i pokazać modny strój na wybiegu. Można...

Taki przede wszystkim jest przekaz filmu „Pozycja obowiązkowa” (w oryginalnej wersji „Klub czytelnicy”), w którym cztery mocno dojrzałe przyjaciółki zaczynają lekturę skandalizującej książki, odkrywając, że dawne potrzeby i marzenia wciąż są z nimi. I że mogłyby je spełnić. Mogłyby. To słowo klucz, bo „Pięćdziesiąt twarzy Greya” prowadzi je do konkluzji, że wciąż mają prawo o siebie zawalczyć. Nie są „przezroczyście”, jak nazwała społeczny stan kobiet „w pewnym wieku” polska pisarka.

MAJĄ MOC

Wchodzące w zaawansowaną dojrzałość (na pewno nie starość i tylko w dobrym znaczeniu „wiekowość”) pokolenie dzieci kwiatów, zwłaszcza w kobiecym przedziale, robi kolejną rewolucję. Wciąż poniekąd seksualną. Bo wbrew powszechnej gloryfikacji młodości zaczyna stawiać na własną cielesność. Nie tylko w kontekście zmniejszających się możliwości, ograniczeń i refleksji nad przemijaniem.

Kobiety 60 plus coraz odważniej deklarują, że nikt poza nimi samymi nie będzie im narzucał ograniczeń. Mówił, co wypada, a co nie. Wymagają, by nadal się z nimi liczyć. I mają argumenty. Sięgają zresztą po nie także „starszaki” z innych części świata. Również te z dawnego obozu wschodniego. Jeśli tylko zdrowie pozwala, są aktywne, działają.



Kadr z filmu
„Pozycja obowiązkowa”

I poczynają sobie coraz pewniej, bo widzą, że we własnej grupie wiekowej mają moc. Sprawczą moc. Coraz częściej liczą się z nimi politycy, przedsiębiorcy, media. Ich zmultiplikowany głos się przebija. Ich potrzeby coraz częściej brane są pod uwagę, bo trudno dyskutować z rzeczowymi argumentami.

DAMA W CZERWIENI

Aktywne, stabilne życiowo, nie zawsze z wielkimi, ale stałymi dochodami. Co najważniejsze jednak, coraz bardziej otwarte na zewnętrzny świat i swoje potrzeby. Bo kobiety z pokolenia 60 plus przestały żyć jedynie dla innych: dla dzieci, dla wnuków. Widzą, że także dla siebie są ważne.

Dlatego, choć realia, w jakich żyją bohaterki „Pozycji obowiązkowej”, trudno porównać do ich przeciętnej polskiej rówieśniczki, na warszawskim seansie panie w różnym wieku bawiły się świetnie i wychodziły uśmiechnięte.

Z uśmiechem pewnie oglądały też zdjęcia z amerykańskiej premiery filmu, na której 83-letnia Jane Fonda brylowała w podkreślającym sylwetkę czerwonym kostiumie. Nie sukni, ale stroju, który był zarazem sexy i dawał swobodę. Trudno go było przeoczyć. Intensywna czerwień przyciągała wzrok.

Polskiej dziennikarce Jane Fonda odpowiedziała podczas wywiadu: „Niech

ci się nie wydaje, że tylko dlatego, że masz swoje lata, musisz zrezygnować z miłości, romansów i seksu. To jedna z rzeczy, które chcemy za pomocą tego filmu powiedzieć kobietom”.

NIE JEST ZA PÓŹNO

Fonda, podobnie jak jej ekranowa bohaterka, nie ukrywa, że nieraz poprawiała sobie urodę, ale też przez lata dbała o ciało, wybierając ćwiczenia, które służyły podkreśleniu kobiecych walorów sylwetki. Pionierce aerobiku, choć sięgała także po upiększającą pomoc skalpela, udało się ustrzec efektu rodem z filmu „Ze śmiercią jej do twarzy”.

Na planie filmowym miała obok siebie m.in. Diane Keaton, nieuznającą operacji plastycznych, a mimo to również zjawiskową. O kilka lat młodsza od Fondy Keaton jest znakomitą ambasadorką pokolenia 60 plus. Dawna aktorska muza Woody’ego Allena ma na swoim koncie także samodzielne realizacje. Po doświadczeniach paru głośnych związków żyje na własny rachunek, ale wychowała też adoptowane dzieci. Chociaż 70. urodziny dawno ma za sobą, tryska energią i wciąż świetnie się odnajduje w swoim stylu. Inspirując do własnych rozwiązań inne kobiety.

Dla równowagi, obok wysmukłych i wyrazistych wizerunkowo Fondy i Keaton, w obsadzie „Pozycji obowiąz-



Fot. Monolith

kowej” znalazła się też bardziej zwyczajna Candice Patricia Bergen (lat 72). Pamiętna odtwórczyni roli Murphy Brown, tym razem grając zasadniczą panią sędzię, dowodzi, że na szukanie radości w życiu nigdy nie jest za późno. Trzeba być tylko gotowym, by wziąć od losu, co daje.

PIĘKNE ZMARSZCZKI

Na naszym podwórku pięknie (to słowo pojawia się bardzo często przy internetowych komentarzach jej poczynaniach) realizuje podobne założenie Helena Norowicz. Dziś ma 83 lata. Od trzech jej twarz i nazwisko stały się rozpoznawalne także dla ludzi młodego pokolenia.

Kilkanaście lat na emeryturze (pracę w warszawskim Teatrze Studio zakończyła, mając lat 68); typowe, jak mówi, zajęcia: działka, spacer po lesie; zaakceptowanie tego, że aktorska pasja to przeszłość, i nagle... niezwykła odmiana.

Gdy skończyła lat 80, zauważył ją świat mody i ekranu. Projektanci Bobocho zaproponowali jej współpracę przy kampaniach modowych. Znów stała w świetle reflektorów – tym razem na wybiegu i przed obiektywem aparatu. Stylowe sesje wydobyły jej wciąż zjawiskową urodę. Zmienioną przez czas, co w tym przypadku okazało się dodatkowym atutem.

W wywiadach Helena Norowicz podkreśla, że zaakceptowała zmarszczki, skoro nie ma na nie wpływu. Poza, oczywiście, zdrowym trybem życia i dostarczaniem skórze wspomagających kremów i maseczek. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by walczyć z wiotczącą skórą za pomocą skalpela. Ale o kondycję fizyczną może dbać, dlatego robi to od lat. Regularnie ćwiczy. Utrzymuje swoje ciało w sprawności, która zaczęła się, gdy była dzieckiem. Zafascynowana cyrkiem dużo się rozciągała. Gdy w ubiegłym roku złamała nogę, najbardziej się bała, czy będzie mogła... robić szpagat. Może.

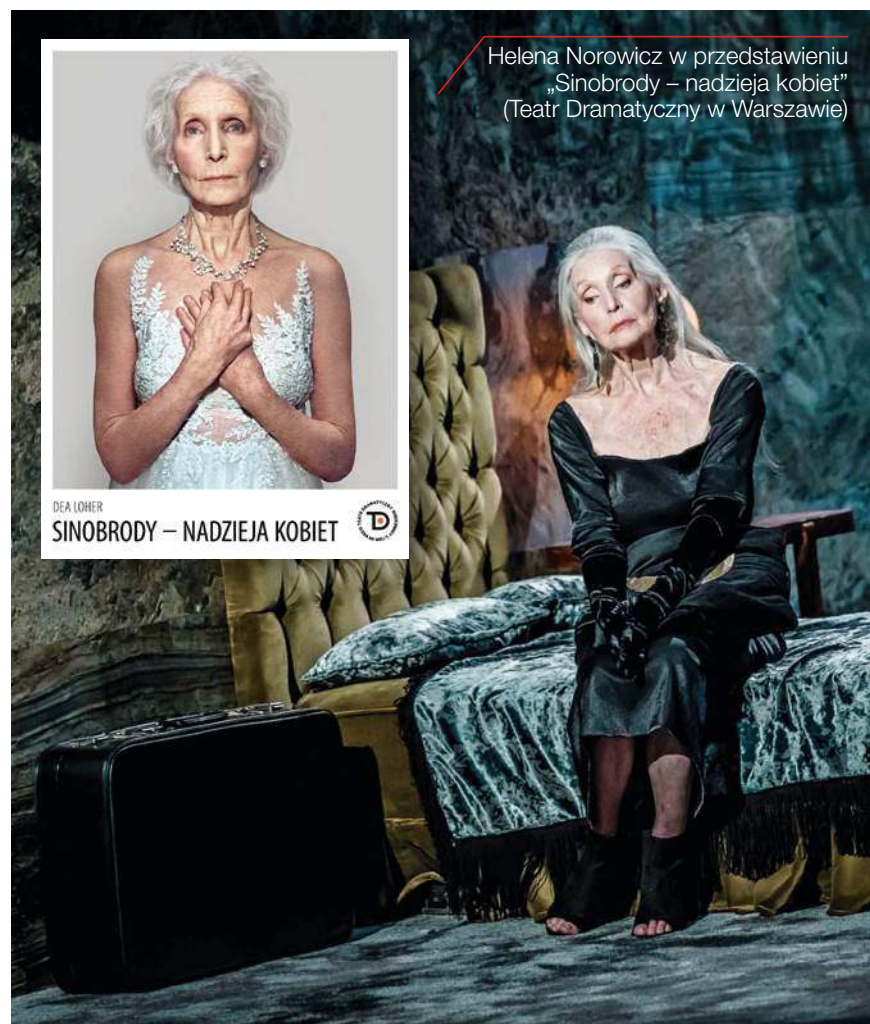
NADZIEJA KOBIEC

Od kiedy zaczęła się pojawiać na wielkoformatowych modowych zdjęciach, dostaje od ludzi sporo ciepłych

komentarzy. Czyta je w internecie, słyszy na planie. Dzięki sesjom stała się rozpoznawana także przez kierowników obsady. Dostaje kolejne propozycje. Gra głównie w epizodach. Tym bardziej docenia rolę stworzoną specjalnie z myślą o niej przez Bodo Koxa, reżysera filmu „Człowiek z magicznym pudełkiem” (2017).

Helena Norowicz widzi, że inspirowa ludzi. Nie tylko starszych. Także młodym daje nadzieję, że coś ciekawego może się w ich życiu zdarzyć. Muszą być jednak na zmianę gotowi, otwarci.

W tym roku aktorka wróciła na scenę. Można ją oglądać w przedstawieniu „Sinobrody – nadzieja kobiet”. Spektakl jest w bieżącym repertuarze Teatru Dramatycznego. Pojawi się też w lipcu w ramach wakacyjnego przeglądu sceny.



Helena Norowicz w przedstawieniu „Sinobrody – nadzieja kobiet” (Teatr Dramatyczny w Warszawie)

DEALOHMER
SINOBRODY – NADZIEJA KOBIEC



Zatańczyć Lutosławskiego

Wydarzeniem była londyńska premiera baletu „Life is a dream” wg Pedra Calderóna z muzyką Witolda Lutosławskiego. Spektakl Rambert Dance Company z polskim wsparciem Instytutu Adama Mickiewicza trafia teraz na festiwal w Bergen, a przewidzianych jest ponad 30 kolejnych prezentacji

Witold Lutosławski (1913–1994) już za życia był ceniony i wykonywany w Anglii, wszakże nigdy nie na scenie baletowej. Długo nie miał przekonania do wykorzystywania swych utworów w spektaklach tanecznych. Po jego śmierci te rygory zelżały, w 2007 r. Krzysztof Pastor sięgnął m.in. po „Preludia taneczne” w swym balecie „Visions at Dusk”, zrealizowanym w Het Nationale Ballet w Amsterdamie, a w 2012 r. po IV Symfonię w projekcie „Chapters”. Obecna inscenizacja londyńska jest kolejną z licznych dotychczas prób skojarzenia muzyki Lutosławskiego ze sztuką tańca. Nader udaną – powiedzmy od razu.

Założycielką Rambert Dance Company, najstarszego brytyjskiego zespołu baletowego, była w 1926 r. Marie Rambert (1888–1982). Urodzona w Warszawie jako Miriam Ramberg, doświadczenie zdobywała w Baletach Rosyjskich u Diaghilewa i Niżyńskiego. Spod jej ręki wyszły tak ważne osobowości jak Frederick Ashton czy Harold Turner. Jej teatr do dziś słynie z pierwszorzędnym tancerzy i realizatorów.

Duński choreograf Kim Brandstrup to z kolei światowa marka. Muzyki Lutosławskiego wcześniej nie znał, drogę do niej utorowały mu fascynacje teatrami awangardowymi Tadeusza Kantora i Jerzego Grotowskiego. Niewykluczone, że oglądany w młodości w Kopenhadze „Książę niezłomny” Calderóna w surowej wersji aktorów Grotowskiego (z niezapomnianym Ryszardem Cieślakiem) podpowiedział mu teraz wybór innego dramatu mistrza hiszpańskiego baroku, „Życie jest snem”. Zwłaszcza że jego autor akcję umieścił w Polsce. Fikcyjnej, jak 250 lat później Alfred Jarry w „Ubu Królu”.

Losy polskiego królewicza, podejrzewanego przez ojca o mordercze instynkty, wię-



ADAM CIESIELSKI

zionego, uwalnianego i znów (w uśpieniu) osadzanego w wieży, choreograf potraktował jako bajkowe tło. Nakładając na nie różne filtry, m.in. własne doświadczenia kreatora spektaklu, z karuzelą alternatywnych pomysłów, huśtawką nadziei, zwątpień, onirycznych marzeń. Bohater i jego alter ego spotykają się zresztą. W realu? W lustrze? We śnie? „Gdy rozum śpi, bu-

dzą się upiory” – skonstatował kiedyś Goya. Tu poetycką wieloznaczność, grę iluzji podkreśla scenografia – dzieło Quay Brothers, obdarzonych niezwykłą wyobraźnią amerykańskich bliźniaków, asów animacji i filmu, twórców m.in. pamiętnej „Ulicy Krokodyli” wg Brunona Schulza. Nikt też lepiej jak oni nie mógł rekomendować Brandstrupowi muzyki Lutosławskiego. Wszak właśnie Timothy i Stephen Quay, bywalcy i entuzjaści Polski, są autorami filmu do Kwartetu tego kompozytora.

Właśnie genialna muzyka Lutosławskiego, wykonywana przez żywą orkiestrę, idealnie integruje zmienne klimaty, obrazy, niesie fruwających w powietrzu tancerzy. Rozbrzmiewają IV Symfonia, Łańcuch II, „Muzyka żałobna”. Ale poruszające wrażenie robi też napisana przez Lutosławskiego pod pseudonimem Derwid piosenka „Nie oczekuję dziś nikogo”. Śpiewana po polsku w nagraniu Reny Rolskiej (1960). Nostalgicznej melodii towarzyszy solo taneczne zjawiskowej Greczynki.

Zafrapowani Bracia Quay zasypali mnie w Londynie pytaniami o Rolską, niewzmiankowaną zresztą w programie. Interesowały ich piosenki z jej repertuaru i ewentualne spotkania z Lutosławskim, który wszak obok dzieł symfonicznych pisał także przeboje. Wspólnie marzyliśmy też, by londyńskie „Życie jest snem” pokazać w Polsce.

„Life is a dream”
wg Pedra Calderóna
z muzyką Witolda Lutosławskiego,
wyk. Rambert Dance Company,
choreografia: Kim Brandstrup;
premiera: 23 maja w Sadler’s Wells
Theatre w Londynie,
koprodukcja: Instytut Adama
Mickiewicza, jako część programu
„Polska Music”

Diabeł Agnieszki Holland

Na nowe „Dziecko Rosemary” trafiłem późnym wieczorem w Polsacie. To nakręcony przed czterema laty dwuodcinkowy miniserial Agnieszki Holland. Zaczę od oryginału, ważnego dla mnie, jak dla wielu obywateli świata. Film Romana Polańskiego udało mi się obejrzeć w latach 70. bez wiedzy, co będzie na końcu. Niestety sam będę musiał spoilerować. Ostrzegam.

O tym klasycznym horrorze z 1968 r. ze świetną Mią Farrow powtarza się rzeczy mało sensowne. Krytycy (kiedyś o dziwo i sam Polański) twierdzą czasem, że nie wiadomo, czy chodzi o opowieść o prawdziwym osaczeniu kobiety przez satanistów, czy o jej chorobę psychiczną. Ale przecież kamera obiektywizuje zdarzenia. Owszem, bywa, że współczesne filmy pokazują coś, co jest produktem wyobraźni bohatera, ale tu wiele faktów ma taką naturę, iż nie da się ich przypisać halucynacjom Rosemary, choćby zgony osób, które próbują jej pomóc. Film Polańskiego to adaptacja niemal w skali jeden do jednego powieści Iry Levina, precyzyjnej układanki zdarzeń. Nie ma tam cienia sugestii, że to się nie dzieje naprawdę, tylko w głowie Rosemary.

Te frazesy biorą się stąd, że komentatorzy nie mogli zaakceptować tak chłodnego wyводу o udziale diabła w naszym życiu. Tylko że na tym polegają takie filmy – ateizm reżysera, pytanie, czy to narracja serio, czy zabawa metafizyką, nie mają tu nic do rzeczy.

Z kolei moi konserwatywni znajomi pomawiali film o satanizm, wraz z teoriami o karze bożej na ekipę i na Polańskiego (śmierć jego żony). Nawet Krzysztof Kłopotowski to powtarzał. Tymczasem nie ma tu żadnego poparcia dla diabła, który jest i pozostaje złem. Końcowe przejście Rosemary „na jego stronę” bierze się wyłącznie z instynktu matczynego – to główny paradoks powieści i jej adaptacji. Towarzyszyły temu brednie o udziale w filmie lidera satanistów Sandora LaVeya. Pan LaVey sam to wymyślił, a naivniacy upowszechniali. Aktor grający pokazanego przez chwilę diabła nazywał się Clay Tanner.

To świetnie skonstruowany film o tajemnicy. Niestety oglądając wersję Holland, pytałem, po co powstała. Tak jest zwykle z remake’ami. Czy po to, aby Guy, mąż Rosemary, był nie aktorem, ale anglistą? A ona miała ciemną skórę (Zoe Saldana z „Avatara”)? I żeby byli Amerykanami w Paryżu, co niby komplikuje akcję, ale nie zostaje wykorzystane do niczego atrakcyjnego?

Ba, zmiany są na gorsze. Casavetowie, demoniczni sąsiedzi, byli u Levina i Polańskiego starszuchami, co dodawało akcji zabawnego pieprzyku. Tu są prawie młodzi (Roman – Jason Isaacs, Lucjusz Malfoy z „Harry’ego Pottera”) i nie jest to wartość dodana. Ofiary giną za to zgodnie z konwencją nowych krwawych horrorów, co notabene ostatecznie podważa teorię zwidów Rosemary. Ale to konwencja wyświechtana. U Polańskiego było coś zimnego i nieskazitelnego. Tajemnica przy pozorach spokoju i dobrych manier. Dlatego ten film się pamiętało. W takich widzach jak ja największą groźbę budzi to, co niedopowiedziane i niepokazane.

Myślałem, że Holland doda jakąś myśl. Są recytacje w obronie autonomii ciała Rosemary, gdy odmawia się jej należytej medycznej opieki. Ale ten „progresywny” kierunek prowa-



dzi donikąd, bo bohaterka broni swego nienarodzonego dziecka i nie staje się aborcyjną aktywistką. Film za to gubi coś delikatnego. Katolicka tożsamość kobiety czyniła inwazję szatana na nią szczególnie paradoksalną. No ale dziś trudno to oddać. Może są dzieła przynależne do swoich

czasów?

Zastanawiam się, czy był kiedyś remake, który mnie zachwycił. Ale to materia na inny tekst.

Piotr Zaremba



Wojciech Stanisławski

Dom dla towarzysza Modulora

Wielka płyta okazała się rozczarowaniem zarówno dla mieszkańców PRL, jak i Zachodu: nie odmieniła natury człowieka

Od kilku lat, by pozwolić sobie na kulawy kalambur, blok jest en vogue. Nie stanowi już neutralnej scenarii wydarzeń, jak w prozie młodzieżowej czy kryminalnej czasów PRL, nie jest hasłem, jak w amatorskich wierszach i balladach tamtej epoki, ale pełnoprawnym, nieraz wręcz pierwszoplanowym bohaterem wydawanych w ostatnich latach powieści i reportaży autorek modnych (Sylvia Chutnik, „Jolanta”, 2015), głośnych (Lidia Pańków, „Błoki w słońcu”, 2016) lub świętych (Monika Milewska, „Łatawiec z betonu”, 2018). A w międzyczasie był jeszcze przeciwieństwem popularnonaukowy „Przewodnik po warszawskich blokowiskach” Jarosława Trybusia i bardzo ambitna „Futurologia i architektura w PRL” Emilii Kiecko. Jedni piszą z tęsknotą o Ścianie Wschodniej, inni o pospiesznie rozebranym Sezamie, rosną szeregi obrońców socmodernizmu.

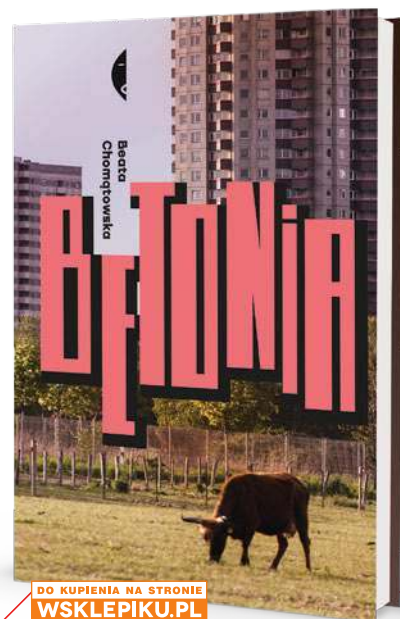
W tym powrocie do blokowisk spotykają się, myślę, różne potrzeby, przekory i emocje. Jest w nim nostalgia średniego, solidnie już tkwiącego w smudze cienia pokolenia, trochę bardziej samoświadoma niż krążące po sieciach społecznościowych niczym korespondencyjne łańcuszki wspominki o „kluczu na szyi” i „oranzadzie pod trzepakiem”. Blokowisko tworzyło ramę, przestrzenną i społeczną, dla tych harców z kluczem na szyi, a zarazem PRL oddalała się na tyle, że można spojrzeć chłodnym, socjologizującym okiem zarówno na system, jak i na zdjęcie blokowisk Kłódzka i Trójmiasta okolonych wyblakłym, ORWO-wskim błękitem. Jest przekora wobec bezrefleksyjnego zachwyty „przedwojenną Warszawą, którą zburzyli nam Niemcy”.

Jest wreszcie tęsknota za wielkim projektem modernizacyjnym, niechęć wobec starych i nowych filistrów.

Dopiero teraz jednak trafiła się książka podsumowująca historię bloku jako idei i koncepcji architektonicznej – ale i „doświadczenia bloku” w PRL. To „Betonia. Mieszkanie dla każdego” Beaty Chomątowskiej, od kilku lat piszącej rzeczowym – chciałoby się rzec – wyzywająco oschłym językiem o historii widzianej przez pryzmat architektury (traktowała o niej zarówno jej książka „Pałac. Biografia intymna”, zdecydowanie najlepszy z pół tuzina tytułów opublikowanych na jubileusz PKiN, jak i „Stacja Muranów”, rzecz o odbudowie i nie/pamięci na gruzach Dzielnicy Północnej, jak biografie architektów).

„Betonia” to rzecz niejednorodna, pisana z wielu stron, chciałoby się powiedzieć, na siłę rozbudowując porównanie, szkicowana jak pozornie chaotyczne osiedle, które swój wewnętrzny ład ukazuje dopiero (tylko?) z lotu ptaka. Znajdziemy tu niemal obowiązkowe w książce traktującej o fenomenie bloku przypomnienie węzłowych etapów rewolucji technologicznej i urbanistycznej, której owocem były bloki: niechęć do slumsów, ciśnienie demografii, marzenia ludzi z kręgu Bauhausu i prometejskie tęsknoty Le Corbusiera,

który stworzył Modulor, antropometryczny system proporcji. Znajdziemy w „Betonii” opowieść o próbach wdrożenia rozwiązań z Zachodu w prawdziwych realiach Polski Ludowej: autorka, nie bojąc się znużyć czytelników, opisuje następujące po sobie rozwiązania wielkiej płyty, od PBU po ramę H i system



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Beata Chomątowska, „Betonia. Mieszkanie dla każdego”, Wydawnictwo Czarne, 2018

otwarty WU-70, którym stanęły setki gierkowskich osiedli. Przywołuje ciąg porażek towarzyszących kolejnym architektom wizjonerom, od Marii i Kazimierza Piechotków po Krzysztofa Bienia, wizjonerom marzącym o miastach ogrodach, o mądrej harmonii, skonfrontowanym z obskurantyzmem pierwszych sekretarzy i zmuszonym do kapitulowania w obliczu realiów, wysokich cen, ogromnych potrzeb zniszczonej wojną Polski, prawdziwych i traktowanych jako wymówka „konieczności”.

Beata Chomątowska jest zarazem przewrotna, pokazując, że od demagogii nie byli wolni również politycy Zachodu, od przedwojennych socjaldemokratów po władzę Berlina Zachodniego, posługując się wielką płytą czasem jako narzędziem kształtowania „nowego człowieka”, częściej jako populistyczną

zagrywką wobec różnych środowisk, które należało pozyskać: bezdomnych przybyszów do rozrastających się miast, nowej klasy średniej, rodziców, imigrantów. Oczywiście blokowiska Zachodu są zazwyczaj znacznie lepszej jakości, nieco przestronniejsze – ale to tam, nie na Wschodzie, dojdzie do głosu rozczarowanie, odkrycie, że wspólne szyby wind, suszarnie i ciągi spacerowe nie stwarzają jeszcze polis: nie przypadkiem książkę otwiera opis wielkiego wyburzania osiedla Pruitt-Igoe w amerykańskim St. Louis – jednej z pierwszych wielkopłytych realizacji w świecie – które w dwie dekady z triumfu nowoczesnej architektury zdegradowało się do slumsów. Te historie rozczarowań powracają, czy mowa o porażce Waltera Gropiusa w Berlinie, czy twórców londyńskich osiedli lat 70., czy architektów krakowskich.

Z tym zapisem porażki wielkiego projektu współlistnieją wątki jawnie nostalgiczne: przewijające się przez karty „Betonii” scenki z dorastania w blokowisku lat 70. bezimiennej „córką Marii i Stanisława”, niezaskakujące czytelników jedynej jak dotąd, wydanej przed kilku laty powieści Chomątowskiej. Różne perspektywy książki spotykają się w finale: blokowiska przetrwają jeszcze kilkadziesiąt lat, tyle, ile kotwienia i klamry, którymi łączono płyty, ale wiadomo już, że nie są rozwiązaniem ani dla pojedynczej rodziny, która nie ma szans się tam zakorzenić, ani dla miast w żadnym z krajów świata. Nie są jednak tym rozwiązaniem również deweloperskie osiedla domów jednorodzinnych jak spod sztancy. Czy zdołamy wymyślić kolejny wielki projekt?

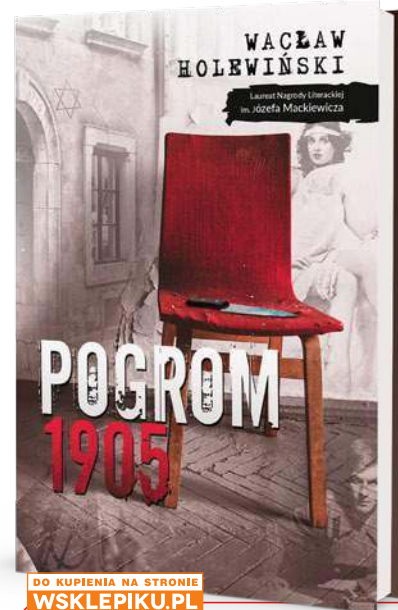
Powieść o czwartym powstaniu

Może się zdarzyć, że czytelnik podejrze do tej książki z rezerwą: powieść historyczna wydaje się gatunkiem wyczerpanym, dobrym może dla rodziców zatroskanych o wiedzę historyczną latorośli, ale tak naprawdę przegrywającym albo z mistrzami reportażu historycznego, albo z sagami, w których wojownicy i smoki kłębią się do woli, nieskrępowani niczym prócz fantazji autorów.

Okazuje się jednak, że o dylematach sprzed wieku można napisać wiernie, bez stawiania zbytecznych kropek nad i, ukazując splót interesów, przesądów, lojalności nie tylko trzech narodów zamieszkujących Warszawę roku 1905 – Polaków, Rosjan i Żydów – lecz i kolosalne zróżnicowanie ich postaw. Najciekawiej chyba, z wiernością faktom, ale i z dużą przenikliwością opisani zostali przez Wacława Holewińskiego Rosjanie: zaskoczeni słabością swojego państwa doświadczającego wojny z Japonią i rewolucji, w Priwisłinskim Kraju wyobcowani, odrzucani, ale nie-

rezygnujący z dominacji. Najśmielszą grę podejmuje w tym celu szef warszawskiej ochrony: błyskotliwy, niewolny od polonofilii, a przynajmniej ciekawości Polaków hrabia Andriej Markgrafski.

Nie do pogardzenia jest jednak również panorama polsko-żydowskiego półświatka czy rozterki pogrobowców pozytywizmu. Zważywszy, że „Pogrom 1905” jest po części retrokryminałem, z mocnymi wątkami spisku i śledztwa, szczególnie pochwlebie wygląda więc jego zestawienie z podobną gatunkowo książką Nikolaja Swieczina sprzed kilku lat. Wzięty w Rosji autor, marzący o sławie legendarnego Borisa Akunina i dorównujący mu nakładami, choć nie talentem, umieścił akcję powieści „Warszawskie tajni” nad Wisłą, kilka lat przed rewolucją 1905 r. i uczynił z niej – pytanie, na ile intencjonalnie – kopalnię stereotypów narodowych: powieściowe Polki są bez wyjątku wyrafinowane i fałszywe, Polacy – tchórzliwi, zakłamanii, próżni i zdradzieccy, Żydzi – chytry, tchórz-



Wacław Holewiński, „Pogrom 1905”,
Wyd. Zysk i S-ka, 2018

liwi i wyrachowani. I gdyby nie asesor Aleksiej Łykov...

Powieść Wacława Holewińskiego, bliska tematycznie „Warszawskim tajemnicom”, jest na szczęście ich jakościowym zaprzeczeniem. To przywołująca dramatyczne „przyspieszenie” sprzed stu kilkunastu lat rzecz o sułach i odcieniach historii.



Adamski poleca



Kino



Western w odległej galaktyce



Mimo swojego imienia nie chciałem w dzieciństwie być Lukiem Skywalkerem. W zabawach zawsze wcielałem się w Hana Solo. Krnąbrnego, beczelnie niepokornego wobec systemu zawiadki, który wbrew sobie stał się częścią międzygalaktyczno-metafizycznej wojny ciemnej i jasnej strony mocy. Do końca swoich dni pozostał outsiderem. Jak przekonaliśmy się w „Gwiezdnym wojnach: Przebudzenie Mocy”, odrzucił żywot chodzącej ikony wojny z Imperium. Zamiast wieść życie w chwale z księżniczką Leią, wrócił z włochatym towarzyszem Chewiem do chuligańskiego przemytu. A jednak w patetyczny sposób zginął z rąk syna odbudowującego potęgę ciemnej strony mocy. Han Solo to jedna z najciekawszych postaci popkultury. Nieodłączna od twarzy Harrisona Forda.

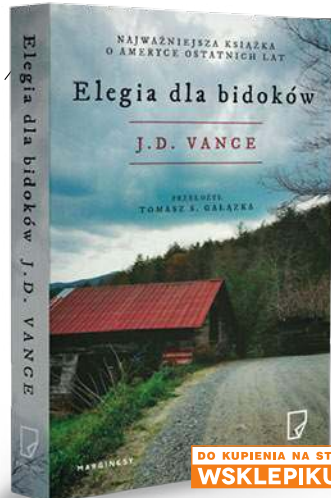
„Han Solo: Gwiezdne wojny – historie” to kolejny „Łotr 1” spin-off sagi z logo „Star Wars”. Już podczas produkcji napotkał sporo perturbacji. Przebojowych Phila Lorda i Chrisa Millera („Lego: Przygoda”) na stołku reżyserskim zastąpił hollywoodzki fachura Ron Howard. W trakcie produkcji na pokład wszedł Paul Bettany w roli głównego czarnego charakteru.

Mimo że fabuła jest banalna i pretekstowa, Howardowi udaje się wyciągnąć cały klimat scenariusza Lawrence’a Kasdana i jego syna. Czuć tu rękę autora scenariusza najwybitniejszej części „Star Wars”, czyli „Imperium kontratakuje”. Jest industrialny mrok, szarzyzna galaktyki opanowanej przez dyktaturę Imperium i na dodatek nie ma nigdzie metafizyki Jedi.

Howard gładko przechodzi od lotrzykowskiemu westernu do klasycznego kina przygodowego o piratach (jeden ze statków kosmicznych „pływa” po niebie, a finał rozgrywa się na plaży), zgrabnie wmontowując w to wszystkie odpowiedzi interesujące fanów świata stworzonego przez George’a Lucasa. Udało mu się też nakreślić źródło osobowości Hana Solo. Rozdarcie między cynizmem, którego ojcem jest jego patron i guru (Woody Harrelson w swoim żywiole!), oraz idealizmem jest wiarygodnie przez Kasdanów rozrysowane. Alden Ehrenreich nie ma beczelności Forda i jego błysku w oku. To nie zarzut, gdyż jego postać dopiero dojrzewa do pewnego siebie Solo znanego z klasycznej trylogii Lucasa i filmu J.J. Abramsa. Młody aktor nie naśladuje Forda, choć zachowuje jego wszystkie neurozy. Dzięki temu nadaje postaci własny ton.

„Han Solo” jest pełen charyzmatycznych postaci (świetny Donald Glover jako młody Lando), odkrywamy nowe miejsca z czasów odległej galaktyki, a zamiast napuszonego celebrowania mocy przebudza się subtelny humor. Ten nostalgiczny film jest dowodem na to, że Kino Nowej Przygody wcale nie zjada własnego ogona. Przy dobrym pomysle można wiele wyciągnąć z marki „Star Wars”. Nawet bez Skywalkerów, których pierwszy raz w filmie z sagi nie ma...

„HAN SOLO: GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE”
REŻ. RON HOWARD, DYSTR. DISNEY



Książka

Kim są „white trash”?



Takie książki o wiele lepiej pozwalają zrozumieć Amerykę niż jakiegokolwiek naukowe opracowania. J.D. Vance w zjawiskowym połączeniu socjologicznego eseju z autobiografią opowiada o Ameryce oddalonej od amerykańskiego dream. To Ameryka „white trash” (tzw. białych śmieci) z biblijnego „pasa rdzy”, gdzie niegdyś było serce przemysłowej potęgi. Autor wyrwał się z biedry. Zaciągnął się do wojska, a potem skończył prestiżowy Yale. Nie zapomniał o swoich korzeniach. Z czułością, troską i przeni-

kliwością pokazuje życie prostych robotników z wymarłych miasteczek. Zatopionych w domowej przemocy, śmieciowym jedzeniu i poczuciu zdradzenia przez elity. Vance przyczynę tragedii widzi w rozbitych rodzinach i fatalnym systemie opieki społecznej, produkujących roszczeniowe pokolenia. Vance przekonuje, że żaden rząd nie rozwiąże ich problemów bez powszechnej zmiany myślenia. Inspirująca lektura.

„ELEGIA DLA BIDOKÓW”,
J.D. VANCE, WYD. MARGINESY



Gorzki smak miłości



samemu sobie. Pod tym kątem film Virziego porusza. Włoch bez taniej ckliwości pokazuje dojrzałą i pełną miłość. Sutherland jako popadający w mrok ograniczeń własnego umysłu subtelny intelektualista rozdziera serce. To wspaniała kreacja, która nie wybrzmiałaby bez kapitalnej Mirren. Jej bohaterka to twarda kobieta. Mimo niewyobrażalnego fizycznego cierpienia do końca pielęgnuje ukochanego mężczyznę. Poruszający obraz małżeńskiego poświęcenia jest zatopiony w lekkim komediowym sosie.

A jednak finał jest złowieszczy. Virzi nakręcił lekką wersję głośniejszej „Miłości” Hanekego. O ile film austriackiego pesymisty był filozoficzną dysputą o eutanazji, o tyle Włoch z irytującym infantylizmem mówi, że każdy ma prawo do zakończenia życia, gdy uzna, iż traci godność. Puszcza w tle wolnościową „Me and Bobby” Janis Joplin, zaznaczając przy tym istotę samobójstwa Hemingwaya. Wszystko bez krzty wątpliwości z dotykających tematu eutanazji „Za wszelką cenę” Eastwooda czy „Jack, jakiego nie znacie” Levinsona. Ta słodko-gorzka komedia jest silnym i jednoznacznym ideologicznym manifestem przekonującym, że świadoma eutanazja wynika z miłości do cierpiących. Ba, jest ona też wybawieniem dla rodziny wolnej od patrzenia na upokarzające cierpienie rodziców. Trudno, by chrześcijanin widzący istotę cierpienia taką wizję zaakceptował.

„ELLA I JOHN”

REŻ. PAOLO VIRZI, DYSTR. UIP

Raz na jakiś czas pojawiają się filmy, których z uwagi na ich ideologiczną wymowę nie można opisać bez zdradzania fabuły i finału. Taki jest hollywoodzki debiut Włocha Paola Virziego „Ella i John”. Jeżeli nie chcecie więc znać finału tej historii, nie czytajcie mojej recenzji.

Autor włoskich hitów, jak „Zwarować ze szczęścia”, kultowe dla Amerykanów kino drogi zmieszał z modnym tematem starości i umierania. Drugi „Choć goni nas czas” albo „Szmidt”? Nie, bo to twórca europejski, któremu brak amerykańskiego optymizmu.

Helen Mirren i Donald Sutherland wcielają się w stare małżeństwo wyrwające się spod opieki dorosłych dzieci. Dziadkowie swoim starym RV nazwa-

nym „leisure seeker” („poszukiwacz odpoczynku”) mkną przez Amerykę, wprost na Key West. Przeżywający drugą aktorską młodość (jakże inny jest w serialu „Trust”) Sutherland gra emerytowanego profesora literatury, zakochanego w Ernieście Hemingwayu. Zawsze chciał zobaczyć jego dom na pięknej Florydzie. Teraz ma ostatnią szansę. Cierpi na zaawansowane stadium alzheimera. Jego oddana i kochająca żona też nie ma wiele czasu. Kolejne jej organy zjada nowotwór.

Para wylacza telefon komórkowy, odcina się od przeszłości i mknie w ostatnią drogę. Pokonuje własne słabości, okazując sobie dowody prawdziwie dożgonnej miłości, opartej na poświęceniu, wyrzeczeniach, zaprzeczeniu

Wszystko w tym filmie jest złe



DVD

M jak morderca” jest zlepieniem z klisz, pozbawionym oryginalności policyjnym filmem, jakie powstawały masowo po sukcesie „Siedem” Finchera. Seryjny morderca, wymyślne sposoby uśmiercania ludzi, religijny podtekst, starzejący się doświadczony policjant i jego młodszy partner z osobistymi problemami – ileż razy to widzieliśmy! Reżyser zachowuje się, jakby przeniósł się w czasie do połowy lat 90. XX w., gdy nie było „Zodiaka” ani „True Detective”. Jego film drażni dziurami logicznymi rozmia-

rów Wielkiego Kanionu i bezwstydnym naśladownictwem. Al Pacino musiał przyjąć wyjątkowo tłusty czek, by zdecydować się na taką chałturę. „Podobnie jak »Siedem«, »M jak morderca« zabiera widzów w przerażającą i makabryczną podróż, wprowadzając ich do mrocznego świata seryjnego mordercy” – reklamuje film dystrybutor. Ten opis jest niemal prawdziwy. „M jak morderca” jest... przerażająco i makabrycznie głupi.

„M JAK MORDERCA”

REŻ. JOHNNY MARTIN, DYSTR. GALAPAGOS



It's too
extreme.
NO

25 May
Yes
for Women's Lives

Wystarczyły dwa pokolenia, by Zielona Wyspa z bastionu katolicyzmu przekształciła się w awangardę sekularyzacji. 25 maja obywatele Irlandii miażdżącą przewagą ponad dwóch trzecich głosów zdecydowali w powszechnym referendum o uchynieniu 8. poprawki do konstytucji chroniącej życie nienarodzonych

Irlandia jak U2



GRZEGORZ GÓRNY

Zaden felietonista w Irlandii nie wywoływał przez ostatnie lata tak skrajnych emocji jak John Waters. Jedni go kochają, drudzy niena-

widzą. Przez lata wielu czytelników kupowało w każdy piątek „The Irish Times” tylko dla jego tekstów. W 2015 r. zdecydował się porzucić zawód, gdyż – jak stwierdził – rzetelne dziennikarstwo w Irlandii upadło, a zastąpiła je propaganda.

MIĘDZY MUZYKĄ A POLITYKĄ

Zaczynał w 1981 r. jako krytyk magazynu muzyczno-politycznego „Hot Press”. Profil popularnego dwutygodnika odpowiadał zainteresowaniom publicysty,

które zawsze oscylowały między muzyką a polityką. Jego piosenki kandydowały w konkursie Eurowizji. Napisał książkę, dzięki której zarobił 3 mln euro dla Irlandzkiej Fundacji Hospicyjnej. Ze związku z Sinéad O'Connor ma córkę – przez sześć lat toczył z piosenkarką walkę o prawa rodzicielskie zakończoną zwycięstwem.

Punktami przełomowymi w jego życiu były zerwanie z alkoholizmem i nawrócenie. Od tamtej pory ostrym piórem zaczął zwalczać w swych teks-

tach poprawność polityczną. Wiosną 2015 r. stał się jednym z liderów ruchu sprzeciwiającego się przyznaniu parom jedнопłciowym przywilejów małżeńskich. Irlandczycy w referendum opowiedzieli się jednak za prawnym zrównaniem związków homoseksualnych z normalnymi małżeństwami.

W grudniu 2016 r. zaprosiłem Johna do Wrocławia na Międzynarodowy Kongres „Wartość kultury – kultura wartości”, którego byłem dyrektorem programowym. Waters wystąpił w panelu wspólnie z profesorami Pablo Pérezem-Lópezem i Gerardem van den Aardwegiem. Cała trójka wyjaśniała, jak to się stało, że ich kraje – Irlandia, Hiszpania i Holandia – w tak błyskawicznym tempie uległy tak gwałtownej dechrystianizacji. Ostrzegali wówczas Polaków, jakich błędów nie należy popełniać, by podobny scenariusz nie powtórzył się i u nas.

KAPITULACJA KOŚCIOŁA

Jeszcze w latach 70. Zielona Wyspa uznawana była za bastion katolicyzmu w Europie. Dziś pozostało z tego wspomnienie. Skandale homoseksualne i pedofilskie, które pogrążyły tamtejszy Kościół na początku XXI stulecia, nie miałyby tak destrukcyjnego wpływu, gdyby nie słaba kondycja irlandzkiego chrześcijaństwa. Zdaniem Johna Watersa ludziom zabrakło zarówno realnego doświadczenia Boga, jak i intelektualnych podstaw wiary. Nie potrafili zintegrować swej wiary i rozumu. Stało się tak dlatego, że Kościół nie prowadził formacji duchowej, zwłaszcza osób dorosłych.

Dla większości duszpasterzy było oczywistością, że ludzie żyjący w świecie chrześcijańskim w naturalny sposób muszą być chrześcijanami. Nie było więc konieczności prowadzenia ewangelizacji. Kiedy jednak dominująca kultura odcięła się od religii i przestała czerpać z niej soki, skonfrontowani z nią Irlandczycy nie znaleźli punktu oparcia dla swej wiary. Nie potrafili jej obronić nawet przed sobą.

Według Watersa katolicyzm w Irlandii przeszedł w ostatnim stuleciu przez

trzy fazy – narodową, moralizatorską oraz liberalną – a każda z nich oznaczała dla niego duchowe zubożenie. Ostatni z tych etapów cechuje się całkowitą kapitulacją wobec lewicowo-liberalnej hegemonii kulturowej, a nawet przystosowywaniem się do niej. Dlatego na pytanie, czy Kościół przegrał w Irlandii

Na pytanie, czy Kościół przegrał w Irlandii wojnę o duszę, Waters odpowiada, że nie, ponieważ nawet jej nie podjął. Jego zdaniem społeczeństwo irlandzkie dotknął syndrom postkolonialny, a katolicyzm zaczęto uważać za coś nienowoczesnego, uniemożliwiającego postęp

wojnę o duszę, Waters odpowiada, że nie, ponieważ nawet jej nie podjął.

Jego zdaniem społeczeństwo irlandzkie dotknął syndrom postkolonialny, charakterystyczny dla wielu narodów, które przeszły jednocześnie proces zdobywania niepodległości, a zarazem gwałtownej modernizacji i szybkiego bogacenia się. Pojawił się więc pewnego rodzaju kompleks niższości związany z własną tradycją traktowaną nie jako powód do chluby, lecz raczej wstydu. Katolicyzm zaczęto uważać za coś nienowoczesnego oraz uniemożliwiającego postęp.

BONO LOBBUJE ZA GEJAMI

Dzieje sekularyzacji w Irlandii dobrze ilustruje przykład znanej na całym świecie grupy muzycznej U2. Od początku swego istnienia w latach 70. nie ukrywała ona swych chrześcijańskich inspiracji. Lider zespołu wokalista Bono, gitarzysta The Edge i perkusista Larry Mullen

deklarowali się jako głęboko wierzący chrześcijanie. W jednym z wywiadów w 1979 r. 19-letni Bono wyznał, że w swej twórczości U2 porusza kwestie duchowe, które inne kapele ignorują.

W miarę robienia coraz bardziej oszałamiającej kariery międzynarodowej duchowości w repertuarze grupy było coraz mniej. Tak charakteryzował ich wówczas publicysta tygodnika „New Musical Express”: „To muzyka, która obnaża hipokryzję, usuwa poczucie winy, piętnuje patriarchat i autorytaryzm i sama w sobie stanowi bezpośredni atak na to, co uważam za tradycyjne wartości chrześcijańskie”.

Mimo to Bono cały czas przyznawał się do chrześcijaństwa. Ostentacyjnie nosił różaniec. Spotkał się z Janem Pawłem II, któremu podarował swoje okulary. Angażował się w akcje charytatywne w krajach Trzeciego Świata. Mówił, że Jezus jest Bogiem i modli się do Niego.

Z drugiej strony jednak coraz częściej wypowiedzi członków zespołu rozmięły się z nauką Kościoła. Apogeum owych rozbieżności przyniósł rok 2015, gdy w Irlandii odbyło się wspomniane referendum na temat prawnego zrównania związków jedнопłciowych z normalnymi małżeństwami. Okładka wydanego rok wcześniej albumu U2 „Songs of Innocence”, przedstawiająca dwóch półnagich homoseksualistów, dawała wiele do myślenia. Podczas kampanii grupa aktywnie się jednak włączyła we wspieranie środowisk gejowskich. W wywiadzie dla „Irish Time” Bono powiedział: „Małżeństwo należy do ludzi. To oni decydują. To nie jest religijna instytucja”. Tym samym zaprzeczył sakramentalnemu charakterowi wspólnoty małżeńskiej, o którym mówi nauczanie Kościoła.

ŚMIERTELNE „UCHYLENIE”

Także w tym roku – w trakcie kampanii poprzedzającej referendum w sprawie dopuszczalności aborcji na życzenie – wszyscy w Irlandii zastanawiali się, jakie stanowisko zajmie tym razem Bono, wciąż deklarujący swój



Dzieje sekularyzacji w Irlandii dobrze ilustruje historia znanej na całym świecie grupy muzycznej U2. Od początku swego istnienia nie ukrywała ona swych chrześcijańskich inspiracji. Ale potem poparła zarówno małżeństwa homoseksualne, jak i prawo do aborcji na życzenie

Fot. Fabio Diema/Shutterstock.com

katolicyzm. Tym bardziej że wcześniej głos zabrało wiele znanych postaci ze świata kultury. Hollywoodzki aktor irlandzkiego pochodzenia Liam Neeson nagrał spot, w którym nawoływał do odrzucenia 8. poprawki do konstytucji chroniącej życie nienarodzonych. W odpowiedzi działacze pro-life cytowali słowa Delores O'Riordan, zmarłej w styczniu wokalistki zespołu Cranberries, która zdecydowanie opowiadała się za prawną ochroną życia poczętego.

Grupa U2 zajęła w sprawie wyraźne stanowisko, zamieszczając na Instagramie i na Twitterze rysunek czerwonego serca, a w nim napis: „Repeal the 8th”, czyli wzywając wprost do uchylecia 8. poprawki do konstytucji. Wywołało to reakcję m.in. 44-letniego fotografa Petera Rowena, którego twarz jako dziecka zdobiła okładki przebojowych płyt U2: „Boy” w 1980 i „War” w 1983 r. Napisał on na Facebooku: „To bardzo smutne widzieć, do czego doszedł ten zespół (który kiedyś wyznawał silną chrześcijańską wiarę). [...] Mówi nam się, że to kwestia praw człowieka, ale od kiedy ludzie mają prawo do kończenia życia innych ludzi?”.

Głos zabrał również John Waters, który od kilkunastu lat doskonale zna członków kapeli. Napisał nawet książkę pt. „Race of Angels. Ireland and Genesis of U2”. Dobrze zna zespół i jest długoletnim irlandzkim pisarzem oraz dramaturgiem zajmującym się głównie prawami człowieka w świetle Chrystusa. W swym komentarzu przedreferendalnym napisał:

„W miarę zbliżania się terminu słyszymy wszystkie wyszukane uzasadnienia. Tylko ludzie zwiędzeni przez hipnotyczną propagandę – i ci, którzy nie dbają o konsekwencje – mogą naprawdę to kupić. Tzw. uchylenie polega na wzmocnieniu przewagi silnych nad słabymi, zdecydowanych i roszczeniowych nad cichymi i posłusznymi”.

A jednak nie byłem zaskoczony, gdy U2 opowiedziało się za uchYLENIEM. To była tylko kwestia czasu. Najgłośniejszy na świecie zespół folk-rockowy zmierza w tym kierunku od lat, a jego wczesne przekazywanie prawdy stopniowo ustępuje miejsca popieraniu postulatów liberalnych. W 2015 r. U2 w kolejnym irlandzkim referendum poparło fałszywą ideę małżeństw homoseksualnych. 25 maja stanowi kolejny krok w kontynuacji tej progresywnej drogi.

Jednak przerażenie, jakie odczuwałem, gdy usłyszałem o poparciu zespołu dla mordowania dzieci, nie było spowodowane tym, co mówili, lecz raczej tym, jak to zrobili. 2 maja grupa opublikowała na Instagramie i na Twitterze grafikę stworzoną przez modną firmę projektową Maser, pokazującą frazę „Uchyl ósmą” wciśniętą w miłosne serce. Słowo „uchylenie” okazuje się najsłodsza parodią dziecka czekającego w łonie matki na śmierć: oto miłość w ciąży ze śmiercią. Śmierć przez eufemizm, śmierć przez zadławienie lisim słowem, śmierć stworzona po to, by wyglądać jak życie.

TOŻSAMOŚĆ KONSTYTUCYJNA?

25 maja obywatele Irlandii miażdżącą przewagą ponad dwóch trzecich głosów zdecydowali w powszechnym referendum o uchyleniu 8. poprawki do konstytucji chroniącej życie nienarodzonych. Droga do aborcji na życzenie została otwarta.

W preambule konstytucji (pochodzącej z roku 1937) możemy przeczytać następujące słowa: „W imię Trójcy Przenajświętszej, od Której pochodzi wszelka władza i do Której muszą być skierowane – jako cel ostateczny – wszelkie ludzkie uczynki i działania państwowe, My, lud Éire, pokornie uznając wszelkie nasze obowiązki wobec naszego Świętego Pana, Jezusa Chrystusa, Który wspomagał naszych ojców przez wieki próby, z wdzięcznością pamiętając ich heroiczną i nieustanną walkę o odzyskanie przez nasz Naród należnej mu niepodległości, oraz dążąc do działań na rzecz dobra wspólnego, poprzez stosowanie w praktyce Rozwagi, Sprawiedliwości i Miłosierdzia, w taki sposób, aby zapewnić godność i wolność jednostce, wprowadzić zasady porządku społecznego, przywrócić jedność naszego kraju i dojść do zgody z innymi narodami, niniejszym uchwalamy, ogłaszamy i nadajemy sobie tę Konstytucję”.

Słowa te znaczą dziś tyle, co papier, na którym zostały napisane. A Bono zapewne dalej będzie śpiewał o miłości i przekonywał, że jest gorliwym katolikiem.

Demokracja jest liberalna, a Ziemia jest płaska...

Może nie? Ależ tak, tak. Już prawie ją przyswoiliśmy, pracowaliśmy nad nią od jakichś 60 lat. Udało się przekonać ludzi, że żyją na płaskiej planecie, na której panuje płaska ideologia i płaskie elity stłoczone na jedynej wystającej piramidzie, zakończony okiem masonskim obserwującym masy poruszających się w różnych kierunkach osobników, niesłusznie zróżnicowanych rasowo, płciowo i religijnie. To wiszące nad piramidą oko zapowiada globalizację i nowy porządek świata, który jeszcze nie nastąpił, ale nastąpi, jeśli ta dzicz ziemską zrozumie, że tylko iluminaci („oświeceni”) Sorosa dadzą jej żyć w zgodzie z władzą świata, która zapewnia im byt, opierunek i rozrywkę. To wszystko, czego potrzebuje istota czelakowata, nienadająca się do decydowania o sobie, swoich bliskich, swym kraju, wywołujących zamieszanie i niepokoje utrudniające organizowanie tego nowego porządku, zaplanowanego i pilnowanego przez Księcia Ciemności, Lucyfera i służących mu masonów.

To wszystko zaczęło się w XVIII w. w Bawarii (wygląda na to, że całe zło leżnie się w plemieniu germańskim), ale dopiero teraz nabrało tempa, dzięki technicznym zdobyczom w dziedzinie komunikacji międzyludzkiej. Codziennie ludzkość jest bombardowana ideologią zrównania wszystkich ze wszystkimi, z wyłączeniem establishmentu, tych liberalnych skorumpowanych demokratów, rasy panów życia i eutanazji podludzi.

I tak ma być. Na naszej płaskiej planecie rządzą ćwierć i półinteligenci, wykształceni na uniwersytetach dla wszystkich, czyli globalnych. I zgodnie z nowym porządkiem każdy powinien mieć to wyższe wykształcenie, ci, co go nie mają, to prowincjusze, zacofańcy, prymitywy wierzące w Boga i w przyzwoitość. Młodzi wykształceni z dużych miast to nie jest zjawisko tylko polskie, ono jest międzynarodowe i kosmopolityczne. Oni mają rządzić tzw. zachodnim światem, gdy dzieci kwiaty odejdą na emeryturę.

Wykształciuchy tym się różnią od ludzi, że pozbawiono ich zdolności samodzielnego myślenia, odróżniania dobra od zła, mądrości od głupoty, a piękna od brzydoty. Powtarzają jak papugi po jakimś Timmermansie czy innej Gersdorf, Applebaum i Thun komunały o łamaniu praworządności i demokracji liberalnej, nie mając pojęcia o prawdziwej demokracji, bo tego nie zawiera program ich uczelni. Są zniewoleni, ale



dano im wolność plucia na wszystko, co zagraża owej demokracji, a więc na Kościół katolicki, na zasady moralne, na uczciwość i przyzwoitość oraz wrażliwość na ludzką krzywdę, jako fanaberie ograniczające wolność jednostki.

Instrumentem masowej inwigilacji ludzi o konserwatywnych poglądach jest chaos. W chaosie łatwiej jest dopaść przeciwnika politycznego, atakując go znienacka za pomocą fejkniusów, fałszywych oskarżeń i dwuznacznych podejrzeń. I w tym te wykształciuchy i ich patroni są dobrzy, nawet bardzo dobrzy. Mogą sobie pozwolić na każde świństwo, bo liberalne prawodawstwo, w tym konstytucje, jest tak skonstruowane, że można je swobodnie interpretować, czyniąc człowieka niewinnego świnią i przestępcą, a świnię człowiekiem, bo korzysta z wolności liberalnej, czyli z hipokryzji i kłamstwa.

Zatem znaleźliśmy się w wolnej niewoli, poddając się płyciźnie życia w stadzie pogardzanym przez ludzi bez wartości, bez ideałów i bez przyszłości. To są ci turboliberalowie, którzy doszli do wniosku, że już opanowali europejską cywilizację, a tych, którzy są nieliberalami, mogą zniszczyć, wykorzystując do swych celów uzależnione ideologicznie sądy. Można też, jak w przypadku Włoch, obalić rząd konserwatywny, zanim się uformował – w obronie owego liberalizmu, który doprowadził słoneczną Italię do bankructwa. Wystarczy mieć do dyspozycji prezydenta zdalnie sterowanego z Brukseli.

To się musi źle skończyć, gdyż w Europejczykach obudził się instynkt samozachowawczy, co stało się po przyzwoleniu na najazd milionów muzułmanów na kontynent. Przyzwoleniem globalistów od Sorosa i Rockefellera, oraz pozostałych władców płaskiej Ziemi. Lecz prędzej czy później pojawią się na niej góry i doliny, nie do pokonania dla bezmyślnego, kulawego i ślepego na jedno oko establishmentu, zbaraniałego ze strachu przed nieliberalną demokracją, która nadchodzi. Bo życie nie znosi próżni, świata bezideowego, tępego, oferującego tandetę globalną zamiast kultury, sztuki i nauki z prawdziwego zdarzenia. Ziemia jest bowiem planetą ludzi, a nie Stalińskich, Grossów, Stuhrow i politycznych oferm z Ciamajdanu.



Fot. Shutterstock



PIOTR SKWIECIŃSKI

Polacy ponieśli duże straty – 5 mln 600 tys. Współczujemy tragedii polskiego narodu. Rozumiemy lepiej niż ktokolwiek, co to znaczy. Nie rozumiemy tylko jednego – dlaczego dziś polscy goście w rosyjskich studiach telewizyjnych mówią, że niemiecka i radziecka okupacja to było to samo. Co – my zabiśmy u was 5,6 mln ludzi? Obozy koncentracyjne dla milionów u was zbudowaliśmy? I te miliony wymordowaliśmy? Nie. Dlaczego więc tak twierdzicie? Głaza waszi bieszytyże [bezwstydne są wasze oczy.]” – mówił w swoim telewizyjnym programie bardzo znany (i bardzo utalentowany) nacjonalistyczny pisarz rosyjski Zachar Prilepin.

Ważny jest kontekst – Prilepin mówił to w programie poświęconym rocznicy zwycięstwa nad Niemcami. Przypomina też, ile jaki kraj stracił w czasie wojny ludności; oczywiście w tej konkurencji porównania ze Związkiem Radzieckim nie wytrzymuje żaden. Przedtem wymienia całą listę państw sojuszników III Rzeszy, delektuje się liczbami żołnierzy posłanych przez nie na pomoc Hitlerowi. Przesłanie programu zawiera krótkie zdanie: „Uratowaliśmy Europę przed Europą”.

OBSESJA NA TLE NIEWAŻNYCH

Rozpowszechniona opinia, w której myśl Polska Rosjan nie obchodzi, jest tylko w części prawdziwa. Owszem – ogromnej większości Rosjan nasz kraj jest rzeczywiście obojętny, a relatywnie często można się nawet spotkać z przejawami pewnego rodzaju do niego sentymentu. Zarazem jednak istnieją szczupłe, ale aktywne ośrodki nacjonalistyczne, przejawiające nie tylko polonofobię, lecz wręcz coś w rodzaju obsesji na naszym punkcie. Przy czym ich elukubracje często wyglądają nie logicznie: z jednej strony dowodzą ze

Bezwstydne polskie oczy

Aby uodpornić Rosjan na wszelkie wpływy z Zachodu, prokremlowscy intelektualiści dokonują wielkiej operacji narracyjnej. Jednym z używanych w niej narzędzi jest Polska

wszystkich sił, jaka ta Polska jest mała, słaba i zupełnie nieważna, by za chwilę przedstawić ją jako coś niezwykle dla Rosji szkodliwego, wpływowego wręcz w skali międzynarodowej. Przedstawić, dodajmy, z reguły w formie bardzo emocjonalnej, co samo w sobie jest sprzeczne ze standardową rosyjską narracją o Polsce jako kraiku nieistotnym i niegodnym zainteresowania ludzi poważnych.

Wyraziciele tych poglądów są zarazem bardzo uwrażliwieni na wszelkie przejawy zainteresowania nimi ze strony polskich mediów i, bywa, pilnie je pod tym kątem śledzą. Gdy kiedyś odnotowałem na portalu wPolityce.pl jakiś szczególnie absurdalny, antypolski materiał agencji Regnum (ważny nacjonalistyczny ośrodek medialny, przy tym mocno zafiksowany antypolsko), też agencja natychmiast z satysfakcją napisała o tym moim tekście. I z tego powodu, szczerze mówiąc, tworząc ten artykuł, odczuwam pewien opór – bo jest pewna szansa, że oni go dostrzegą, i to, że jakiś „pszek” (to pogardliwe rosyjskie określenie Polaka) pisze o nich, dostarczy im chorobliwej radości.

Mimo to zdecydowałem się pisać, mam bowiem wrażenie, że antypolskich materiałów w różnego rodzaju rosyjskich mediach jest ostatnio coraz więcej. I wydaje mi się, że wiem dlaczego.

„ŁOŻ POSPOLITA”

Bardzo charakterystyczna dla tego nurtu jest „Łóż Pospolita” (pospolite kłamstwo, ale też świadomie prowokacyjne nawiązanie do słowa „rzeczpospolita”) niejakiego Armena Gaspariana. Jest to dziełko kuriozalne, ale ważne. Pozostaje bowiem Gasparian postacią poniekąd oficjalną – szefem jednego z oddziałów państwowej agencji Rossija Siegodnia – utworzonej na bazie dawnej agencji Nowosti, ogromnej instytucji medialnej, w której skład wchodzi m.in. słynny, publikowany w wielu językach, propagandowy portal Sputnik. Jest z nią też związana telewizja RT.

To, co pisze Gasparian, aż trudno streścić, tyle bowiem jest w jego publikacji absurdów o zapierającej dech w piersiach skali. Nie chodzi przy tym wyłącznie o absurdalne interpreto-

wanie faktów, ale również o pospolite kłamstwa, a także przejawy totalnej ignorancji. Tytułem przykładu: autor wyraźnie w ogóle nie wie o związkach Jana Grossa z Polską i nazywa go po prostu „amerykańskim historykiem”. Zdaniem Gaspariana w 1945 r. w czasie pogromu w Krakowie Polacy zamordowali... 351 Żydów (w rzeczywistości była tam jedna ofiara śmiertelna). W 1943 r. zaś rząd Sikorskiego... zerwał stosunki dyplomatyczne z ZSRR (w rzeczywistości zerwała je Moskwa).

Takie przykłady można by mnożyć, ale znacznie większą rolę odgrywają w książce kłamstwa innego typu – interpretacyjne. A także dokonywane przez przemilczenie.

Również tytułem przykładu: wojna 1920 r. według Gaspariana zaczęła się od polskiego ataku na Kijów. Tego, że trwała w tym momencie już półtora roku, i tego, że władze radzieckie przygotowywały ofensywę konieczną dla zrealizowania ich podstawowego politycznego celu – połączenia rewolucji rosyjskiej z rewolucjami na Zachodzie – nie pisze, a to przecież do oceny ówczesnej decyzji Piłsudskiego fakt podstawowy.

O kwestii radzieckich jeńców zmarłych w polskiej niewoli pisze tak, jakby byli oni celowo eksterminowani. Wielokrotnie zestawia (skądinąd wstrząsające i nieprzynoszące Polsce chwały) przykłady głodu i braku opieki medycznej nad jeńcami z tym, jak 20 lat później radzieckich jeńców traktowali Niemcy, a także – z Katyniem. Jest to oczywiście absurdalne, bo w odróżnieniu i od Katynia, i morzenia głodem jeńców z Armii Czerwonej przez hitlerowców, polskie władze nie wydały eksterminacyjnych rozkazów (nie mówiąc już o tym, że inaczej niż Niemcy z okresu II wojny nie kierowały się rasistowską ideologią) – można zarzucić im co najwyżej zaniedbania i brak troski. Sam Gasparian chcąc zilustrować potworności będące udziałem jeńców, przytacza raporty wstrząśniętych polskich oficerów usiłujących skłonić wyższe dowództwo do zmiany tej sytuacji; przecież samo istnienie tych dokumentów świadczy o zasadniczej różnicy między walczącą Polską a późniejszą despotią Stalina czy III Rzeszą, ale autor „Łży Pospo-

litej” udaje, że tego nie rozumie. Albo naprawdę nie rozumie.

Zarzuca Polsce, że nie wykonywała zapisów traktatu ryskiego, dopuszczając do istnienia w naszym kraju antyradzieckich organizacji ukraińskich i rosyjskich, a nawet zezwalając tym pierwszym na przeprowadzenie, już po podpisaniu pokoju, rajdu na pozostawioną po wschodniej stronie granicy część Wołynia. Niby zgodnie z prawdą, ale... czynienie z tego zarzutów niejako w imieniu państwa, którego zasadniczą doktryną było realne nieuznawanie czegoś takiego, jak suwerenność innych krajów i dokonywanie w nich wszelkimi sposobami rewolucji, ingerowanie w ich sprawy wewnętrzne wszelkimi sposobami, od sponsorowania politycznej agentury do nasyłania zbrojnych oddziałów dywersyjnych (przecież aż do połowy lat 20. polskie Kresy północno-wschodnie stały w ogniu na skutek działalności przysyłanych z radzieckiej Białorusi partyzantów), jest nieco groteskowe.

A jak określić to, że Gasparian politykę Warszawy wobec prawosławia określa jako „prześladowania okrutniejsze niż w ZSRR”? Dosłownie tak. Przypomnijmy dla porządku, że w naszym kraju zamknięto część prawosławnych świątyń, w Związku Radzieckim zaś nie tylko zamknięto je niemal wszystkie, lecz również zabraniano wyznawania wiary i masowo mordowano kapłanów. Ale cóż, skoro dla Gaspariana podejmowane wtedy próby polonizacji Cerkwi poprzez tłumaczenie na język polski tekstów liturgicznych to przejaw walki z religią brutalniejszej niż w ZSRR, bo w Związku Radzieckim nikt nie kazał przepisać Pisma Świętego, aby było zgodne z ideologią marksistowską (to cytat), to o czym my w ogóle mówimy... Skądinąd zdaniem autora „Łży Pospolitej” polskim władzom chodziło tu o spolonizowanie istniejącej jego zdaniem w II RP ludności... rosyjskiej. Używa bowiem formuły „russkoje nasilenie”, a nie „Ukraińcy” czy „Białorusini”.

Ogólnie Polska jest źródłem nieustannego rosyjskiego cierpienia. To pomoc żywnościowa dla Polski doprowadziła przecież do głodu na radzieckiej Ukrainie bezpośrednio po II wojnie światowej...

ŚWIATOWY POLSKI SPISEK

Najważniejszy jest jednak zasadniczy obraz, konsekwentnie budowany przez Gaspariana. Otóż kreuje on wizję Polski, w której politycy (niezależnie od opcji i niezależnie od okresu – dotyczy to według niego w tym samym stopniu lat 20. i dwutysięcznych) zajmują się nieustannie Rosją jako głównym problemem. W której Rosja jest nieustannie najważniejszym politycznym tematem.

„Przez 100 ostatnich lat państwo polskie robiło wszystko, co możliwe, żeby rozbudzić w swoich obywatelach antyrosyjskość. Nie ma innego państwa, które by tak konsekwentnie, z taką nieskrywaną nienawiścią walczyło przeciw wszystkiemu, co rosyjskie, tak jak robią to Polacy” – pisze Gasparian.

Nie muszę chyba przekonywać czytelników, że choć zjawisko (historycznie uwarunkowanej) fiksacji na temat Rosji do pewnego stopnia w Polsce istnieje, to bynajmniej nie jest wszechogarniające. Tymczasem Gaspariana wizja antyrosyjskiego polskiego spisku momentami przypomina wręcz wizję światowego spisku żydowskiego w wersji najbardziej obsesyjnych antysemitów. Przypisuje on Polakom demoniczną wręcz sprawczość, skądinąd dość zasadniczo sprzeczną z opinią, jaką my mamy sami o sobie. Polska z jego majaczeń jest bowiem nie tylko trwale owładnięta antyrosyjskim szaleństwem, lecz także skutecznie rozpowszechnia je na Zachodzie.

Przy czym, dodajmy, dotyczy to wszystkich Polaków. Czegoś takiego jak próba polsko-rosyjskiego resetu za rządów PO w świecie Gaspariana w ogóle nie było. A po katastrofie smoleńskiej Polacy jak jeden mąż (wynika z tego niedwuznacznie, że ówczesny polski rząd też czy wręcz przede wszystkim) oskarżyli Rosję o zamordowanie prezydenta Kaczyńskiego. Trudno się więc dziwić, że mając do czynienia z takim natężeniem szaleńczej nienawiści i złej woli, rosyjski rząd – słusznie – nie oddaje Polsce wraku tupolewa, bo przecież jasne jak słońce jest, że mając szczątki, Polacy sfalszowaliby badania tak, żeby wyszło, że był to zamach.

By uzasadnić tezę o ogarniętej antyrosyjskim oblędem i prowadzącej nie-

To, co pisze Armen Gasparian, aż trudno streścić, tyle bowiem jest w jego publikacji absurdów o zapierającej dech w piersiach skali



Fot. East News/Vladimir Trifilov/Spuntnik

ustanną agresję wobec Moskwy Polsce, Gasparian musi się wręcz uciekać do kłamstw. Z ogniem zwalcza polskie tezy czy żądania wobec Rosji, które po prostu nie istnieją. Czy ktoś na przykład słyszał, jakoby nasz kraj żądał od Rosji... przeprosin za udział w tłumieniu powstania warszawskiego kolaboracyjnych formacji rosyjskich? Albo by nasz rząd domagał się obecnie wypłacenia przez Kreml kwot, które zgodnie z traktatem ryskim Rosja miała przekazać Polsce jako jej udziału w majątku dawnego imperium carów? Albo żeby „Polacy” (jak zwykle Gasparian sugeruje, że wszyscy i z rządem na czele) oskarżali ZSRR o zawarcie z hitlerowskimi Niemcami porozumienia o... wspólnej eksterminacji Żydów? Oczywiście nikt o tym nie słyszał, bo moskiewski politolog wszystko to sobie po prostu wymyślił.

Niech państwo uwierzą, że rejestr dokonywanych przez niego różnego rodzaju pospolitych kłamstw, a także nieco bardziej wyrafinowanych manipulacji zająłby kilkakrotną objętość tego artykułu.

MISTYCZNY SAKRAMENT

Ale w zasadzie po co to wszystko? Dlaczego Gasparian, postać, powtórzmy, oficjalna (a na wyższym poziomie intelektualnym również Prilepin, który jeszcze kilka lat temu zdradził się z opinią, że Polacy tym odróżniają się od innych ludzi Zachodu, że Rosjanie nie potrafili ich w żaden sposób oszukać, bo Rosjan za dobre znają i są odporni na stosowane przez nich chwytów psychologiczno-propagandowe), to czyni? I dlaczego tego rodzaju tekstów pojawia się w Rosji coraz więcej?

Rozczaruję państwa. Tu tak naprawdę nie chodzi o Polskę. A w każdym razie nie tylko i nie przede wszystkim.

Zasadniczą przyczyną jest potrzeba domknięcia i wzniesienia na jeszcze wyższy poziom podstawowej rosyjskiej narracji. Narracji kreującej wizję, w której myśl bezgrzeszna Rosja jest obiektem nieustannej agresji ze strony całego Zachodu. Kluczowym jej elementem jest kod Wielkiej Wojny Ojczyźnianej – jako mistycznego sakramentu, który Rosję oczyścił i dał jej – jako zbawcy ludzkości – wieczne usprawiedliwienie wszystkiego, czego dopuściła się w przeszłości i może dopuścić w przyszłości.

To pozostaje aktualne, ale obecnie obserwujemy próby rozbudowy tego obrazu świata. Teraz Rosjanie mają uwierzyć nie tylko w to, że uratowali świat, lecz również w to, że ratowali go wistocie sami. Więcej – że tak naprawdę cały świat zachodni był po stronie Hitlera, bo czeskie fabryki produkowały dla niego armaty, Belgowie, Holendrzy, Francuzi i neutralni Skandynawowie wysyłali ochotników, a zachodni alianci realnie nie walczyli. Że, by przywołać jeszcze raz cytowane na początku tego tekstu zdanie Prilepina, „uratowaliśmy Europę przed nią samą”.

Polska jest dla propagatorów tej wizji problemem, bo trudno wpisać ją w ów obraz. Trzeba ją więc zohydzić, przy okazji intensyfikując fantazmaty o Rosji jako samotnej, wiecznej ofierze rozmaitych podłości. Ta szczepionka ma uodpornić Rosjan na wszelkie wpływy z Zachodu.

Ot, po prostu wielka operacja politologiczno-psychologiczna, w której jesteśmy tylko jednym z narzędzi. ▀



Co gryzie Fransa Timmermansa

Dlaczego tak się uparł, by wbrew faktom wygrać spór o „praworządność” z Warszawą? Bo jego gwiazda w Brukseli powoli gaśnie, przegrał też w Holandii, a innego pomysłu na kontynuowanie kariery politycznej nie ma



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Ponad dekadę temu wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej, holenderski dyplomata Frans Timmermans – jak wyznał w rozmowie z dziennikiem „Financial Times” – miał „coś w rodzaju kryzysu egzystencjalnego”. Przez niemal całą polityczną karierę forsował pogłębienie integracji europejskiej, a jego rodacy w 2005 r. odrzucili w referendum traktat konstytucyjny dla UE, który pomógł negocjować jako członek Konwentu w Sprawie Przyszłości Europy, kierowanego przez Valéry’ego Giscarda d’Estaing. „2005 r. był dla mnie bardzo trudny. Chciałem opuścić politykę. Uznałem, że się pomyliłem” – tłumaczył w rozmowie z „FT”. Ale zamiast tego – jak pisze brytyjska gazeta – przez miesiąc jeździł po swoim okręgu wyborczym na rowerze, rozmawiał z ludźmi i doszedł w końcu do wniosku, że nie wszystko jest jeszcze stracone, że został po prostu źle zrozumiany. „Postanowiłem więc, że wytłumaczę im to jeszcze raz. Europejski projekt ma wiele do zaoferowania. Wymaga po prostu unowocześnienia” – podkreślił.

HYDRAULIK

Dekadę później został wiceszefem Komisji Europejskiej, odpowiedzialnym za lepszą regulację, relacje międzyinstytucjonalne, rządy prawa i Kartę praw podstawowych. Jak pisze portal Politico, jego nominacja została przyjęta z ogromnym entuzjazmem przez europejskie media. Jako prawa ręka przewodniczącego Komisji Europejskiej Jeana Claude’a Junckera miał się stać najbardziej wpływowym urzędnikiem w Brukseli, a KE miała być znana jako „Komisja Timmermansa”. To on miał negocjować Brexit i sterować brukselską egzekutywą z tylnego siedzenia. Stało się jednak inaczej.

Komisją steruje nie on, ale jej sekretarz generalny, a dawniej szef gabinetu Junckera, Bawarczyk Martin Selmayr. Rolę negocjatora Brexitu otrzymał Francuz Michel Barnier, a Timmermansowi przypadła funkcja – jak zgrabnie ujęło to Politico – „hydraulika”. Człowieka od brudnej roboty, który musi rozwiązywać kryzys imigracyjny, negocjując z Turcją, brać w obronę zduszenie przez Madryt niepodległościowego zrywu w Katalonii, szarpać się z Polską ws. praworządności i z Parlamentem Europejskim o kompetencje. Rola czarnego charakteru okazała się trudna dla polityka, który jest nad wyraz ambitny i jako szef holenderskiej dyplomacji (piastował ten urząd od 2012 do 2014 r.) był także bardzo popularny.

Chwalono go przede wszystkim za postawę po zestrzeleniu przez siły prorosyjskie samolotu MH-17 nad Donbasem. W katastrofie zginęło 193 Holendrów. A Timmermans odzyskał wrak, co pozwoliło na przeprowadzenie śledztwa i ustalenie winnych. Wielu Holendrów wciąż wspomina jego przemówienie po katastrofie w ONZ, wygłoszone wyraźnie drżącym głosem. Chwalono go za wrażliwość, ale także za zdecydowanie. Gdy opuszczał MSZ, był najbardziej popularnym politykiem Holandii. Przypisano mu rolę bohatera i on w nią uwierzył. Tę rolę miał dalej odgrywać w Komisji Europejskiej. Przekonany Europejczyk, posługujący się siedmioma językami, w tym rosyjskim, wydawał się predestynowany do wielkiej kariery w Brukseli.

Tyle że zadania, które otrzymał, okazały się niewdzięczne. A Timmermansa poza ambicją, uporem i przywiązaniem do reguł, jak twierdzą niektórzy unijni dyplomaci, cechuje także pewne oderwanie od rzeczywistości. Wynika to zapewne po części z jego wychowania. Jego ojciec, były policjant, zajmował się ochroną holenderskich ambasad. Timmermans, urodzony w 1961 r., dorastał trochę tu, trochę tam i w konsekwencji jest kosmopolitą, który słabo rozumie narodowe sentymenty. Dlatego odrzucenie traktatu konstytucyjnego przez Holendrów w 2005 r. było dla niego takim szokiem. Podobnie jak umocnienie się „prawicowego populizmu” na holenderskiej scenie politycznej po

zamachu na World Trade Centre oraz zabójstwo prawicowego i krytycznego wobec islamu polityka Pima Fortuyna. We wrześniu 2002 r. Timmermans pisał, że „powinno być absolutnie jasne, że taki kraj jak Holandia ma interes w powstaniu federalnej Europy, wyposażonej w silne instytucje”. Rosnący eurosceptycyzm jego rodaków to coś, czego były szef MSZ Holandii nie rozumie do dziś. Ludzie, którzy mieli okazję z nim pracować, opisują go jako kogoś, kto lubi wygrywać spory. „Delektuje się własną wiedzą” – powiedziała o nim jego była koleżanka z Partii Pracy (PvdA) Jeltje van Nieuwenhoven.

WARSZAWA, CZYLI OSTATNIA SZANSA

A teraz Timmermans się uparł, by wygrać spór o praworządność z Warszawą. Jak twierdzi Politico, nie ma on dziś zresztą innego wyboru. Jego gwiazda w Brukseli powoli gaśnie, a innych opcji kariery raczej mieć nie będzie.

Były minister spraw zagranicznych Holandii całe życie angażował się na rzecz federalnej Europy, najpierw jako dyplomata (był m.in. drugim sekretarzem ambasady królestwa Niderlandów w Związku Sowieckim), a potem jako asystent holenderskiego komisarza UE Hansa van den Broeka rzecznikiem ds. europejskich holenderskiej Partii Pracy i wiceministrem ds. europejskich. Prezentował się przy tym jako zagorzały socjaldemokrata, który nie stroni od krytykowania nawet tych polityków, od których zależy jego kariera. Gdy premier Holandii liberal Mark Rutte powiedział w Davos, że „nie potrzebujemy Europy ani rządu gospodarczego, tylko rynku”, Timmermans odpowiedział: „Tak, tak. To nastawienie doprowadziło do kryzysu bankowego i powoduje, że takie korporacje jak Apple nie płacą podatków”. Było to ryzykowne posunięcie. Partia Timmermansa poniosła bowiem dotkliwą porażkę w wyborach parlamentarnych w 2017 r., zdobywając zaledwie 5,7 proc. głosów, wyleciała z koalicji rządzącej i jest dziś na skraju rozpadu. To oznacza, że nie ma on do czego wracać, gdy w 2019 r. jego kadencja jako wiceszefa KE się skończy. Jego jedyną nadzieją jest to, że Rutte znów

nominuje go do Komisji. A to jest obecnie więcej niż niepewne.

Z jednej strony dla tak małego kraju jak Holandia funkcja wiceprzewodniczącego brukselskiej egzekutywy to cenna pozycja, ale z drugiej Rutte ma interes w tym, by nominować kogoś z własnych szeregów lub spośród partnerów koalicyjnych Partii Ludowej na rzecz Wolności i Demokracji (VVD). „Ta cała sytuacja ma cechy osobistej tragedii. Dla niego ta pozycja to spełnienie marzenia” – ocenił w rozmowie z Politico holenderski publicysta Tom-Jan Meeus. Timmermans ma więc niewiele do stracenia. Prowadząc twardo procedurę praworządności przeciwko Polsce, ma szansę zapisać się na kartach historii. Pozostawić coś po sobie. O Jacques’u Delorsie dziś wciąż wszyscy mówią. Czy za kilka lat będą także mówić o Timmermansie? On ma najwyraźniej taką nadzieję. W najlepszym wypadku kolejna kadencja, w najgorszym odejście z honorem. To pasuje – jak twierdzą niektórzy – do postaci: Timmermans zawsze miał skłonność do pompatyczności.

Łatwo więc przewidzieć, jak sprawy dalej toczyć się będą na linii Bruksela–Warszawa. Wiceszef Komisji Europejskiej będzie usiłował wydusić od polskiego rządu jak najdalej idące koncesje, czyli zmiany w reformie sądownictwa. Prócz osobistej ambicji i ideologicznego zaciętrzewienia kieruje nim chęć ochrony Komisji przed utratą twarzy. Pójście na ustępstwa po miesiącach retorycznych uniesień i gróźb zostałoby uznane za dowód na to, że KE to papierowy tygrys, a procedura z art. 7 TUE, która miała pozwolić brukselskiej egzekutywie m.in. na poszerzenie kompetencji kosztem Rady Europejskiej, to bezużyteczny straszak.

Kiedyś Timmermans będzie jednak musiał zawrzeć kompromis z władzami nad Wisłą. Po pierwsze, bo nie może dopuścić do złożenia weta przez Węgry na ostatnim etapie procedury, a po drugie, bo jego szef Jean-Claude Juncker także myśli o kartach historii. A na tych kartach były premier Luksemburga chciałby się zapisać nie jako „ten od Brexitu, sporu z Polską i rajów podatkowych”, tylko jako ten, który zachował jedność Europy w czasach

Nierównowaga w strefie euro, podział na wierzycieli i dłużników służy niemieckiemu eksportowi. Kanclerz Merkel zdecydowała więc, że żadnej przebudowy wspólnej waluty nie będzie



kryzysu. Tym bardziej że jest pod silną presją Niemiec, którym na tej jedności szczególnie zależy, a kolejny problem rysuje się już na horyzoncie, o wiele większy niż Polska czy Węgry. Tym problemem są Włochy, gdzie utworzyła się euroscpetyczna i antysystemowa koalicja Ruchu Pięciu Gwiazd i Ligi Północnej, która proponuje m.in. wyjście kraju ze strefy euro. A jak wynika z sondażu przeprowadzonego przez instytut Fondapol, zaledwie 45 proc. Włochów jest obecnie za zachowaniem wspólnej waluty. Jak napisał trafnie portal Euractiv.com, we Włoszech zawiązała się koalicja, „jakiej Europa jeszcze nie widziała”. I nie wie, co z nią zrobić.

POD PRESJĄ

To nie oznacza oczywiście, że temat praworządności za kilka tygodni, a może miesięcy, wraz zawarciem kompromisu na linii KE–polski rząd po prostu zniknie. Nie. Powróci podczas negocjacji nad przyszłymi ramami finansowymi UE na lata 2021–2027, o czym zresztą otwarcie mówi Komisja, która pracuje obecnie nad sposobem łączenia wypłaty środków z polityki spójności z przestrzeganiem przez dany kraj zasad państwa prawa. Reguły mają obowiązywać wszystkich, ale wiadomo, o kogo chodzi: kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Kto doszukuje się w tym chęci obrony „podstawowych wartości UE”, nie widzi lasu, bo mu drzewa zasłaniają. Tak naprawdę bowiem chodzi o stworzenie narzędzia, które pozwoli uzasadnić przesunięcie środków z polityki spójności ze wschodu Europy na południe. Kraje południa Europy, pod

przywództwem Francji, pogrążone od dekady w gospodarczej stagnacji, coraz głośniejsze domagają się bowiem reformy strefy euro w kierunku utworzenia unii transferowej i rządu gospodarczego. Niemcy się jednak na to nie godzą, bo korzystają na obecnym status quo.

Nierównowaga w strefie euro, podział na wierzycieli i dłużników służy niemieckiemu eksportowi i kanclerz Angela Merkel dała wyraźnie do zrozumienia, że żadnej głębokiej przebudowy wspólnej waluty nie będzie. To, co proponuje w zamian krajom Południa – Grecji, Hiszpanii, Portugalii czy Włochom – to przeniesienie do nich części środków, które dziś płyną na Wschód. Stąd pomysł KE, by przy podziale unijnych pieniędzy nie poziom PKB na głowę mieszkańca był głównym kryterium, ale bardziej skomplikowany wskaźnik, który uwzględniałby poziom bezrobocia, edukacji lub innowacji, a także problemy migracyjne. A to kraje Południa zmagają się dziś z wysokim bezrobociem, szczególnie wśród młodzieży, oraz z zalewem imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu. Gdy więc państwa naszego regionu będą się broniły podczas negocjacji nad przyszłym budżetem przed takim rozwiązaniem, zostanie wyciągnięty „praworządny” straszak. W skrócie: łączenie funduszy z praworządnością pozwoli załatwić dwa problemy naraz. Przeniesienie środków i zdyscyplinowanie niepokornych.

A Frans Timmermans? Prawdopodobnie skończy jak wielu innych unijnych komisarzy, o których dziś już mało kto pamięta. Na pewno jednak zostanie na długo zapamiętany nad Wisłą. 

Wojna z terroryzmem to wojna psychologiczna



Fot. Istvan Csak/Shutterstock.com

Z *Israelem Levinsonem*, izraelskim ekspertem ds. bezpieczeństwa, rozmawia Jacek Karnowski

Jak wielkie zagrożenie stanowiła dla bezpieczeństwa narodów, państw i Europy jako takiej fala migracyjna z 2015 r.?

Israel Levinson: Ustalenie, kto tak naprawdę dociera do kraju w takiej sytuacji, jest zadaniem ekstremalnie trudnym. Zwłaszcza gdy mówimy o uchodźcach i zwłaszcza gdy chodzi o tak wielką ich grupę. Z całym szacunkiem dla kwestii humanitarnych, ale dla rządów najważniejsze musi być bezpieczeństwo własnych obywateli. Szczególnie w sytuacji, gdy każdy poważny ekspert ds. bezpieczeństwa wie, że Państwo Islamskie dążyło do

umieszczenia swoich ludzi w masie migrującej do Europy.

Co można było zrobić w tej sytuacji?

Gdybym był premierem któregoś z państw europejskich, starałbym się skupić na konkretnych przypadkach wymagających pomocy humanitarnej. Tak robi Izrael, taka osoba jest dokładnie sprawdzana, prześwietlana i np. leczona. Zdarza się jednak często, że i z tej ścieżki próbują skorzystać terroryści. Podsumowując – myślę, że rząd Polski zachował się bardzo, bardzo mądrze, nie przyjmując do siebie imigrantów.

Polski rząd był bardzo atakowany z tego powodu zarówno w kraju, jak i za granicą.

Ale to była naprawdę słuszna decyzja. Teraz można już na spokojnie powiedzieć, że jeśli ktoś chce przyjechać do waszego kraju, to owszem, ale wcześniej musi spełnić konkretne wymogi, musi wypełnić ustalone kryteria. To był największy błąd Europy: wpuszczenie wszystkich, którzy chcieli tu przyjechać, bez żadnej selekcji. Skalę tego błędu widać doskonale z perspektywy tego, co już później zdarzyło się we Francji, w Belgii, Wielkiej Brytanii.

Jakim komunikatem dla świata jest otwarcie granic dla wszystkich chętnych?

nych, tak jak to w pewnym okresie uczyniły Niemcy?

To jest przede wszystkim wystawienie własnych obywateli na zagrożenie, na niebezpieczeństwo. Nie wiemy przecież, kto przychodzi do naszego domu. Jestem pewien, że większość przybyszów to porządni ludzie, ale jest też mniejszość, która ma złe zamiary wobec Niemców czy w ogóle Europejczyków. Tych ludzi bardzo trudno zidentyfikować. Nie wiemy, czy podają prawdziwe dane, czy ich dokumenty są autentyczne czy też sfalszowane – ustalenie tego jest niemal niemożliwe. Tym bardziej że mówimy o ludziach pochodzących z innych kontynentów i z innych kultur. Bez zewnętrznej pomocy niewiele można zdziałać.

Czyli pana zdaniem w sferze imigracji rządy powinny być wręcz skrajnie ostrożne?

Sformułowanie „skrajnie ostrożne” jest jeszcze zbyt słabe. Rządy powinny być skrajnie ostrożne razy milion.

Jak długo ludzie umieszczeni przez Państwo Islamskie w masie imigrantów mogą czekać na wykonanie rozkazu, np. o przeprowadzeniu zamachu?

Mogą czekać tak długo, jak trzeba: miesiąc, rok, trzy lata i dłużej. Nie sądzę bowiem, by ISIS miało w tej sferze konkretną politykę. W Izraelu od dawna toczy się debata na temat specyfiki relacji pomiędzy centralą tej organizacji a jej wyznawcami. ISIS to coś w rodzaju idei, ideologii, która często wciąga ludzi już urodzonych i wychowanych na Zachodzie. Państwo Islamskie próbuje oczywiście utrzymać kontakt ze swoimi ludźmi lub po prostu chętnymi do działania, ale są to działania płynne, niekonsekwentne.

Czy po klęskach poniesionych na Bliskim Wschodzie Państwo Islamskie zmieniło taktykę?

Oczywiście. Wiemy o przekierowaniu uwagi na Europę. Można sądzić, że Europę czekają kolejne kłopoty w tej sferze. Bo taktyka ISIS przypomina

ogień: może pochłonąć wszystko, ale idzie tam, gdzie może, i gdzie znajduje materiał łatwopalny.

Stały napływ imigrantów doprowadził także do powstania imigranckich gett w wielu państwach, niemal niemożliwych do kontrolowania.

Myszę, że rząd Polski zachował się bardzo, bardzo mądrze, nie przyjmując do siebie imigrantów. To była naprawdę słuszną decyzją

Kontrolowanie tego typu miejsc jest rzeczywiście skrajnie trudne, ale trzeba próbować.

Czy Polska może się stać potencjalnym celem terrorystów? Wydaje się, że chętniej wybierają oni bardziej spektakularne miejsca.

Terrorysty uderzają tam, gdzie widzą słabe punkty. Nie mogą powiedzieć jednoznacznie, czy Polska jest potencjalnym celem terrorystów. To na pewno zależy także od poziomu sprawności polskich służb.

Na przykładzie Izraela widać, że z terroryzmem można sobie poradzić. Kiedyś wybuchały bomby, rakiety, strzelano na ulicach, teraz słyszymy co najwyżej o atakach za pomocą noża na izraelskie patrole.

Taki scenariusz zresztą – a więc ataki nożowników po zablokowaniu innych możliwości – został przewidziany przez nasze służby już 10 lat temu. Ale to na marginesie. Najważniejsze jest to, że wojnę z terroryzmem można wygrać. To przede wszystkim wojna psychologiczna. Jeśli nasz przeciwnik przekona nas, iż terroryzmu nie można powstrzymać, oznacza to, że odnosi on zwycięstwo. Izrael nie mógł sobie pozwolić nawet na pokusę podobnego myślenia.

Dlaczego?

Ponieważ celem terroryzmu w Izraelu i w odniesieniu do Izraela jest zniszczenie naszego państwa, a nie jakiś cel niższej rangi. Dlatego nie mogliśmy ulec i nie ulegliśmy. Pomimo wszystkich wojen, setek ataków w kraju i za granicą Izrael rośnie w siłę. Mamy coraz więcej ludności, coraz silniejszą armię, coraz mocniejszą gospodarkę. W sferze ekonomii i obronności w wielu obszarach stajemy się supermocarstwem. Terroryzm i terroryści zostali w Izraelu pokonani. Nie wygralibyśmy tego, gdybyśmy nie mieli przekonania, że mamy rację. To kluczowy czynnik: jeśli siedzisz naprzeciwko członka Hamasu i nie masz w sobie przekonania, że to jego sprawa jest fałszywa, to ostatecznie on pokona ciebie.

Na Zachodzie często brakuje wiary w sens twardej walki.

To jest chyba największe zagrożenie. Jeśli jest wola, Zachód wygra z terroryzmem, to dla mnie oczywiste. Jeśli natomiast pojawi się wątpliwość, to nie ma szansy na zwycięstwo.

Wracając do Izraela: czy to państwo jest skazane na ciągłą walkę?

A jaki jest wybór? Czy jest jakaś inna opcja? Premier Golda Meir powiedziała kiedyś: w dniu, w którym Arabowie złożą broń, nastanie pokój. W dniu, w którym Izraelczycy złożą broń, nastąpi koniec Izraela. Szczerze mówiąc, nie widzę w najbliższej przyszłości niczego, co mogłoby nam zagrozić. Każdego roku coraz więcej młodych ludzi zgłasza się na ochotnika do elitarnych jednostek wojskowych. Chcą bronić swojej ojczyzny i to jest bardzo dobry znak.

Nie brakuje zarzutów, że Izrael celowo dba, by każde pokolenie zahartowało się w boju.

Nikt w Izraelu nie chce wojny. Leżymy w regionie, w którym jeśli chce się przetrwać, trzeba być silnym. Poza tym w konflikcie izraelsko-palestyńskim nie chodzi o wolną Palestynę; to część islamskiego dżihadu wymierzonego przeciwko „niewiernym”. Tu nie chodzi o przyszłość państwa palestyńskiego, ale o przetrwanie Izraela. 

Klucze do Mieszkania+

Biała Podlaska jest pierwszym miastem w Polsce, w którym z takim rozmachem realizowany jest program Mieszkanie+. W obecności premiera Mateusza Morawieckiego władze miasta przekazały lokatorom klucze do nowych mieszkań



PIOTR FILIPCZYK

W ramach rządowego programu powstały w Białej Podlaskiej trzy nowe bloki, w których zamieszka 186 rodzin. Chętnych było znacznie więcej – do urzędu miasta napłynęło bowiem ponad 1,4 tys. wniosków. Osiedle jest kameralne i funkcjonalne, wyposażono je w parkingi i tereny pod place zabaw. Opłata za wynajem 40-metrowego mieszkania wyniesie ok. 650 zł, a mieszkania 51-metrowego – niespełna 800 zł. Koszt ten uwzględnia opłaty eksploatacyjne. Każda rodzina będzie indywidualnie rozliczać się ze zużycia mediów.

Władze Białej Podlaskiej, w której od 2014 r. rządzi młody prezydent Dariusz Stefaniuk (PiS), zapowiadają, że program będzie kontynuowany.

„Biała Podlaska to miasto symboliczne, tutaj rozpoczynamy program budowy i oddawania Mieszkań+, który jest wielką alternatywą dla rzeczywistości, jaka do tej pory panowała” – mówił podczas uroczystości Mateusz Morawiecki. Premierowi towarzyszyli

m.in. minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński, wiceminister Artur Soboń, a także parlamentarzyści – senator Grzegorz Bierecki i poseł Janusz Szewczak.

Premier nawiązał do historii Białej Podlaskiej, która w przeszłości była „miastem prywatnym”, należącym do rodu Radziwiłłów.

„My nie chcemy żadnych miast prywatnych, wiosek prywatnych, my chcemy, żeby prywatne były może najwyższe mieszkania, przedsiębiorstwa, my chcemy budować nową rzeczywistość dla ludzi, poprzez ludzi i dla ludzi” – podkreślał Morawiecki. I dodał: „Będziemy te mieszkania w ciągu najbliższych pięciu, dziesięciu lat budować, jeżeli tylko społeczeństwo polskie nam zaufa, bo jesteśmy najbardziej prosperującym rządem ostatnich 30 lat”.

Prezydent Białej Podlaskiej Dariusz Stefaniuk nawiązał do inauguracji budowy, podczas której w mieście był prezes PiS Jarosław Kaczyński. „Ten program dał ludziom wolność i normalne życie” – takie słowa wypowiedział w Białej Podlaskiej Jarosław Kaczyński, gdy półtora roku temu inaugurowaliśmy budowę mieszkań. Dziękuję wszystkim osobom, które przyczyniły się do szybkiej realizacji tego projektu. W roku 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości podwoiliśmy liczbę mieszkań, które są budowane w Białej



Podlaskiej przez deweloperów” – mówił Stefaniuk.

Jarosław Kaczyński skierował do uczestników uroczystości specjalny list, odczytany przez senatora Grzegorza Biereckiego. „Ten program jest szansą dla tych naszych rodaków, którzy z jednej strony nie mają – jak to się mówi w języku bankowym – wystarczającej zdolności kredytowej, a z drugiej – mają takie dochody, które nie pozwalają na ubieganie się o lokale socjalne” – napisał Jarosław Kaczyński.

„Prawie wszystkie dotychczasowe rządy nie okazywały woli politycznej uruchomienia programu budownictwa powszechnego. Wyjątkiem był rząd Prawa i Sprawiedliwości, który powstał po zwycięskich dla nas wyborach 2005 r.” – dodał w liście prezes PiS, podkreślając, że na rozwiązanie kwestii mieszkaniowej od lat „czekają miliony Polek i Polaków”. „Czeka też Rzeczpospolita, gdyż



brak perspektyw na własne lokum skłania młodych ludzi albo do emigracji z naszej ojczyzny, albo do odwlekania decyzji o założeniu rodziny i posiadaniu dzieci” – podkreśla Jarosław Kaczyński.

Prezes PiS zapowiedział, że w ramach programu może powstać w najbliższym dziesięcioleciu od 2,5 do 3 mln tanich mieszkań. „To śmiały cel, ale wykonalny. Udowodniliście państwo czynnem, że jeśli tylko się chce i potrafi, to można nie tylko wybudować mieszkania, lecz także uczynić to szybko” – zaznaczył Kaczyński.

Sprawność realizacji programu w Białej Podlaskiej podkreślał również senator Grzegorz Bierecki, który od początku wspierał starania największego miasta w jego okręgu wyborczym.

– Prezydent Dariusz Stefaniuk dołożył wszelkich starań, żeby mieszkańcy

**Oplata za wynajem
40-metrowego mieszkania
wyniesie ok. 650 zł,
a mieszkania 51-metrowego
– niespełna 800 zł**

mogli szybko zamieszkać w swoich nowych, pięknych domach – powiedział nam senator Bierecki. – Tu naprawdę jest ładnie, mieszkania powstały w ścisłym centrum miasta. Widziałem radość na twarzach ich nowych lokatorów. To bardzo ważne dla lokalnej społeczności.

Zdaniem senatora Biereckiego rządowy program budowy tanich mieszkań ma kluczową rolę w obszarze demo-

grafii i zrównoważonego rozwoju Polski. Zwłaszcza jeśli – jak w przypadku Białej Podlaskiej – idą za nim zmiany infrastrukturalne, np. usprawnianie sieci połączeń kolejowych.

– Trzeba zatrzymać wyludnianie mniejszych polskich miast. Nie możemy pozwolić na to, aby w Polsce realizował się scenariusz znany z Ameryki Łacińskiej, gdzie prowincje pustoszeją w zastraszającym tempie, a metropolie puchną i rozrastają się jak nowotwory – tworząc ubogie dzielnice, w których ludzie żyją często w strasznych warunkach. My nie chcemy, by polskie miasta spotkał podobny los. Tym bardziej że w mniejszych ośrodkach ludziom żyje się dużo lepiej. Relacje międzyludzkie są lepsze, lokalne więzi silniejsze – czujemy się bardziej jak u siebie. A będzie jeszcze lepiej! – mówi Grzegorz Bierecki.

Gorączka RODO



Maj w biznesie upłynął pod hasłem RODO, czyli Rozporządzenia o Ochronie Danych Osobowych, które 25 maja weszło w życie we wszystkich krajach członkowskich Unii Europejskiej.

DANE POD KONTROLĄ

Celem jego wprowadzenia jest m.in. to, by firmy stały się bardziej transparentne, w sytuacji gdy przetwarzają i wykorzystują dane osobowe. Muszą np. informować osoby, których dane dotyczą, o takich szczegółach jak okres retencji danych czy kryteria jego ustalenia oraz o prawie wniesienia skargi do organu nadzorczego. RODO oznacza też, że przetwarzanie danych będzie

Kwiaciarka z Hali Mirowskiej w Warszawie zatrudniająca dwie osoby skierowała pytanie do resortu cyfryzacji, czy przepisy RODO też jej dotyczą. „Jak najbardziej. Jeżeli zatrudnia pani dwie osoby, wystawia faktury, współpracuje z kontrahentami, zamawia kwiaty. Wszędzie tam są przecież dane osobowe” – usłyszała od urzędników

możliwe za wyraźną zgodą tego, kogo one dotyczą. Mówiąc krótko, dane osobowe muszą być przetwarzane zgodnie z prawem, rzetelnie i w sposób przejrzysty. Przedsiębiorcy mają jednak wiele wątpliwości, jak nowe przepisy interpretować.

25 maja, gdy wchodziło w życie RODO, Marek Zagórski, minister cyfryzacji, tłumaczył na konferencji prasowej, że przedsiębiorca, który ma już zgodę klientów na posiadanie danych, nie musi od nowa jej uzyskiwać, ale powinien dane zabezpieczyć. Sposób



Fot. Shutterstock

zabezpieczenia jest dowolny, co oznacza, że firma może wybrać rozwiązanie najkorzystniejsze z jej punktu widzenia. „W większości przypadków, jeżeli ktoś już przestrzega obowiązujących przepisów, to wielkich zmian nie musi się spodziewać. Ważne, żeby zadbał o wypełnienie obowiązków informacyjnych. To jest ten pierwszy krok, który trzeba zrobić” – podkreślał Marek Zagórski.

Firmy do wprowadzenia RODO dopingowała zapowiedź wysokich kar, które mają pomóc w egzekwowaniu nowego prawa. System sankcji został znacząco rozbudowany i górna ich granica to 20 mln euro lub 4 proc. całkowitego rocznego obrotu z poprzedniego roku. Nic więc dziwnego, że już kilka tygodni przed wejściem rozporządzenia w życie był to główny temat w korporacjach dysponujących wielką liczbą danych osobowych.

CZY TO REWOLUCJA?

Ministerstwo Cyfryzacji zauważa, że RODO nie sprawiło, iż 25 maja 2018 r. obudziliśmy się w innej rzeczywistości. Wejście w życie tego rozporządzenia wywołało jednak ogromne zainteresowanie tematem ochrony danych osobowych. I to, zdaniem resortu, jest pierwszy niewątpliwy sukces tej reformy. Nasza rzeczywistość nie ulegnie jednak zmianie tylko dlatego, że weszło w życie nowe prawo. Zmieni się ona dopiero, kiedy gdzieś zmiana w świadomości.

Uwaga na oszustów

Ministerstwo Cyfryzacji ostrzega, że w związku z wymogiem dostosowania organizacji do RODO, do firm napływa wiele informacji noszących znamiona oszustw. Są to np.:

- Informacje zawierające linki lub załączniki z dokumentami, z których skorzystanie ma zapewnić pozornie pełną zgodność z RODO, a faktycznie może skutkować zainstalowaniem wirusa w sieci komputerowej. Nie należy reagować na wiadomości czy SMS-y z niewiadomego lub podejrzanego źródła.
- Oferty usług doradczych w obszarze ochrony danych osobowych z informacją, że odmowa skorzystania z usług może skutkować złożeniem skargi do Prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych. Może to być próba oszustwa.
- Nieprawdziwe informacje o prawnej konieczności nabycia szaf zapewniających zgodność z RODO, krat w oknach, szczególnych kategorii niszczarek, nakładek na ekrany monitorów, klódek oraz innych dedykowanych RODO rozwiązań. RODO nie stawia takich wymogów.
- Informacje o obowiązkowych egzaminach na Inspektorów Ochrony Danych, obowiązkowych certyfikatach oraz obowiązkowych szkoleniach. RODO nigdzie nie mówi o obowiązkowych egzaminach ani szkoleniach.

Źródło: GIODO

Dane chronione domyślnie

RODO zmienia zasadniczo sposób podejścia firm do ochrony danych osobowych. Uciążliwe i biurokratyczne zgłoszenia zbiorów danych osobowych zastąpiono bowiem zasadą domyślnej ochrony danych – *privacy by design and by default*, czyli obowiązkiem dbania o ochronę danych osobowych już od rozpoczęcia procesów biznesowych związanych z przetwarzaniem danych. „By design” oznacza, że ochrona danych ma być aktywna domyślnie, a „by default” – że nie wymaga podejmowania działań przez osoby, których dane dotyczą. Zasadę uwzględniania ochrony danych w fazie projektowania i zasadę domyślnej ochrony danych trzeba brać pod uwagę m.in. w przetargach publicznych.

Źródło: GIODO

„RODO to zmiana na lepsze. Jest aktem prawnym, który ma nas chronić. Dla zwykłego konsumenta nie wiąże się to z dodatkowymi obowiązkami. Pozwoli być gospodarzem swoich danych osobowych na każdym etapie ich przetwarzania” – wyjaśniał Marek Zagórski. Zakłada ono m.in. prawo do bycia zapomnianym, czyli możliwość usunięcia, również z internetu, informacji na swój temat, jeśli nie są prawdziwe lub są obraźliwe.

Inne uprawnienie, które zyskali konsumenci, to możliwość przeniesienia swoich danych osobowych z jednej instytucji do drugiej, np. do banku, by na nowo nie wypełniać dokumentacji kredytowej. Przepisy przewidują jednak pewne wyjątki. Nie można przenosić danych, jeżeli ich przetwarzanie jest niezbędne do wykonywania zadania realizowanego w interesie publicznym, a także w ramach sprawowania władzy publicznej powierzonej administratorowi.

Nowe przepisy dotyczą wszystkich podmiotów prywatnych i publicznych, które przetwarzają dane osobowe. Treść rozporządzenia wyróżnia jednak grupy, których zakres RODO nie dotyczy. I tak przepisów rozporządzenia nie stosuje się do działalności właściwych organów w celu zapobiegania przestępczości, prowadzenia postępowań przygotowawczych, wykrywania i ścigania

czynów zabronionych lub wykonywania kar, w tym ochrony przed zagrożeniami dla bezpieczeństwa publicznego i zapobiegania takim zagrożeniom.

Zgodnie z RODO dzieci, które ukończyły 16 lat, mogą samodzielnie decydować o przekazywaniu swoich danych osobowych firmom internetowym. Poniżej tej granicy wieku przetwarzanie danych będzie możliwe tylko, gdy zgodę wyrazi osoba sprawująca władzę rodzicielską lub opiekę nad dzieckiem. Dziecku przysługuje także bezwzględne prawo rozmyślenia się i zażądania usunięcia przekazanych wcześniej danych.

GRANICE I OBOWIĄZKI

Od firm nowe prawo wymaga m.in. konieczności uwzględniania wymogów ochrony danych w trakcie projektowania rozwiązań oraz konieczności zapewnienia, że przetwarzane będą tylko dane osobowe niezbędne do osiągnięcia założonego celu.

Już wiadomo, że będzie to miało istotny wpływ na zmiany w procesach rekrutacyjnych w firmach. Pracodawca nie będzie mógł pozyskać innych danych na temat kandydata do pracy niż te, na których wykorzystanie on się zgodził. Nowe prawo ogranicza mocno możliwości buszowania rekruterów po portalach internetowych, by szukać informacji o aplikujących. Do niedawna w firmach headhunterskich dość

rozpowszechniona była praktyka weryfikowania w sieci danych podanych przez kandydatów do pracy, w celu np. znalezienia nieścisłości w przesłanym CV. RODO sprawi, że na znaczeniu stracą referencje. Zgodnie z RODO rekruter ma prawo je zweryfikować, ale tylko w zakresie podanych informacji przez kandydata. Rekruter nie będzie mógł zadać pytań, dlaczego kandydat rozstał się z jakąś firmą, jeśli aplikujący sam nie poda takiej informacji.

Oczywiście firma headhunter-ska będzie mogła zawsze poprosić o dodatkowe informacje spoza CV kandydata, ale jeśli on odmówi, rekruterowi nie będzie wolno ich poszukiwać samodzielnie.

Ewentualne naruszenia związane z wymogami RODO zgłasza się do powstającego na bazie GIODU Urzędu Ochrony Danych Osobowych (UODO). Każdy, kto uzna, że jego dane zostały w sposób nieuprawniony wykorzystane, będzie mógł zgłosić to do urzędu. Postępowanie w takiej sprawie będzie mogło trwać do 30 dni.

Nie należy też zapominać, że w razie wycieku danych osobowych, w kwalifikowanych wypadkach administratorzy danych będą zobowiązani zgłaszać to do UODO oraz informować osoby, których dane wyciekły. Powiadomienie UODO musi nastąpić w terminie do 72 godzin od chwili stwierdzenia wycieku oraz wymaga odpowiedniego dokumen-

towania wszelkich naruszeń ochrony danych, co pozwala na sprawdzenie, czy są one prawidłowo raportowane i odnotowane.

Minister cyfryzacji Marek Zagórski uspokajał jednak, że przedsiębiorcy nie muszą żyć w strachu w związku z RODO. „Należy zachować zdrowy rozsądek. Kary są ostatecznością. 20 mln euro to nie jest kara, jaką poniesie mała firma, np. warsztat samochodowy”. Według Zagórskiego wysokie kary za niedostosowanie się do nowych rozwiązań stały się jednym z mitów kampanii RODO.

Ministerstwo Cyfryzacji pracuje nad przepisami, które ułatwią przedsiębiorcom dostosowanie do wymogów rozporządzenia. „Rozważamy wprowadzenie zmian ułatwiających stosowanie RODO firmom. Obserwujemy, co się dzieje, z czym jest największy problem i czego dotyczą wątpliwości. Potem będziemy przygotowywali przepisy ułatwiające wykonanie obowiązków” – mówił Maciej Kawecki, dyrektor departamentu zarządzania danymi w resorcie cyfryzacji, podczas dnia otwartego, który resort zorganizował, gdy w życie wchodziło RODO.

Podkreślał wówczas, że ktoś, kto jeszcze nie dostosował się do wymogów RODO, nie będzie musiał od razu zamykać biznesu. Nie znaczy to jednak, że o sprawie może zapomnieć.

Marek Jaślan

Najistotniejsze zmiany

- **Prawo do bycia zapomnianym** – w sytuacji, w której osoba nie chce, by jej dane były przetwarzane, a brakuje podstawy legitymującej takie przetwarzanie. Narzędzie to ma chronić prywatność osób, niekoniecznie umożliwiając usuwanie informacji z przeszłości albo ograniczanie wolności prasy.
- **Łatwiejszy dostęp do danych** – osoby, których dane dotyczą, będą miały dostęp do szerszego zakresu informacji o ich przetwarzaniu, a informacje dostępne powinny być w jasnej i zrozumiałej formie. Ponadto prawo do przenoszenia danych pozwala robić to między usługodawcami internetowymi.
- **Obowiązek informowania o naruszeniu danych** – administratorzy mają obowiązek powiadomienia organu nadzorczego i w stosownych przypadkach osoby, której dane dotyczą.
- **Konieczność wdrożenia mechanizmów ochrony danych w fazie projektowania oraz domyślnej ochrony danych** – oznacza to np., że ochrona danych osobowych ma zostać uwzględniona już na etapie tworzenia usługi internetowej, a domyślne ustawienia ochrony danych osobowych zapewniające

minimalizację przetwarzanych danych powinny zostać normą np. na portalach społecznościowych.

- **Silniejsza ochrona praw dzieci** – dane osobowe dzieci zasługują na szczególną ochronę, gdyż mogą być one w mniejszym stopniu świadome zagrożeń, konsekwencji, gwarancji i swoich praw w odniesieniu do przetwarzania danych osobowych. W kontekście usług społeczeństwa informacyjnego oferowanych bezpośrednio dzieciom rozporządzenie przewiduje, że zgoda na przetwarzanie danych dziecka, które nie ukończyło 16 lat, musi być wyrażona albo zaaprobowana przez osobę sprawującą władzę rodzicielską lub opiekę nad dzieckiem i tylko w zakresie wyrażonej zgody. Państwa członkowskie mogą obniżyć próg wskazany powyżej i ustanowić niższą granicę wiekową, która musi wynosić co najmniej 13 lat.
- **Lepsza egzekucja przestrzegania przepisów** – polski organ ochrony danych będzie wyposażony w możliwość nakładania administracyjnych kar pieniężnych w wysokości do 20 mln euro lub do 4 proc. całkowitego rocznego światowego obrotu.

Źródło: GIODU

Hit tygodnia

LG-G7-Thinq

Jeszcze ciepły, ledwie pokazany światu, najnowszy flagowiec LG. Czy G7-Thinq – bo tak się nazywa ta topowa „słuchawka” koreańskiego koncernu – ma szansę podbić rynek? Seria smartfonów LG oznaczona literą G z modelu na model oferuje coraz ciekawsze rozwiązania i nic dziwnego, że smartfony tej serii mają wielu zwolenników. Czym może się pochwalić LG-G7-Thinq? Ma wydajny ośmiordzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 845 o taktowaniu 2.80 GHz, duży wyświetlacz o przekątnej 6,1 cala, oczywiście dwie kamery/aparaty fotograficzne: przednia o rozdzielczości 8 Mpix i tylna – 19 Mpix. Sama bateria może trochę rozczarować – tylko 3000 mAh, w dodatku jest niewymienna. Można się także przyczepić do RAM, że załedwie 4 GB (oraz 64 GB pamięci), ale bez przesady. LG-G7-Thinq wygląda na całkiem udany topowy model smartfona, który ma spore szanse na sukces komercyjny. Nie bez znaczenia okaże się też cena: obecnie telefon kosztuje ok. 3,5 tys. zł, co raczej małą kwotą nie jest.

Premiera

Plusy i minusy

- + dobra specyfikacja, ładny design
- może ciut za słaba bateria, może RAM mogłoby być ciut więcej



Panasonic Lumix DC-TZ200

Lumix DC-TZ200 to aparat idealny dla kogoś, kto lubi podróżować, jednak niekoniecznie z torbą pełną sprzętu fotograficznego – to tzw. travel zoom, czyli kompakt z dużym zakresem zooma. W DC-TZ200 to 24–360 mm, a gdy dodamy, że aparat ma jednocalową matrycę, czyli całkiem sporo jak na tego typu sprzęt, i rozdzielczość 20 Mpix, to możemy liczyć na zdjęcia o całkiem dobrej jakości. Jeśli chodzi o możliwości video, to jest 4K (30 p and 24 p). No i jeszcze pięcioosiowa stabilizacja, znana ze znacznie droższych modeli... Zaraz, zaraz, droższych? Przecież DC-TZ200 kosztuje w Polsce ok. 3,5 tys. zł! Ja rozumiem, że wszystkie techniczne udoskonalenia i nawet napis Leica na obiektywie – ale to zbyt dużo jak za kompakt, nawet dobry.



Cena: 799 euro

Yongnuo-YN43

Zostańmy jeszcze chwilę w świecie fotografii. Czym jest Yongnuo-YN43? To moduł fotograficzny wyposażony w matrycę, do którego z jednej strony podpinamy smartfon, z drugiej – obiektyw. Czyli Yongnuo-YN43 jest po prostu tzw. bezkorpusowcem, których kilka pojawiło się na rynku w ostatnich latach, lecz już wszyscy zdążyli zapomnieć o tym fakcie. Na koniec jednak najlepsze: YN43 ma matrycę systemu Micro 4/3, a mocowanie obiektywów – Canon EF. Dość karkołomne połączenie. Wszystko sterowane ze smartfona. Cóż, do odważnych świat należy, ale tym odważnym jest producent czy może klient?

Zapowiedź

Przygotował Paweł Gadaczek



Budujmy mosty nie tylko dla pana starosty

*Mosty zawsze warto było budować, bo mosty łączą ludzi i narody,
a także otwierają nowe perspektywy życiowe*

Nowe mosty są potrzebne, i to nie tylko Warszawie, co słusznie uważał Patryk Jaki, kandydat PiS na prezydenta stolicy, i są znacznie bardziej potrzebne niż niebieska ławeczka Rafała Trzaskowskiego, kandydata PO.

Wielkie podziały komunikacyjne i zaniebdania infrastrukturalne widać na ziemiach polskich jeszcze od czasów zaborów. Stąd plan budowy 22 mostów w siedem lat za kwotę ok. 2,3 mld zł wydaje się wielce trafiony. Przy ogromnej skali wydatków na drogi i autostrady do 2020 r. w wysokości 135 mld zł jest to niewątpliwie koszt do udźwignięcia. W wielu miejscach Polski ewidentnie brakuje mostów, a sporo tych już istniejących jest w fatalnym stanie i wymaga generalnych remontów. Choćby most na Bugu, po którym już dziś przejeżdża 135 pociągów z Chin do Duisburga tranzytem przez Polskę, dokąd trafia część towarów. Mogłoby przejeżdżać dwukrotnie więcej składów towarowych, gdyby stary most mógł to wytrzymać.

Nowe mosty to rozwój cywilizacyjny kraju, a polscy inżynierowie i naukowcy mają w ich budowie duże doświadczenie. Rudolf Modrzejewski z Bochni zbudował blisko 40 mostów na całym świecie, w tym słynny most w Filadelfii, w San Francisco – Oakland Bay, Bronisław Rymkiewicz budował mosty w Brazylii, a Stanisław Janicki współbudował Kanał Sueski, Ernest Adam Malinowski stawiał mosty w Peru, Stanisław Olszewski i Stanisław Kierbedź w Rosji i Warszawie. Dziś Chińczycy potrafią budować mosty liczące dziesiątki kilometrów (nawet 60 km), ale i znacznie bliżej mamy dobre przykłady, choćby



JANUSZ SZEWCZAK

most łączący Danię ze szwedzkim Malmö. My natomiast musimy nadgonić wielkie zaniebdania infrastrukturalne ostatnich 28 lat. Przed nami znaczące wydatki na inwestycje w najbliższych latach. Blisko 66 mld zł do 2023 r. na rekonstrukcję szlaków kolejowych, przejazdów kolejowo-drogowych, ponad 135 mld zł na drogi i autostrady do 2020 r., 30–35 mld zł na Centralny Port Komunikacyjny (CPK), choć wydaje się, że koszt tej inwestycji może być

nieco zaniżony i realnie sięgnąć nawet 50 mld zł. Czekają nas też budowa przekopu przez Mierzę Wiślaną, poszerzenie toru wodnego Szczecin–Swinoujście, rozbudowa portu w Gdańsku i Elblągu oraz Ustce, Via Carpatia czy Via Baltica.

Front robót szykuje się więc ogromny i wydaje się, że o ile środków finansowych nie zabraknie, o tyle większy problem może być z dostępnością rąk do pracy, bo już dziś brakuje blisko 100 tys. budowlańców – murarzy, spawaczy, cieśli, ale też inżynierów czy kierowców. Rosną wymagania płacowe oraz ceny materiałów budowlanych. Wydaje się, że koszty ropy naftowej będą raczej rosły, niż spadać, podobnie jak cena dolara czy franka. Nie ma jednak nowoczesnego państwa wybijającego się na suwerenność gospodarczą, konkurencyjności gospodarki bez dobrej komunikacji i infrastruktury podporządkowanej dotychczas raczej interesom biznesowym Niemiec na kierunku Zachód–Wschód, o co szczególnie dbali domorośli neoliberalowi aferalowie, a zwłaszcza rząd PO-PSL. Już na kierunku drogowym Północ–Południe nie było tak dobrze, a co dopiero mówić o regionalnych przeprawach mostowych



Fot. Shutterstock

czy powiatowych połączeniach. Politycy PO-PSL byli raczej mistrzami w likwidacji i zamykaniu niż w budowaniu, a jeżeli już coś zbudowali, to bez mniejszej lub większej afery czy wielkiego marnotrawstwa nie mogło się obejść.

Ciekawe, jak totalna opozycja będzie dyskredytować pomysły budowy 22 mostów, tak bardzo Polakom potrzebnych? Lepiej budować mosty, drogi i linie kolejowe, niż za bezcen wyprzedawać majątek narodowy z PKP Energetyką, kolejką na Kasprowy Wierch, a nawet polskimi portami czy budować autostradę oligarchom, nie mówiąc już o astronomicznych kosztach budowy jednego kilometra autostrady, obwodnicy Warszawy w cenie 200 mln zł. Przy takiej rozrzutności poprzedników z rządu PO-PSL, pod światłym przewodem ministrów Cezarego Grabarczyka i Sławomira Nowaka, pieniędzy starczyłoby władzy na drewniane kładki, a nie solidne mosty. Miejmy nadzieję, że pojesiennych wyborach samorządowych dla niejednego nowego starosty bliskie sercu staną się też te nowe mosty.

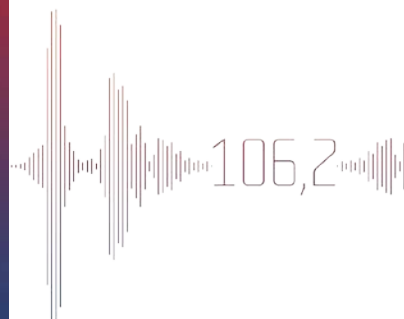
Oczywiście nie samymi drogami i mostami ludzie żyją. Place rosną najszybciej od 10 lat (może z wyjątkiem polskich parlamentarzystów) – powyżej 7 proc. w I kw. 2018 r. i najprawdopodobniej w II połowie roku jeszcze przyspieszą w okolice 10 proc., a to już będzie realnie odczuwalne w domowych portfelach Polaków. W ramach czwórki priorytetów rządowych – rodzina, praca, płaca, mieszkanie – widać wyraźne przyspieszenie i poprawę. Jeśli w każdym powiatowym mieście stałoby się tak jak w Białej Podlaskiej, gdzie w półtora roku oddano do użytku blisko 190 mieszkań dla osób niezamożnych i niepełnosprawnych, to szanse na

100 tys. nowych mieszkań w ramach programu rządowego Mieszkanie+ byłyby całkowicie realne.

Nic też tak zajadle i kłamliwie nie było zwalczane przez neoliberalistów, globalistów i totalną opozycję jak program Rodzina 500+. A przecież wiadomo, że była to inwestycja w naszą przyszłość – w dzieci. Wychowanie jednego dziecka kosztuje w Polsce 200–250 tys. zł, a musimy zrobić wszystko, aby Polaków przybywało, nie zaś ubywało, zwłaszcza tych młodych. Choć Brexit z pewnością spowoduje powrót części młodej, polskiej emigracji z Wysp Brytyjskich, to jednak nie zasypie to luki pokoleniowej, która niebezpiecznie urosła w naszym kraju. Warto też, by rząd pamiętał o milionach Polaków, również tam na Wschodzie, którzy mając nad Wisłą ofertę pracy i godziwej płacy oraz możliwie umiarkowany czynsz za własne lokum, też chętnie powróciliby na ojczyzny łono.

Przed nami jeszcze wiele zaniedbań, nieprawości i krzywd, które trzeba usunąć, wielkie wyzwania i wielki program naprawy polskiego państwa: reforma systemu ubezpieczeń, reforma służby zdrowia, reforma systemu podatkowego. Wielu seniorów czeka od blisko 30 lat na nowe, korzystniejsze rozwiązania w zakresie waloryzacji rent i emerytur. Nie tylko o środowisku niepełnosprawnych zapomniano na lata liberalno-lewicowe ekipy rządowe spod znaku UW, SLD, PSL czy PO, lecz także o tych na tzw. głodowych emeryturach. Wyzwań więc dla obecnie rządzących nie zabraknie.

REKLAMA



www.radiowarszawa.com.pl

30/05/18/F



Jeśli wyjdziemy z grupy, polecimy wysoko

Odliczanie ostatnich dni do rozpoczęcia mundialu to dla kibiców zajęcie pasjonujące czasem nie mniej niż same mecze. Napięcie sięga zenitu, spekulujemy, roztrząsamy, oceniamy szanse i rywali. O tym mówi się wszędzie. W taką atmosferę wielkiego sportowego uniesienia wchodzimy właśnie obecnie. Nadzieje są uzasadnione, bo wydaje się, że turniej w Rosji ma być kumulacją projektu Adama Nawalki. To w teorii właśnie teraz ta drużyna powinna osiągnąć pełnię swoich możliwości, a co za tym idzie – sukces



CEZARY KOWALSKI

B o kiedy, jeśli nie w Rosji taki as, jakim dysponujemy, czyli Robert Lewandowski, ma pociągnąć drużynę, nawiązać do czasów Kazimierza Górskiego, Jacka Gmocha czy Antoniego Piechniczka? Czołowi gracze, z „Lewym” na czele, znaleźli się w najlepszym piłkarskim wieku. Już mocno zaprawieni w bojach, a jednocześnie spragnieni prawdziwego sukcesu z reprezentacją. Bo przecież nikt nie chce wierzyć, że same awanse do wielkich turniejów i ćwierćfinał Euro 2016 to wszystko, na co stać drużynę w tej konfiguracji. Ogromną nadzieję Polacy pokładają także w samym selekcjonerze. To właśnie zaufanie, które sobie zdobył w ostatnich latach, spokój i piłkarska mądrość mają teraz zaprocentować.

NASZA DUMA

To, że Nawalka w przeciwieństwie do swoich poprzedników podczas przygotowań nie wywozi kadry za granicę, aby zamykać się w niedostępnych ośrodkach i szukać maksymalnej koncentracji, to też część przemyślanego planu. Zrobił dokładnie jak przed dwoma laty przed mistrzostwami we Francji. Najpierw luźne zgrupowanie z żonami, dziewczynami, partnerkami i dziećmi w Juracie, a później ciężka praca w Arłamowie.

Absolutnie nie irytuje mnie, że z tej pierwszej części zrobił się prawdziwy piłkarski festyn. Przejażdżki rowerami, spacer po plaży, spotkania z kibicami, koncert Lady Pank, wizyta u prezydenta nad morzem czy później przyjazd premiera w góry. Tak właśnie ma być. Kibice powinni mieć tę drużynę na wyciągnięcie ręki, bo to jest nasze dobro wspólne. Zawodnicy natomiast muszą wiedzieć, jaki jest ciężar oczekiwań, jak bardzo naród potrzebuje ich dobrego występu, jakie wiąże z nimi nadzieje. Muszą czuć, że są ważni. Wystarczy rzucić okiem na relacje z wyda-

rzeń w Juracie czy Arłamowie, aby się przekonać, że ludzie po prostu oszaleli na punkcie drużyny narodowej. Żadna gwiazda naszego show-biznesu nie jest w stanie nawet się zbliżyć do popularności Nawalki, Lewandowskiego i spółki.

NASZE ATUTY

Tak to z grubsza wygląda z zewnątrz. Ale jeśli zaczniemy rozpatrywać sprawę detalicznie, to już aż tak różowo nie jest. Wiadomo, że trzeba chuchać i dmuchać na Roberta Lewandowskiego, aby – odpukać – nie przytrafił mu się jakiś uraz, bo bez niego nasz zespół traci ponad 50 proc. swojej wartości. A teraz zadajemy sobie pytanie także o jego formę psychiczną. Bo na zdrowy rozum jest oczywiste, że chłopakowi trudno się skoncentrować na treningach i grze w kadrze, gdy waga się właśnie losy jego największego w życiu transferu. Przy całej wielkości RL9 (po raz trzeci zdobył koronę króla strzelców Bundesligi) delikatną obniżkę formy czysto sportowej też dało się zauważyć, zwłaszcza w meczach z najlepszymi rywalami w Lidze Mistrzów.

Przez ostatnie lata filar naszej pomocy Grzegorz Krychowiak jest obecnie cieniem zawodnika sprzed kilkunastu miesięcy. Słabo grał na wypożyczeniu z Paryża do West Bromwich Albion, aż w końcu skonfliktowany z trenerem stracił miejsce w składzie i teraz brakuje mu regularnej gry. A jest typem zawodnika bazującym nie na technice, tylko właśnie na sile i wybieganiu, które trudno wypracować jedynie podczas treningów. Na pewno też odkrycia poprzedniego turnieju – Michała Pazdana, którego we Francji nazywano ministrem obrony narodowej, od tamtego czasu nie widywaliśmy w podobnej formie. Znów, podobnie jak przed Euro, bardzo mało grał w klubie jeden z kluczowych zawodników – Kuba Błaszczykowski. Wtedy jednak mimo wszystko był naszym najlepszym graczem podczas turnieju. Pytanie, czy teraz znów się uda podobny „numer na wypoczętego” powtórzyć, skoro Kuba jest już dwa lata straszy i ma 33 lata.

Arkadiusz Milik, który ma być wsparciem dla Lewandowskiego, co prawda wrócił do gry po koszmarniej kontuzji, coś tam nawet strzelił dla Napoli, ale nie ma takiej możliwości, aby zupełnie już nie odczuwał urazu (choćby psychicznie) i już teraz grał na 100 proc. swoich możliwości. Naszą siłą ofensywną na skrzydle był Kamil Grosicki, rozegrał mnóstwo meczów w angielskiej Championship (drugi poziom rozgrywek), ale ewidentnie „Turbogrosik” słabł, kiedy sezon zmierzał ku końcowi, i wydawał się wyraźnie zmęczony. Czy w ciągu kilku tygodni u Nawalki zdoła odzyskać wigor?

Ewidentne kłopoty w defensywie (koszmarny zjazd zalicza także Artur Jędrzejczyk) selekcjoner chce zniwelować ustawieniem taktycznym. I jest coraz bardziej prawdopodobne, że Polacy na mundialu zagrają we włoskim stylu, czyli z trzema obrońcami i dwoma graczami na bokach, tzw. wahadłowymi.

Aby nie popadać w pesymizm, należy dostrzec kilka plusów. Świetnie prezentuje się trójka z Sampdorii Genoa, czyli Bartosz Bereszyński, Karol Linetty i zwłaszcza gracz młodzieżówki Dawid Kownacki. Analogie do słynnego tercetu: Łukasz Piszczek, Kuba Błaszczykowski, Robert Lewandowski, na którym od lat opiera się reprezentacja,

nasuwają się same. Być może szansę dostanie rewelacja naszej Ekstraklasy, czyli nastolatek z Legii Sebastian Szymański oraz Szymon Żurkowski z Górnik Zabrze. To byłaby wartość dodana. Coś ekstra (w momencie zamykania numeru nie znaliśmy jeszcze ostatecznej kadry na mundial – przyp. C.K.).

Kamil Glik w defensywie to wciąż skała nie do przejścia (wybrany do jedenastki sezonu ligi francuskiej obok Neymara). Swoich walorów nie stracił coraz bardziej doświadczony Łukasz Piszczek z Borussii Dortmund. Bramkarze: Wojciech Szczęsny (Juventus) i Łukasz Fabiański (Swansea) to wciąż klasa światowa. Do kadry wrócił Maciej Rybus nieobecny z powodu kontuzji we Francji. I to w roli mistrza Rosji z Lokomotiv Moskwa. To, że zagra na stadionach, które doskonale zna, będzie z pewnością jego atutem. Niewykluczone, że w Rosji eksploduje wreszcie talent Piotra Zielińskiego z Napoli, o którym sami Włosi mówią, iż jeśli wzmocni psychikę, będzie pomocnikiem na miarę gwiazd Realu Madryt. Jednym zdaniem: mamy na czym, a raczej na kim, opierać swoje nadzieje. Pytanie tylko, czy to wystarczy do wyjścia z grupy.

NASI RYWALE

Bo chyba nie ma wątpliwości, że rywalizacja z Senegalem, Kolumbią i Japonią będzie trudniejsza niż z Niemcami, Irlandią Północną i Ukrainą podczas mistrzostw Europy. Trudniej będzie zająć jedno z dwóch premiowanych miejsc. Trafiłiśmy bowiem do grupy, w której właściwie żadna kolejność (może poza Japonią na pierwszym miejscu) nie będzie żadną sensacją. A jeśli drużynie Adama Nawalki uda się wyprzedzić Kolumbię, będzie to po prostu niespodzianka. Dlaczego?

Bo Kolumbia jest ćwierćfinalistą mistrzostw świata z Brazylii, z królem strzelców imprezy sprzed czterech lat, Jamesem Rodríguezem, a my ostatnio graliśmy na mundialu, bez sukcesu zresztą, 12 lat temu. Nasz najlepszy napastnik RL9, na którym się opieramy, choć w tym roku skończy 30 lat, na mistrzostwach świata nie zagrał nigdy. A na dwóch turniejach Euro strzelił raptem dwa gole. My dla Roberta nie

mamy alternatywy. W Kolumbii jeśli nie gra Radamel Falcao, nie ma tragedii. José Pékerman ma do dyspozycji tylko odrobinę od niego słabszych – Baccę, Muriela czy Zapatę.

My mamy kłopoty w obronie, a dwójkę ich środkowych obrońców stanowią młodzi gracze Barcelony (Mina) i Tottenhamu (Davinson Sánchez) w sumie ze 100 mln euro. My na skrzydle opieramy siłę ognia na zawodniku, który bronił Hull City przed spadkiem do trzeciej ligi angielskiej, oni na genialnym skrzydłowym Juventusu Turyn – Cuadrado itd... Generalnie na każdej pozycji poza bramkarzem (w tym przypadku nawet numer jeden Ospina, wieczny rezerwowy Arsenalu, nie jest wybitny) „Los Cafeteros” mają po dwóch, trzech znakomitych zawodników.

Kolumbia pokazała klasę w marcu. Ograć wicemistrzów Europy Francuzów w najsilniejszym składzie na Stade de France w obecności 80 tys. widzów 3:2 – to jest naprawdę coś.

Senegal, z którym zmierzmy się na początek (19 czerwca), to obecnie najlepsza drużyna Afryki z rewelacyjnym Mané (gol w finale Ligi Mistrzów dla Liverpoolu), typowana przez ekspertów na ewentualną rewelację turnieju. Właśnie od tego meczu będzie zależało najwięcej, a my poza niedawnym sparingiem z Nigerią, zresztą przegranym, nie mamy żadnego doświadczenia w starciach z zespołami prezentującymi podobny styl (siła, szybkość, doskonała gra w powietrzu, niekonwencjonalność zachowań, brak schematów).

Teoretycznie najsłabsza Japonia tuż przed turniejem zmieniła trenera. Nowy błyskawicznie przywrócił skreślone przez poprzednika największe gwiazdy. A to jest dla Japończyków doskonałym bodźcem i pewnie będzie to w efekcie mocniejszy zespół, niż się spodziewano.

Ta rywalizacja będzie swoistą miarą jakości reprezentacji Polski. Jeśli ekipie Nawalki uda się wyjść z takiej grupy, poradzić sobie z mocnymi zespołami z tak różnych stref piłkarskiej kultury, wówczas się okaże, że nie jesteśmy zespołem dobrym tylko w skali europejskiej, lecz możemy powalczyć o czołówkę światową (najlepsza ósemka?). Bo niby kogo w takiej sytuacji mielibyśmy się bać? 

Nic skomplikowanego

Jeden z najciekawszych aktorów młodego pokolenia: waleczny, zdolny, ambitny, przekonujący (czy to w głównej roli megaprodukcji „Miasto 44”, czy w serialowym wcieleniu – ostatnio w „Wojennych dziewczynach” i „Diagnozie”). Do tego skromny. „Chłopak z sąsiedztwa”, który – jak się okazuje – nie gubi się też w kuchni. Tak o tym mówi:

Smak zapamiętany z dzieciństwa? To przede wszystkim różne wersje soczewicy. Mama była pionierką wegetarianizmu i soczewica stanowiła bazę wielu potraw. Nadal ten składnik dobrze mi się kojarzy. Pewnie też dlatego, że mama jest mistrzynią we wszystkim, do czego się zabierze, więc nie brakowało nam dań, które dzieci generalnie lubią. Spaghetti z soczewicą... świetna rzecz. Podobnie jak lasagne.

Pochodzę z dużej rodziny, dlatego wcześniej nauczyliśmy się samodzielności i odpowiedzialności. Nie da się inaczej, gdy w domu jest siedem osób. Mam czworo rodzeństwa, jestem przedostatni, Stefan [też aktor – przyp. red.] jest środkowy.

Od małego umiałem sobie podgrzać to, co mama ugotowała, ale nie było problemem przygotowanie jakiejś

szybkiej przekąski. Najczęściej – zapiekanki. Z różnymi składnikami i sosami, które wymyślałem. Pamiętam też nadziewany chleb: wydrążałem bochenek i wkładałem do środka np. smażone z cebulą pieczarki. Myśle, że mi to smakowało.

Z czasem nauczyłem się robić kotlety z soczewicy, pizzę czy spaghetti. Bazowe dania. Nic skomplikowanego. Jeśli dobrze wytłumaczyć, każdy by je przygotował. Poza tym w kuchni, jak w każdej innej dziedzinie, jeśli czegoś się nie wie czy nie umie, wystarczy poszukać informacji, poczytać i się nauczyć.

Sport był obecny w mojej rodzinie, odkąd pamiętam [aktor jest wnukiem szermierza Jerzego Pawłowskiego – przyp. red.], ale dopiero na czwartym roku studiów zacząłem na poważnie treningi: siłowe i sztuk walki. Wtedy już jadłem mięso. Pojawiło się w moim menu wcześniej, kiedy sam zacząłem dla siebie gotować. Kupowałem kurczaka, bo był jednym z tańszych produktów.

Nie narzekałem z powodu zmiany diety. Jem, żeby mieć siły. Kiedyś przez rok jadłem właściwie to samo: owsianka, jajka, biały ser, kurczak.



Popisowe danie? Kiedy przychodzi są znajomi, robię pizzę. Wystarczy mąka (różna: od pszennej, przez razową, po orkiszową), woda, drożdże, sól, cukier. I oczywiście dodatki. Według uznania. Zdarzało mi się wyciągnąć ciasto po pół godziny od nastawienia, ale stało też dobe, kiedy siostra mi powiedziała, że Włosi na tyle nastawiają je do wyrośnięcia. Najczęściej jednak wystarcza godzina.

Dawniej ciasto wałkowałem. Dowiedziałem się jednak, że lepiej je rozciągać. Kamień do pizzy mam. Jeden z przyjaciół kupił mi go na urodziny. Tajny składnik? Dobry sos pomidorowy. Sam go robię, ale przepisu nie zdradzę. Nie dlatego, że tajny. Składniki dobieram na oko, więc za każdym razem jest trochę inny.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**

Kotlety z soczewicy przepis ze strony *Kwestia smaku*

Składniki na 3 sztuki: 1/2 szklanki czerwonej soczewicy, 350 g pieczarek, cebula, ząbek czosnku, łyżka masła, 3 łyżki posiekanej natki lub natki i bazylii, jajko + do obtoczenia kotletów, 2 łyżki bułki tartej + do obtoczenia, tłuszcz do smażenia (np. masło klarowane, olej kokosowy itp.). Przyprawy: 1/2 łyżeczki słodkiej papryki, 1/3 łyżeczki ostrej papryki, 1/2 łyżeczki kurkumy, 1/2 łyżeczki suszonego oregano, sól i pieprz.

Wykonanie: Soczewicę zalać szklanką wody, doprawić solą i zagotować. Przykryć, zmniejszyć ogień i gotować ok. 15 minut do miękkości. Dodać przyprawy: paprykę słodką i ostrą, kurkumę, oregano i zmiełony pieprz, wymieszać, odparować i ostudzić. Pieczarki umyć, pokroić i wrzucić na patelnię. Dodać pokrojoną w kosteczkę cebulę oraz masło. Smażyć ok. 10 minut na większym ogniu, aż całkowicie odparują się zrumienią. W tym czasie doprawić je solą i pieprzem, dodać



przeciśnięty przez praskę czosnek oraz posiekaną natkę pietruszki lub natkę z bazylią. Pieczarki przestudzić i rozdrobnić w melakserze albo posiekać na desce. Połączyć z soczewicą, jajkiem i 2 łyżkami bułki tartej. Ewentualnie doprawić solą i pieprzem. Uformować kotlety (masa może być trochę luźniejsza), obtoczyć w roztrzepanym jajku i bułce tartej. Usmażyć na maśle klarowanym lub oleju.

Czas się napić

ANNA MONICKA

Gdy nadchodzą upały, jedzenie powinno być też napojem. Lekkim, bogatym w składniki odżywcze, nieobciążającym wątroby. Im więcej warzyw i owoców, tym lepiej. A zamiast zwykłej wody, która wypłukuje z nas minerały – naturalne izotoniki, ze składników, które każdy ma na pewno w kuchni.

Zaraz po przebudzeniu warto sięgnąć po pierwsze picie, bo w nocy każdy się poci. To tak naprawdę powinien być pierwszy posiłek. Ja lubię letnie zioła – rumianek czy mięta, ale chętnie sięgam też po wodę z cytryną i odrobiną kurkumy.

Na śniadanie – jajko po wiedeńsku albo i dwa. Lekko ścięte, doprawione szczyptą soli i odrobiną masła. To lekki i bogaty w witaminy posiłek, który nie zmusza żołądka do mozolnego trawienia.

Na drugie śniadanie – gdy zaczynamy przysypiać w pracy – domowy koktajl z sezonowych warzyw i owoców. Moje hity to banan z truskawkami na mleku migdałowym albo pomarańcze z imbirem na wodzie kokosowej. Ale w upały sprawdzi się też ogórek czy arbuz z selerem naciowym oraz brzoskwinie lub ananasy z odrobiną chili albo cynamonu. Rozcieńczamy je wodą (można dodać do niej musującą tabletkę magnezu).

Obiad też w płynie – zupa z miksowanej cukinii z chłodzącą limonką i kolendrą. Albo kefir czy jogurt doprawione tartym ogórkiem i kostkami melona, posypane mięta.

Dla tych, którzy muszą poczuć, że zjedli coś konkretnego – sałatka na ugotowanej na sypko kaszy gryczanej (białej, bo niepalona ma najwięcej minerałów) albo kuskus. Z pomidorami, dymką, rukolą i – niespodzianką – truskawkami, które w takim zestawie smakują bosko. To owoc stworzony do miksów z ostrą, korzenną rukolą. Wszystko posypane prażonym ziarnem słonecznika albo podpieczonymi orzechami laskowymi, doprawione balsamico, limonką i oliwą.

Kolacja – ziemniaki w mundurkach. W pewnej sieci sklepów pojawiły się niedawno kartoniki z kartofelkami do mikrofali. Przyrządzanie trwa 7 min, efekt wspaniały. Do tego płatki śledzika w zalewie z oliwy i cytryny, z posiekany poriem i imbirem.

W przerwach popijamy wodę z kostkami ogórka, świeżą bazylią, melisą i mięta albo lemoniady dosłodzone miodem. Zawsze ze szczyptą soli, bogatej w potrzebne nam do życia minerały.

Flirt z Ines

ROBERT MAZUREK

I znów będą wakacje, i znów pół Polski pojedzie do Chorwacji, by tam wino pić. Zwykle wyglądało to tak, że nasyceni wszelkimi dobrami rodacy wracali potem znad Adriatyku i nerwowo rozglądali się po sklepach. Nie znalazłszy żadnych sensownych win chorwackich, czekali do następnych wakacji.

Aż tu niespodziewanie rok temu w Biedronce pojawiła się nawet pijalna grasevina (biała, rzecz jasna), potem coś rzucono do Auchan, ruszyli się importerzy niezależni. Dodajmy zresztą, że problem z Chorwacją mają nie tylko Polacy – po prostu miliony turystów wypijają nad Adriatykiem wszystko, co się im poda. Nie zachęca to winiarzy ani do pracy nad jakością, ani do szukania rynków zbytu. Na szczęście nie wszystkich.

Roxanich powstał 20 lat temu na Istrii, we wsi o pięknej nazwie Kosinozići, właśnie po to, by robić inne, jakościowe wina. Jeśli macie w pamięci rustykalne, karczmiarne wina bałkańskie, fajne do zabawy i popijawy w dużym gronie, to zapomnijcie o nich przez chwilę. Roxanich jest w swym szacunku do tradycji nowoczesny, do wina podchodzi z pietizmem godnym najlepszych włoskich naturalistów i robi wina, przy których wypada się wręcz skupić.

Na szczęście nie jest to namysł zamiast rozkoszy. I to powszechniej, czego dowodem furora, jaką te wina wzbudziły na warszawskim Skin Contact 2018. Długa maceracja i dojrzewanie dają głębię smaku i piękne, prężne ciało. Weźmy najprostsze sauvignon blanc – Mirna kusi bukietem, czystością i rześkością. Bodaj jeszcze ciekawsze jest chardonnay (Milva 2009), ale ja proponuję przede wszystkim dwa kupaze, czyli Ines na czerwono i na biało. Oba mają po pięć szczepów w składzie i ogrom aromatów. Jakkolwiek znakomity jest soczysty i pełen leśnych owoców Ines u crvenom, to mnie zdobyła bursztynowa w barwie panna Ines. Ten rodzaj flirtu nad Adriatykiem polecam wszystkim.



Roxanich
Mirna
2015
125 zł



Roxanich
Ines
u bijelom
2009
149 zł



Roxanich
Ines
u crvenom
2008
155 zł

Vineaaffini.pl
robert.mazurek@hotmail.com, [@wina_Mazurka](https://www.wina-mazurka.pl)

Jeśli ma się bardzo sprecyzowany obraz świata, zwłaszcza taki, w którym występują przede wszystkim bad guys i good guys, a stref światłocienia nie ma, no bo przecież jest jasność i ciemność, a wszystko inne pochodzi od samego Sorosa, to bardzo łatwo wpaść w pułapkę, kiedy usłyszysz się informację spektakularnie potwierdzającą tę wizję. Łatwo wtedy poddać się pokusie bezkrytycznego uwierzenia w tę informację, nawet jeśli brzmi ona nieco niewiarygodnie. A kiedy taki ideologiczny obraz świata łączy się jeszcze z lenistwem (po co coś sprawdzać, skoro tak ładnie brzmi) i niechęcią do komplikowania oraz szukania dziury w całym (bo to przecież służy wrogowi – nawiasem mówiąc, charakterystyczne jest, że po obu stronach polskiego konfliktu utrzymuje się szczerze przekonanie, iż to tylko w naszym obozie naiwni próbują coś wyważyć, a u tych drani z drugiej strony barykady zawsze panuje pełna polityczna dyscyplina), to...

To łatwo się wpędzić w tak kompromitującą sytuację, jak wiele polskich Znanych i Zasłużonych Instytucji, które usłyszały o pewnej sprawie, zbulwersowały się i wydały oświadczenia. A w oświadczeniach tych protestują przeciw aresztowaniu w Anglii dziennikarza Tommy'ego Robinsona. Filmował on proces gangu muzułmańskich gwałcicieli i został zatrzymany pod zarzutem zakłócania spokoju, a następnie w trybie przyspieszonym skazany na 13 miesięcy więzienia, dodatkowo zaś sąd wydał nakaz wstrzymania publikacji informacji o tym wyroku.

Wszystko to razem Znane i Zasłużone Instytucje uznały za horrorystyczny przykład triumfującej poprawności politycznej. I rozdarły szaty. Oczywiście nie sprawdzili podstawowych faktów, bo po co komplikować; przecież z takiego komplikowania nic dobrego wyjść nie może, a historijkę czyta się tak fajnie.

Bardzo mi przykro, że muszę zakłócić dobre samopoczucie Znanych i Zasłużonych, ale rzeczywistość wyglądała trochę inaczej. Otóż Robinson (który jest nie tylko dziennikarzem, lecz i antyimigranckim aktywistą politycznym – to nie zarzut, tylko uzupełnienie obrazu wydarzenia) istotnie filmował ten proces, podobnie jak przedtem inne o zbliżonym charakterze. Z tym że brytyjskie prawo daje sądom możliwość bardzo znacznego ograniczenia relacjonowania rozmaitych procesów przed wyrokiem, zakazania publikowania i komentowa-

Nasz bohater Robinson

PIOTR SKWIECIŃSKI



*Po co komplikować?
Komplikowanie służy Złym Mocom...*

nia bardzo wielu detali sprawy, aby nie wpływać na członków ławy przysięgłych. I sądy często tak tam postępują, bynajmniej nie wyłącznie w sprawach, w których podsądnymi są wyznawcy islamu. Robinson zaś już w przeszłości złamał to prawo, nie tylko relacjonując, lecz i sugerując winę podsądnym.

Lekceważenie sądu (contempt of court) to w świecie anglosaskiej kultury prawnej poważny zarzut. Robinson dostał za to trzy miesiące aresztu – w zawieszeniu. Nie podporządkował się i dalej, na innych procesach, czynił to samo. Wreszcie w Leeds sąd odwieśił mu poprzednie trzy miesiące, dodał do tego jeszcze dziesięć, co razem uczyniło rok i miesiąc więzienia. A dodatkowo wydał sławetny gag order, czyli nakaz kneblujący, zakazujący informowania o tym wyroku – nie na zawsze, tylko do czasu, gdy skończą się sprawy sądowe, za których relacjonowanie niezgodne z prawem Robinson został skazany.

Gag order został po paru dniach uchylony przez sąd wyższej instancji. Uważam, iż słusznie, bo generalnie jestem zdania, że wolność informacji jest źródłem wolności w ogóle i powinna móc być ograniczana jedynie w wyjątkowych sytuacjach, a ta moim zdaniem wyjątkowa nie była. Ale czy teraz, kiedy znamy już okoliczności sprawy, nadal uważamy, że była ona tak jednoznaczna, jak uznały Znane i Zasłużone Instytucje?

No nie była, tylko że Znane i Zasłużone dostrzegły w niej po prostu odpowiadający sobie obraz. Oto Anglia jęczy pod muzułmańskolewacką okupacją i już nawet do-

strzec zbrodni popełnianych przez beneficjentów poprawności tam nie wolno. A że jeszcze w dodatku ostatnio na skutek kłamliwych donosów jakichś skrajnie antyprawicowych radykałów nie wpuszczono tam lub wjazd utrudniano kilku polskim konserwatywnym dziennikarzom, a ci reagując na ten skandal, nazwali Wielką Brytanię krajem staczającym się w faszyzm, to sprawa Robinsona, można powiedzieć, wydarzyła się w odpowiednim momencie. Pozwoliła wzmocnić tę diagnozę.

A że przy bliższym zbadaniu okazuje się, że jednak rzeczywistość jest trochę bardziej skomplikowana? Oj tam, nie przesadzajmy. Jakbyśmy tak wszystko obracali na osiem stron, tobyśmy niczego nie dokonali.

Aż mi się już nie chce przypominać, że świat jest, przepraszam za banał, skomplikowany i że ludzie dojrzały powinni jednak zdawać sobie z tego sprawę. Ale może dojrzałość jest już démodé, i to nie tylko wśród podstarzałych dzieci kwiatów?

„Kłątwa” w Sejmie

Mam wrażenie, że ewangeliczne pouczenie „Po owocach ich poznacie” straciło wagę i popularność. Przeobraża się ze wskazówki w powiedzonko, bon mot czy aforyzm. Ładne, ale niepraktyczne. Bo oto na naszych oczach ważniejsze niż owoce stają się gesty i słowa. Powiedzenie komuś „Kocham” staje się więc ważniejsze niż miłość, a pouczenie „Masz prawo” donioślejsze niż udzielanie praw. Ten, kto mówi, staje się ważniejszy od tego, który czyni. Przysłowiowy „dobry” wygrywa z autentycznym dobrem.

Pewnie jako jeden z nielicznych niezainteresowanych zadałem sobie trud i sprawdziłem, realnie z kalkulatorem, jakie decyzje już podjął rząd w reakcji na niedawno zakończony sejmowy strajk niepełnosprawnych. Obraz, który mi się ukazał, to istna rewolucja, to zmiana jakościowa niesłychanej wielkości. Młodzi by powiedzieli „zupełny odlot” czy jakoś tak. Wartość i charakter pomocy, a więc konkretnych owoców działań rządowych, są niespotykane. W każdym innym państwie byłyby rozpisane na lata. Tutaj stały się od ręki. Przyjęły formę konkretnych zapisów z dopiskiem „do realizacji natychmiast”.

Ani obciążeni dodatkową daniną bogacze, ani inni obywatele nie próbowali z decyzjami rządu dyskutować, nikt się przeciwko dodatkowym – i naprawdę bardzo znaczącym – obciążeniom państwowego budżetu nie buntował. Wyjątek stanowili sami obdarowani. Im owoce nie smakują. Zamiast 10 kg pomarańczy chcą pół kilo kartofli. Bo nie o owoce tu wszak chodzi, ale o słowa, o instrument umożliwiający zaistnienie w świetle jupiterów. A może więc te wszystkie dodatki, podwyżki, ulgi oraz nieodpłatności cofnąć i dać im po te 500 zł?

Ale nie, bo to było ich pięć minut. Pięć minut ważniejsze, daleko ważniejsze niż te wszystkie pomocowe decyzje. Bo nie o dzieci im chodziło, ale o siebie. I nie o tę kasę „na rękę”, lecz o walkę o nią. A potem i o to, aby nikt z PiS się nie dostał do samorządów. Czysta apolityczność. Scheuring-Wielgus, która wydawała się motorem całej tej politycznej akcji, szuka rozpaczliwie sposobów na wypłynięcie z coraz głębszego niebytu. Do przyszłego Sejmu nie wejdzie, do Torunia nie ma po co wracać, ale potrzeba gwiazdorzona pozostała. Wymyśliła zatem coś, co była w stanie wymyślić. Coś w swoim stylu, w stylu bazarowej cwaniary. Zafundowała nam swoje panopticum, epatowanie wózkami, niedogodnościami na własne życzenie i kupczenie kalectwem innych. A przy



**Aleksander
Nalaskowski**

*Dobrze, że ten protest już się
zakończył. Był bowiem czyniony
w złej wierze. Nie dla kogoś,
ale przeciwko komuś*

tym lans w stylu wyborów miss remizy. O to właśnie szło, a nie o jakieś pampersy, masaże, leki czy renty.

Pierwsze objawy celebryctwa już mamy. Oto koszulka z podpisami wszystkich protestujących pójdzie na aukcję do – a jakże! – Jurka Owsiaka. Nie przypomina wam to czegoś? Na przykład koszulek z podpisami gwiazd futbolu? A ta scena przygotowana pod Sejmem, profesjonalne nagłośnienie, ta „ochrona” wokół. Zupełnie tak, jakby chodziło o McCartneya, a nie udręczonych niepełnosprawnych. Spontaniczne nad wyraz. A czy ktoś tak witał wychodzących na powierzchnię ratowników z kopalni Zofiówka? Pani Hartwich swoim prostactwem i krzykiem nakryła ich czapką.

Nie pozostawiła wątpliwości, kto jest teraz najważniejszy. I na to wszystko pomysł „Bolka”, aby zawołać z odsieczą właśnie górników. W tym momencie, gdy na Śląsku rodziny oplakują swoich bliskich, ofiary realnej tragedii. Jakim gburem i bufonem trzeba być, aby tego kontekstu nie rozumieć. No, ale przecież liczą się słowa. Może tylko z wyjątkiem Petru, bo jego słowa akurat gubią, on jest

wyglądem. Poszedł więc wyglądać z wózkiem inwalidzkim. Oczywiście wzrokiem szukając kamer.

W ostatniej odsłonie spektaklu nie zabrakło podziękowań dla wszelkiej maści Farmazonów, Kasprzaków, Stalińskich, Hadaczy i innych indywiduów za moralne wsparcie. Nie usłyszałem tylko podziękowań dla rządu za to, co już zrobił, a chociażby za miesięczny, darmowy catering. Ktoś takowe usłyszał? Pani Komorowska to ufundowała? A może gotowała na tych sprzętach wyniesionych onegdaj z Belwederu?

Tutaj muszę się podzielić refleksją. Jankę Ochojską znam od bodaj 40 lat. Był nawet krótki czas, gdy trochę współpracowaliśmy. To niewiasta o szczególnym typie empatii, a przy tym niemal agresywnie skuteczna i konsekwentna. Pamiętam jej sympatię polityczną do tych, z którymi mnie sympatia jakoś nie połączyła. Ale nie rozumiem, zupełnie nie rozumiem, jak ona, właśnie ona, dała się w to wpisać. Cały ogromny autorytet położyć na szali w tak bardzo szemranej sprawie? Z takimi partnerami?! Janka, nie pojmuje!

Dobrze, że ten protest już się zakończył. Był bowiem czyniony w złej wierze. Nie dla kogoś, ale przeciwko komuś. Dla mnie pozostanie przykładem instrumentalizacji tych, którzy są obiektywnie i bez wątpliwości bezbronni. Widzę go coraz bardziej jako etycznie obsceniczny spektakl. /

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Po cichu nadchodzą



Liczba przybyszów ze świata islamskiego w Polsce powiększa się co trzy lata w postępie geometrycznym o ilorazie 3

Stara śpiewka komisarza Unii Europejskiej to powrót do koncepcji relokacji emigrantów zaproszonych do Europy masowo trzy lata temu przez kanclerz Niemiec Angelę Merkel. Także inne rządy prowadziły przez lata politykę szeroko otwartych na emigrację drzwi w przekonaniu, że zyskają nowych pracowników, wyborców i konsumentów. Politycy w zdominowanej przez lewicę Europie oczekiwali ze strony emigrantów poparcia dla swoich partii. I tak prezydent Emmanuel Macron mógł swobodnie wygrać wybory dzięki wsparciu jego kandydatury przez wielkiego muftiego Paryża. Firmy poszukiwały nowych pracowników i ktoś wmówił im, że takimi fachowcami mogą być robotnicy ze świata islamskiego. A wszyscy razem oczekiwali dodatkowych konsumentów, którzy powiększą rynek zbytu, co widać gołym okiem, gdyż każdy emigrant wyposażony jest w telefon. Poza tym Europa miała się zmienić w wielokulturowy tygiel, marzenie światowej masonerii i wszelkich wrogów chrześcijaństwa oraz państw narodowych. Dlatego idolem UE został komunista Altiero Spinelli. Kiedy się okazało, że wraz z masową emigracją pojawił się masowy terroryzm, Unia Europejska zaczęła naciskać na kraje Europy Środkowej, aby przyjęły część emigrantów w ramach, jak to mówiono, „europejskiej solidarności”. Mamy problem, to się nim podzielmy. Albo inaczej – my mamy problem, a więc i wy powinniście go mieć. Wyborcze zwycięstwo PiS zatrzymało plany lokowania emigrantów w Polsce, wcześniej udało się to Węgrom. Koncepcję pomocy w miejscu zamieszkania emigrantów wspierają teraz coraz liczniejsze kraje. Polska skutecznie odrzuca naciski na relokację, słysząc w zamian o ewentualnych sankcjach finansowych za brak „solidarności”.

Mieliśmy przyjąć 14 tys. emigrantów, potem mówiono o 7 tys. Tymczasem na naszych ulicach widać ich coraz więcej.

Dlatego warto odwiedzić portal Urzędu do spraw Cudzoziemców – <https://migracje.gov.pl/>, który zawiera aktualne dane statystyczne o emigracji na mapie Polski.

Każdy, kto uważa, że nasze ulice zmieniają się za sprawą coraz większej grupy cudzoziemców, tych o ciemnej karnacji, kobiet ubranych według islamskiego kanonu, może się przekonać, iż i u nas emigracja rozkręca się na dobre, ale po cichu. Dobierając odpowiednie filtry na wymienionym wyżej portalu, czyli: aktualne dokumenty, przyjęte wnioski i decyzje na pobyt (stały, czasowy, humanitarny, tolerowany, dalej kraj pochodzenia emigranta, płeć i wiek), możemy się wielce zdziwić.

Zacznijmy od krajów z przewagą lub silną reprezentacją islamu: Afganistan, Albania, Algieria, Angola, Arabia Saudyjska, Azerbejdżan, Bahrajn, Bangladesz, Egipt, Etiopia, Erytrea, Irak, Iran, Jemen, Jordania, Katar, Kuwejt, Maroko, Nigeria, Pakistan, Somalia, Sudan, Syria, Tunezja, Turcja, Zjednoczone Emiraty Arabskie.

W 2018 r. wobec obywateli tych krajów zapadły w skali kraju 15 224 decyzje. Najwięcej wydał wojewoda mazowiecki – 7 039. Rok temu były to odpowiednio liczby: 13 966 i 6 270. Tendencje wzrostowe najlepiej widać, gdy porównamy pełny rok 2017 z rokiem 2014, kiedy zaczęły się naciski na przyjmowanie uchodźców do Polski, którym ówczesna władza ulegała. W 2014 r. decyzji, o których wyżej mowa, było 6 363, a w 2017 r. – 13 966, wzrost ponaddwukrotny. Wojewoda mazowiecki wydał w 2014 r. 2 252, a w 2017 r. – 6 270 takich decyzji, to wzrost trzykrotny.

Te dane dowodzą, że liczba przybyszów ze świata islamskiego powiększa się co trzy lata w postępie geometrycznym o ilorazie 3, i to mimo oficjalnej polityki państwa, które sprzeciwia się relokacji uchodźców z krajów Afryki oraz Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Dzieje się to bez większej świadomości

społeczeństwa przekonanego, że władza postawiła na pełne bezpieczeństwo obywateli, ograniczając ryzyko terroryzmu, słusznie łączone ze wzrostem migracji z krajów islamskich. A co z multikulturalizmem? Czy rzeczywiście chcemy, aby w tym ciągu geometrycznym co trzy lata przybywało nam wyznawców islamu?

Oczywiście najwięcej osób starających się osiedlić w Polsce pochodzi z Ukrainy (137 784 wnioski w 2017 r.), co w porównaniu z rokiem bieżącym (153 379 wniosków) stanowi wzrost o 15 595 wniosków, ale to dopiero połowa roku 2018. Drugim takim krajem jest Białoruś. W 2017 r. było 5 221 wniosków, a w roku bieżącym jest 600 wniosków więcej.

Wielkim krachem okazała się próba ściągnięcia z Kazachstanu rodaków o polskich korzeniach. W 2017 r. przybyło ich 335, a w tym roku tylko o 28 więcej. To wielkie zaniedbanie wszystkich polskich rządzących po wojnie. A przecież tam trzeba szukać wzmocnienia polskości. Trzeba też poważnie podejść do realizacji programu powrotu Polaków (2,5 mln), którzy wyemigrowali z kraju w poszukiwaniu godnej pracy i płacy. Dziś są nam oni szczególnie potrzebni. Chyba że chcemy, aby było jak na Zachodzie.

Sęp już krąży

Często mam wrażenie, że piszę nieustannie o tym samym. Mój bohater się nie zmienia. Zmieniają się czasy, zmieniają się polityczne rachuby, a on wciąż jest tym samym... sępem.

W epoce Komorowskiego, Tuska i Kopacz mocno podkreślał swoje „oświecenie”, nie było mu po drodze z bohaterami antykomunistycznego powstania po 1945 r., wyśmiewał się ze „starych babek” wysiadujących w maju pod figurkami Maryi w polu, kręcił nosem na patriotyczne oprawy budowane przez kibiców na stadionach. Nosił porządne garnitury, drogie zegarki i basował tym, co mieli żdźbło władzy więcej od niego. Podkreślał intelektualne przymioty np. takiego Aleksandra Grada, udawało mu się wślizgiwać w łaski lokalnych baronów PO i PSL. Gorliwie tropił też i wskazywał każdego wyznawcę „chorych bredni o Smoleńsku”. Jednym słowem spotykałem sępa w urzędach, w biznesie, najliczniej występował w redakcjach wszelkich mediów. Tam skłonny był do wszelakich manifestacji podkreślających jego europejskość i używanie płynów do wywabiania polskości, z czego tylko się dało.

Przyszło jednak to straszne trzęsienie ziemi w 2015 r. i nic już nie było takie różowe jak wprzód. Trzeba się było przystosować. Sęp odczekał więc chwilę i gdy tylko się przekonał, że zmiana może być trwała, już nadszakał nową władzę,

już przekonywał o swojej polskości i stalowym patriotyzmie. Tak jak wcześniej z ust nie schodziły mu durnowate cytaty z ks.

Sowy, Lisa i przyjaciół, tak teraz jakby coś wykręciło mu język na opak – tylko patriotyczna nowomowa, nowe slogany i zakłęcia. Wyszedł z okopu z podniesionymi rękami, rychło jednak się przekonał, że w większości ma do czynienia z podobnymi sobie sępiszczami, i już rozpychać się łokciami oraz lajać tych niedostatecznie naoliwionych nową ideologią.

Niestety teraz sęp szykuje się do udziału w wyborach samorządowych, już zdążył – kukułczymi ruchami – wcisnąć się na dobre miejsca na listach dobrej zmiany, już teraz jest jednym z najlepiej notowanych miejscowych aktywistów.

Sęp idealnie pasuje partyjnej nomenklaturze, jest posłuszny, aktywny, użyteczny, doświadczony.

Urządaski dobrej zmiany nie pojmują jednak, że z równą łatwością jak teraz denuncjuje i poniża swoich byłych kolegów z przeciwnego okopu, zatopi swój przywykły do padliny dziób także w trzewiach dobrej zmiany, stanie się tak wtedy, gdy tylko wyczuje najmniejszy powiew zmiany. On z padliną jest zaprzyjaźniony jak nikt z żywych.

Widzę rzesze padliniarzy, jak uwijają się znów na ciele kraju. Trzeba wielkiej energii, odwagi i determinacji, aby odegnąć to śmierdzące towarzystwo od siebie. /



**Witold
Gadowski**

Kto głosuje na „totalsów”?

Racjonalizm. To on powinien decydować o politycznych wyborach. Nie podcina się gałęzi, na której wszyscy siedzimy. Dlatego nawet postawienie na tzw. mniejsze zło jest działaniem rozumnym. Żeby zdroworozsądkowo powiedzieć się przy urnie za którąś partię polityczną, trzeba przedtem posiąść podstawową wiedzę o jej wadach i zaletach. Tymczasem lemingi – wychowane na jednostronnych serwisach TVN24 – lewitują w irracjonalnym matriksie! Rozmawiam czasami z wykształconymi, zdawałoby się, ludźmi (nawet nie z beneficjentami minionej władzy) i jestem zdumiony tym, jak żarliwie bronią spraw oraz polityków, których racjonalnie argumentując, obronić się po prostu nie da. Zakodowana podprogowo w umysłach wyborców PO-PSL-N niechęć (nienawiść?) do oponentów, połączona z chęcią przynależności do kasty „światłych i nowoczesnych” Europejczyków przeważa nad prostą dedukcją.

Zbliżające się wybory samorządowe, zwłaszcza te prezydenckie – w Warszawie, Krakowie czy Gdańsku – są najlepszym

przykładem odporności lewicowo-platformerskiego elektoratu na wyciąganie z medialnych doniesień oczywistych wniosków. Poraża skala przyzwolenia na niegospodarność, chamstwo, korupcję, nepotyzm i usankcjonowane w świetle prawa jawne złodziejstwo (afery Amber Gold). I niecofający się nawet przed okrutnym morderstwem zwykły bandytyzm (vide: czyszciciele kamienic działający w sojuszu ze stołecznym ratuszem, notariuszami, wymiarem sprawiedliwości). A to już zakrawa na masową pomroczość jasnawyborców Trzaskowskiego czy Adamowicza.

Winna temu jest edukacja (a właściwie jej upadek). Powierzchniowo wykształcone społeczeństwo jest naiwne i łatwo sterowalne. Głupi Polak to skarb dla nieuczciwych rządzających.

PS Kierowanie się rozumem wcale nie wyklucza poddawania się emocjom. Nie należę do PiS, bo paru ludzi z partii dobrej zmiany nieżle mnie wkurza. Nie ma to jednak większego znaczenia, bo codziennie wkurza mnie na maksa prawie cała totalna opozycja. /



**Lech
Makowiecki**

ROBERT MAZUREK

Tożsamość świni

Chciał dobrze. Nie wiem, może to obecność gwiazdy go onieśmieliła, może dziabnął sobie coś dla kurażu, może jedno i drugie, a może po prostu idiotą był. Takim normalnym, lokalnym idiotą. W każdym razie wójt miejscowy wyszedł na scenę i wypalił: „A teraz nasza gwiazda, ktoś, bez kogo trudno sobie wyobrazić Święto Świni! Przed państwem Maryla Rodowicz!”.

Do tematu zaraz wrócimy, najpierw wstęp teoretyczny z elementami autobiograficznymi. Otóż wbrew pozorom obwarzanki wcale nie są krakowskie. Krakowskie to są bajgle, a obwarzanki kupowali mojej osobie rodzice, kiedyśmy będąc u babci na wsi – bo ja włościaninem z pochodzenia jestem – jeździli do kościoła. Tu drobna uwaga, my, w przeciwieństwie do tubylców, chodziliśmy do kościoła, im wystarczyło stanie w promieniu 100–200 metrów od niego. Też się liczyło.

No więc kupowano tam mojej osobie obwarzanki, które przywozili do Nieznamierowic handlarze z Odrzywołu. Stąd wiem, co to jest. Piłsudski też wiedział, jest więc coś, co nasłączy. Marszałek rzekł nawet – przypominę ten oczywisty cytat – że Polska jest jak obwarzanek, wszystko, co najciekawsze, na obrzeżach. Notabene nieuleczalny miłośnik Marszałka, niejaki Stanisław Cat-Mackiewicz, uważał tak samo, tylko miał specyficzne pojęcie Kresów. Dla niego Polska to były Wilno, Dyneburg, Mińsk, Kamieniec. „A Warszawa?” – spytał go kiedyś Kisiel. „Małe, żydowskie miasteczko na granicy zachodniej”. „A był pan kiedyś we Wrocławiu, w Szczecinie?”. „A po co? Ja do Niemiec nie jeżdżę”.

Ja czasem jeżdżę, a z oboma panami zgadzam się w stopniu umiarkowanym. Otóż, owszem, ta Polska, którą oni znali, to był właśnie Krasław, Nowogródek czy Trembowla, ale tej Polski – wielonarodowościowej, wieloreligijnej – po prostu już nie ma, więc i rozprawianie o Kresach traci nieco sens. Zostawmy to zresztą, bo nie o Kresach

Wiem, że wszystko to polityką trąci, ale, do licha, jak mamy zapuszczać korzenie, nie czując więzi z tymi, którzy byli tu przed nami?

chciałem mówić, ale o pewnej tożsamości. I to tożsamości, którą możemy wydobyć teraz z tego, w czym żyć nam przyszło, że się tak poetycko odezwę.

Bardzo bym chciał, by znalazł się w Polsce kandydat na prezydenta, burmistrza czy wójta, który serio by się nad tym zastanowił. Bo ludzie potrzebują historii, tradycji, to nie tylko spojrzenia w Powstanie Warszawskie czy Wykłętych. Nie deprecjonując tych bohaterów, bliższa ciału koszula, a wszyscy żyjemy gdzieś w miasteczkach, miastach, dzielnicach. Dlaczego tożsamości nie można budować tutaj? Można oczywiście podejść do tego jak z Barejowego „Misia”, ogłaszając konkurs na wzór tradycyjnego stroju ludowego górali sudeckich – autentyk już czasów III Rzeczypospolitej – ale można inaczej, sensowniej. Niekoniecznie Świętem Świni, ale już Świętem Wina w Janowcu jak najbardziej. I to nie dlatego, że wino szlachetniejsze niż prosię, lecz po prostu tam wino bardziej się wpisuje w krajobraz kulturowy i tyle. Oczywiście element ludyczny na takich Dniach Wina/Powidel/Cepelinów będzie wiódł prym, ale czy jest w tym coś złego? Od czegoś wszak trzeba zacząć, a potem można budować lokalną wyrazistość, odrębność w wersji serio, także przypominając sobie o tych, którzy mieszkali tu wcześniej, o Żydach, o Niemcach, Tatarach.

Wiem, że wszystko to polityką trąci, ale, do licha, jak mamy zapuszczać korzenie, nie czując więzi z tymi, którzy byli tu przed nami? Czy my się w ten sposób nie okaleczamy, nie amputujemy sobie znacznej części naszej tożsamości? Dlatego do końca życia będę pisał o Leżajsku – mieście pięknej bazyliki i cadyka Elimelecha. Jeśli nie powstanie tam wreszcie przypominające tę drugą część Muzeum Chasydyzmu, to tego miasta zawsze będzie pół. A to jednak głupio mieszkac w samym tylko Leżu, tudzież w Ajsku, prawda? 

robert.mazurek@hotmail.com

Widzenie pod napięciem

Nasz kuter przypominał pudełko zapalek rzucone potężnymi falami w dół i w górę. Siedziałem w bosmańskiej kajucie dwa na dwa, mając naprzeciwko oczu duże, okrągłe okno obryzgiwane kolejnymi falami. Nagle w oknie pojawiła się wielka, rozwarta paszcza rekina. Zadrzałem. Szybko uświadomiłem sobie jednak, że dzięki pancernej szybie jego masywne, stalowe szczęki nie są w stanie mnie dosięgnąć. Ze spokojem więc przyjąłem tę próbę dzikiego ataku. Jedna rzecz utkwiła mi w pamięci z tego nieudanego natarcia wściekłego morskiego rozbójnika. Głowa owego rekina przypominała mi kogoś znajomego, ale wysilek odgadnięcia został zduszony potrzebami ratowania kutra z opresji sił natury.

Teraz, kiedy w więziennej celi, ciasnej jak tamta kajuta, odtwarzam w pamięci napaść rekina, nie mam wątpliwości, że jego głowa przypominała twarz Jarosława Kaczyńskiego. A tamto zdarzenie było zapowiedzią zemsty, której dziś jestem niewinną ofiarą – to fragment książki Stanisława Gawłowskiego, pisanej za zgodą władz więziennych oraz z poparciem władz Platformy Obywatelskiej.



**Jerzy
Jachowicz**

– Przez literaturę więzienną do szczęśliwszej i bardziej demokratycznej Europy – to nasze hasło na 2019 r. – zapowiedział lider PO Grzegorz Schetyna. Obwieścił to w pierwszą sobotę czerwca na plaży w miejscowości Mielno obok Koszalina, podczas wakacyjnej konwencji tej partii na świeżym powietrzu.

Ta sensacyjna pozycja ukaże się na rynku jesienią tego roku w wydawnictwie Krata, założonym kilka dni temu przez żonę autora Renatę Gawłowską.

Aby zachęcić do lektury, przytoczę wzruszający urywek jej poświęcony.

„Podczas widzenia przytknąłem dłoń do dzielącego nas pleksi. – Kocham cię – powiedziałem. Zaczęła płakać. Przyłożyła swoją dłoń do mojej. Jakbym został rażony prądem. Nagle kazała mi wstać. – Boże mój, jak ty schudłeś. Chyba ze trzy kilo. Albo i więcej – wyszeptała. Wstrząsnął nią szloch. Chciała mnie pocieszyć. Nie zdążyła. Zegar zaczął buceć. Strażnik położył rękę na moim ramieniu i kazał mi wstać. Nawet nie zdążyliśmy drugi raz dotknąć dłońmi pleksi...”

CO MNIE PRZERAŻA

Wstyd, wielki wstyd

Wizyta byłego prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Wałęsy w Sejmie w czasie protestu osób niepełnosprawnych i ich opiekunów to – łagodnie określając – wstyd.

Właściwie nie powinno się mówić, pisać ani pokazywać w telewizji fragmentów tej żenującej wizyty. Trudno nie przejąć na siebie chociaż odrobiny tego wstydu, bo przed wielu laty zawierzyłam temu człowiekowi nie tylko ja, lecz uwierzyły pewnie miliony Polaków, że pomoże nam zacząć godnie żyć, dążyć ku wolności i trwać w prawdzie.

Niestety złe czarne kurtyny spadały jedna po drugiej. Zobaczyliśmy kabotyńską twarz, ale o dziwo jest jakaś część ludzi – nie tylko tych na Zachodzie, dla których słowo „Walesa” było wizytówką Polski – która mu wierzy. Nie znają naszej najnowszej historii, nie znają poczynania pana Bolka ani tego, w co przeistoczył się były prezydent. Wstyd ma swoje granice. Niechże mamy tam na Zachodzie jako największy mędrzec naszej Polski, mendzący słowami bez logiki i sensu, wychwalający siebie samego.



**Katarzyna
Łaniewska**

Jak można pójść do ludzi doświadczonych przez los i życie oraz do walczących o nich opiekunów (w dobry czy zły, ale politycznie podpuszczony sposób) i tam półleżąc w ubraniu, w którym można pójść nad rzekę, wygłaszać swoje androny. Naprawdę ten człowiek nie ma poczucia smaku ani przyzwoitości. Na proste pytania utrudzonych ludzi z zakręconymi głowami, co mają robić dalej, ludzi, że mają iść walczyć i jak dadzą mu milion na ulicach, to w trzy dni wyrzuci całe PiS z rządu. Przecież to o pomstę do nieba woła. Naprawdę pawilon psychiatryczny. Wychodzi na zewnątrz, błąka się – gdzie mnie ktoś zawiezie.

Dobrze, że w mojej telewizji już nie pokazali tego spotkania w Puławach.

Ośmielał się poruszać ten temat – jak daleko jeszcze, gdzie jeszcze się uda był prezydent. Jakich odbiorców jeszcze znajduje. Wolalabym, aby na tym wstydzie w Sejmie, wśród ludzi, którym na pewno trzeba pomóc, zakończył występy, jakimi nas uraczono.

KOT KACZORA, RYSUJE JERZY WASIUKIEWICZ



TRENDY I OWĘDY

Śmieciowa ekologia

Wysypiska śmieci zapłonęły jak ogniska w noc kupały

Z tym że w noc kupały do ognia dorzuca się ziola, a te potężne pożary fundowane nam przez „biznesmenów” to czysta trucizna penetrująca powietrze i wody gruntowe. Portal Wykop.pl: „Wg szacunków ludzi związanych z ochroną



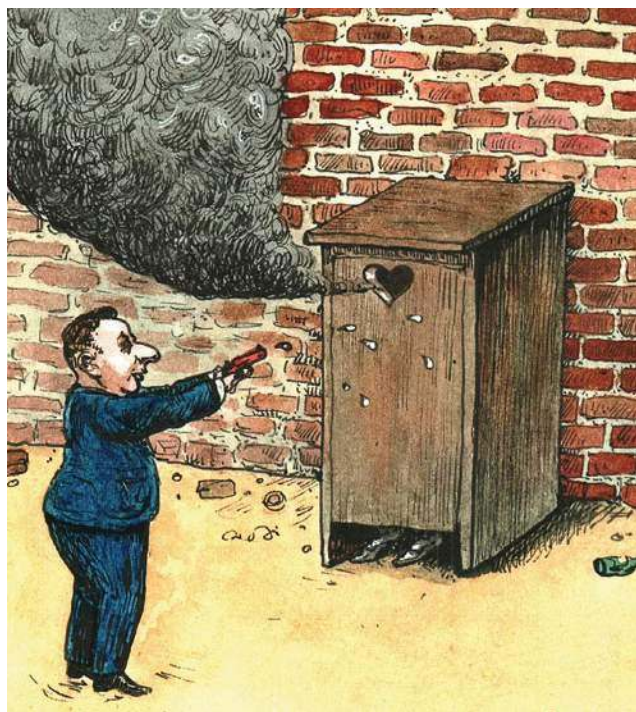
Ryszard Makowski

środowiska, do których dotarłem, tylko pożar wysypiska w Zgierzu mógł uwolnić do atmosfery aż dziesięć razy więcej dioksyn, węglowodorów alifatycznych i aromatycznych niż wszystkie stare piece w krakowskich mieszkaniach przez... 25 lat!”. Dobrze, szczególnie w konfrontacji ze zmuszaniem obywateli do segregacji śmieci i walką ze smogiem zawinionym przez posiadaczy przestarzałych urządzeń grzewczych.

W tym roku tego typu pożarów było ok. 70. Podpalane są składowiska świństw zwiezionych tutaj z całej Europy. Rozważanie na poziomie prokuratur przyczyn plagi śmieciowego kura nie wzbudza nawet śmiechu. Są one ewidentne, choć znalezienie dowodów na celowe działanie jest trudne. Przypadkowe zaprószenie czy samozapłon dają identyczne skutki. Wisienką na tej śmieciowej stercie jest niemożność ustalenia w wielu przypadkach właściciela wysypiska. Takie pytanie do samorządowców: jak to jest, że na waszym terenie wyrasta góra zamiejskowych odpadów? I co? I nic? Mamy też Ministerstwo Środowiska. Tam chyba tak się zapatrzyli na kornika drukarza, że przeoczyli zwózkę ton toksycznych śmieci.

Rozmawia dwóch „przedsiębiorców”: Jak interesy? Spaliłem się. A u mnie powódz. Ty, jak się robi powódz?

Zawistowski prezentuje: **Zamach**



Wycinki z przeszłości

Wydanie „Kobiety w Świecie i Domu” z maja 1934 r. niemal pachnie wiosną – przepisy na owoce sezonowe, wykroje strojów kąpielowych, porady wakacyjne. Ale naszą uwagę przykuł jakże aktualny tekst o życiu domowym. Autorka Wanda Dobrzańska zwraca w nim uwagę, że bardzo często członkowie rodziny uważają, iż w domu nie muszą przestrzegać reguł uprzejmości, dobrego wychowania, pomocniczości. Czytamy: „Rozneglizowani, oświiali, całkowicie pobawieni formy zachowywanej wśród ludzi – odpoczywamy. Zwalniamy z najtajniejszych skrytek: gorycz, zawody, niezadowolenie, pesymizm, uszczypliwość, krytycyzm. Dajemy do powąchania naszemu najbliższemu otoczeniu wiązanek »kwiatów«, ukrywając przed okiem innych »ludzi«. Zapatrzeni tylko w siebie, nie widzimy nic: ani cudzego śmiertelnego nieraz zmęczenia, ani drobnych, ciągłych poświęceń, ani wyrzeczeń”.

Autorka nazywa takich osobników „domowymi burzycielami”, którzy „gwałcą prawa domowego ogniska na swoją wyłączną korzyść”. I dalej: „Takim burzycielem jest nieobserwujący regulaminu domowego pan domu, jak nieuznające skrepowania dzieci, niesumienny dostawca, niepunktualny rzemieślnik, wpadająca w nieodpowiedniej godzinie znajoma. Nasze życie domowe jest chore na brak doceniania jego wartości”.

Czy dziś jest lepiej? Pewnie jak i wtedy – zależy, gdzie spojrzeć. Ale warto zrobić wszystko, by samemu takim „burzycielem” nie być. Warto szanować się nawzajem. **(mk)**



Gdzie kładka Bernatka

W Krakowie nad Wisłą
Gdzie kładka Bernatka
Tysiąc kłódek!
Co mówię? Pewnie parę tysięcy
Zatrzaśniętych
Zakłętych
– W zawieszeniu nad wodą
Trwa



Leszek Długosz

Dwie litery, dwa imiona
Strzałka, serce
Zwykle jakiś on ona
Górą niebo nieprzemijające
Dołem Wisła bieżąca
Tajemnicy strzegą
– Nadziei, miłości...
– Tej urody życia
Co pod kluczem na kładce
– Do wieczności chciałaby się przypiąć?

Chodzę czasem tamtędy
Ot turysta, przechodzień
I przyglądam się życiu
Jak się kładką Bernatką
Z brzegu na brzeg przeprowadza
To przystanie, westchnie
I z uśmiechem w swoje „dalej”
Odhodzi...

Patrzę czasem i ja tam ze swoistym
(czytaj, z moim) uśmiechem
Jak się sprawy sprawują
– W tajemniczym tych kłódek ogrodzie
Jak się stroją te jedne
W zieleniutkie wciąż listki
– Wprost kwitną!
– W zardzewiałym milczeniu
Głowy nisko zwieszają te drugie
Wiedzą:
„Już tam dawno po wszystkim”...

Gdzie kładka Bernatka nad Wisłą
w Krakowie
Od brzegu do brzegu miłość tam chodzi
Wierzy
Że te kłódki zamknięte (zakłęte)
Między niebem a wodą
To jest szczęścia pewniejszy depozyt?

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
w SIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i w SIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Czytać sieci współzależności

Pod koniec maja PZU, nawiązując do obiadów czwartkowych króla Stasia, po raz kolejny zorganizował przyjęcie w Łazienkach w Pałacu na Wyspie. Obecni byli także wyjątkowi goście – stulatowie, rówieśnicy II Rzeczypospolitej.

NIEPODLEGŁOŚĆ

Wszak celebруемy w tym roku stulecie odzyskania niepodległości. I być może to właśnie obecność osób urodzonych w 1918 r. wydobyla to, co w zabieganiu o niepodległość ważne. Można było sobie to uświadomić już po słowach premiera Mateusza Morawieckiego, który składając życzenia stulatkom, podziękował im za „przechowanie wartości”. Bez podstawowych wartości, które są filarem każdej kultury, nie ma ładu społecznego. Nie ma ciągłości przekazu historycznego. Wreszcie nie ma sprawnego państwa.

Fenomen „przechowania wartości” mogliśmy prześledzić dzięki rozmowom poprowadzonym z naszymi bohaterami przez Pawła Surówkę, prezesa PZU. Z wyczuciem, ale i poczuciem humoru zachęcał rozmówców do podania recept na długie, udane życie. I wartości, które towarzyszyły jubilatowi przez życie, zostały przywołane: modlitwa i praca; Bóg i ojczyzna; miłość; dobre wychowanie dzieci; wiara w siebie i pogoda ducha. To nie wzniosłe idee były przez stulatków uwypuklane, wylaniały się z opowieści o troskę wokół prostych, codziennych spraw. A w tle tego wszystkiego można było wyczuć: wolność.

WOLNOŚĆ

Jakże istotna jest dla nas, Polaków, i jakże różnie ją rozumiemy. Dzisiaj, w cywilizacji konsumpcyjnej, przecież widać: można mieć wolność bez granic i być zniewolonym do bólu. A stulatko-



wie pokazali, że w najgorszej opresji da się zachować wolność w sercach.

Wolność w sferze twórczości ułatwia zaś przekazanie tradycyjnych wartości nawet w nieoczekiwany współczesny kodzie kulturowym. Po rozmowach ze stulatkami odbył się koncert. Dla niektórych gości – były takie głosy – co najmniej kontrowersyjny. Dla nas – nie.

Wokalista Janusz Radek pokazał, że „stare” strofy z sensem można przekazywać „po nowemu”. Towarzyszył mu chórki dzieci z „The Voice of Poland”. Tak, dla stulatków było za głośno, może zbyt dynamicznie.

Ale radzą sobie z pędzącym światem. Zdrowy dystans do siebie i do rzeczywistości widać było już w ich wypowiedziach. Przecież można z pierwszego rzędu przesiąść się dalej. Ważne, że obok są ukochane dzieci i bliscy, na których opiekę zawsze można liczyć.

KULA W ŁEB?

W wymiarze indywidualnym istotę współzależności odczuwa się dopiero na starość. A jak to wygląda z perspektywy kraju?

Jedną ze swoich interpretacji Janusz Radek poświęcił utworowi Władysława

Broniewskiego. Kiedyś, w PRL, wiersz z 1939 r. zatytułowanego „Bagnet na broń” uczyliśmy się w szkołach na pamięć. Czy ekspresyjnie wyśpiewana strofa:

*Za tę dłoń podniesioną na Polskę –
– kula w łeb!*

...dziś u młodzieży wzbudza dreszcze, które towarzyszyły Polakom współczesnym Broniewskiemu? Czy takie wezwanie do waleczności w dzisiejszym świecie jest owocne?

WSPÓŁZALEŻNOŚĆ

Tak, w warunkach skrajnych, w warunkach wojny trzeba być gotowym do odwetu. Jak jednak taka dynamika emocjonalna wygląda w obecnych uwarunkowaniach Polski i polskości?

Spór między Polską dobrej zmiany a Unią Europejską pokazał, że nie jesteśmy w stanie tylko uporem, walecznością zapewnić Polsce godnego miejsca w świecie.

„Kula w łeb” – determinacja w skrajnych warunkach wojny – współcześnie już nie służy rozwiązywaniu międzynarodowych sporów gospodarczych.

Dziś o suwerenność musimy zabiegać w warunkach współzależności. Polska rozwija się dzięki międzynarodowej współpracy. Jeśli chcemy z niej korzystać lepiej, niż potrafiła to większość ekip rządzących III RP, to sprytniej musimy oddziaływać na dzisiejsze płynne sieci współzależności.

Skutecznie z kryzysami można się mierzyć tylko dzięki inteligentnemu nawigowaniu między żywiołami współczesności: Wschodem a Zachodem; między UE a interesami USA; między pełnym namiętności światem arabskim a nierzadko nadreaktywnym Izraelem.

To niełatwe. Ale o tożsamość Polski nie zadbamy bez umiejętnego poruszania się w warunkach gęstej sieci współzależności.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI
HISTORII

W numerze:

- **SZWEDZKA KLĄTWA**
Czy można było uniknąć wojen ze Szwecją?
- **BITWA POD ROKITNĄ**
Wiecznie żywa pamięć o szarży polskich ułanów
- **PASZPORT Z PARAGWAJU**
Polscy dyplomaci ratowali Żydów, fałszując paszporty



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.

WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

Oszczędź na rachunkach!



40
od
zł/mies.
z rabatem smartDOM

+



1 zł
NA START
15 zł x 48 rat



TELEFON

+



TELEWIZJA

motorola

MOTO E5 PLUS

Opłata miesięczna 40 zł uwzględnia rabaty wynikające z programu smartDOM. Dotyczy wybranych wariantów ofert: abonament telefoniczny 30 zł/mies. oraz telewizja z ofertą elastyczną Rodzinny HD + Cinemax HD z minimalnym zobowiązaniem 10 zł/mies. z rabatem smartDOM, przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. Kanały dodatkowe z wyższego pakietu objęte wybraną ofertą elastyczną dostępne bezpłatnie w oznaczonym okresie promocyjnym. Po okresie promocyjnym kanały są płatne, jeżeli nie zostaną przez Abonenta wyłączone poprzez zgłoszenie wyboru niższego pakietu, objętego wybraną ofertą elastyczną. Szczegóły w regulaminach promocji „PLUS. Smartfon RATY Z OPŁATĄ POCZĄTKOWĄ”, w Warunkach Oferty i regulaminie oraz regulaminie programu „smartDOM 4 - Telewizja, Internet, Telefon” dostępnych na www.plus.pl, www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców. Informacje aktualne na dzień 18.05.2018 r. lub do wyczerpania zapasów.

